

Jane Campion Kate Pullinger

FORTEPIAN
(The Piano)

Today I will not seek the shadowy region; Its unsustaining
vastness waxes drear; And visions rising, legion after legion,
Bring the unreal world too strangely near.

Nie będę dzisiaj zgłębiać tych cienia regionów; Ich
niezdrowe połączenie mającą złowieszczo; Powstają z nich
widziadeł legiony legionów, 1 świat nierzeczywisty dziwnie
blisko mieszczą.

Emily Bronte (1818 - 1848)

PROLOG

Historię Ady i jej fortepianu opowiadano wiele, wiele razy. Powtarzali ją ci, którzy znali Adę, jej córkę i córki jej córki w owej małej osadzie w Nowej Zelandii, i jeszcze przedtem, w starej Szkocji. Opowiadały ją nie tylko kobiety; rozprawiali o niej także mężczyźni w szynkach i w barach, jedni z dreszczykiem podniecenia, inni ze zdumieniem, do jakich to czynów może popchnąć miłość czy namiętność. Było w tej historii coś, że pasjonowali się nią wszyscy. Niejeden ze słuchaczy udawał zgorszenie, choć nie potrafił ukryć irytacji, gdy przerywano opowieść - nawet na modlitwę. Pewna kobieta, utrzymująca, że słyszała grę Ady i pamięta jej repertuar, dawała koncerty, na które nie sposób było dostać się wszystkim chętnym. Jednakże ci, którym udało się wcisnąć, zazwyczaj wychodzili zawiedzeni, ponieważ muzyce nie towarzyszyła relacja o dziejach Ady. Niektórzy wątpili nawet, czy istotnie zdarzyło jej się grywać owe utwory.

Większość z tego, co opowiadano, było po części prawdziwe. Ada ukrywała fakt, że miała córkę z nieprawego łoża Poślubiła Szkota, którego nie widziała przedtem na oczy i który ją, wraz ze skromnym posagiem, zabrał do najodleglejszego zakątka świata. Ale nawet i to nie było do końca prawdziwe. Alisdair Stewart mieszkał w Nowej Zelandii już od wielu lat, kiedy Ada z córeczką wyruszyły mu na spotkanie. Prawie każda relacja okazywała się niepełna, albowiem ludzie znali jedynie poszczególne epizody. Całą historię znała tylko Ada McGrath, która opowiedziała ją swojej córce, Florze, gdy ta była już matką kilkorga dzieci, a sama Ada leżała chora - właściwie bliska śmierci - w Nelson, niewielkim, miłym miasteczku. Ada miała wówczas sześćdziesiąt dziewięć lat i, jak twierdziła, była szczęśliwa.

Głos, który słyszycie, nie jest głosem mojej mowy, lecz głosem moich myśli.

Nie wypowiedziałam słowa od czasu, kiedy miałam sześć lat. Nikt nie wie dlaczego, nawet ja sama. Mój ojciec twierdzi, że kryje się we mnie coś mrocznego, i że dzień, w którym umyślę sobie przestać oddychać, będzie moim ostatnim.

Dzisiaj wydał mnie za mężczyznę, którego nie widziałam na oczy. Niebawem wraz z moją córeczką pożegluję, by się z nim spotkać w jego kraju. Mój mąż twierdzi, że nie przeszkadza mu moja niemota. Posłuchajcie tylko, co pisze: "Pan Bóg kocha nieme stworzenia, więc czemu nie mógłbym i ja?"

Dałby Bóg, by miał on Jego cierpliwość, milczenie bowiem każdego w końcu drażni. Dziwna rzecz, że ja sama nie uważam się za niemą, a to dzięki mojemu fortepianowi. Będzie mi go brakowało podczas podróży.

ROZDZIAŁ 1

U odludnego brzegu na skraju dalekiego lądu, kraju bujnych paproci i ptaków nietotów, wyłoniła się łódź i podskakując na falach parła pracowicie ku plaży. Pośród burzliwego przyboju Ada McGrath i jej córka Flora zostały podźwignięte z łodzi i poniesione jak całopalne ofiary na barkach marynarzy. Ada starała się zachować pozory godności, nie wydać okrzyku strachu. Jej obfita czarna spódnica opadała na ramiona i plecy marynarzy, którzy się potykali i podtrzymywali nawzajem, miotani przez krzyżujące się fale. Dwóch z nich było pochodzenia afrykańskiego, wszyscy mieli tatuaże, byli twardzi, zahartowani, niektórzy podpici. W końcu postawiono Adę i Florę bezceremonialnie na pustej, czarnej plaży.

- Paddington, wysiadać - zażartował któryś z mężczyzn.

Ale Ada się nie uśmiechała, niczego nie słysząc pochłonięta niezwykłością tego lądowania. Za ich plecami biły o brzeg olbrzymie, gromkie fale. Ada spojrzała w dół, na swoje sznurowane buty, grzęznące w mokrym srebrzącym się piasku, i na dopadającą jej stóp morską kipieli. Potem podniosła oczy na chaos nieznajomych drzew i pnączy w oddali. Powiodła wzrokiem wzdłuż przybrzeżnych skał - wyniosłych, poszarpanych, porośniętych listowiem bujniejszym, niż kiedykolwiek dotąd widziała - w poszukiwaniu jakiegoś śladu życia. Jej serce przepełniał zarówno lęk przed tym, co ujrzy, jak i ciekawość.

Ada była blada, ciemnowłosa i niemal tak drobna jak Flora, której poważna twarz i surowy strój stanowiły doskonałą kopię twarzy i ubioru matki. Flora klęczała, wstrząsana chorobą morską, na którą cierpiała prawie każdego dnia podróży. Ada przebiegła jeszcze raz wzrokiem brzeg. Nigdy nie widziała krajobrazu tak niepodobnego do kamienistych zatoczek i ujść leniwych rzek, jakie znała z

rodzinnej Szkocji. Niebo z morzem spajał gęsty parawan zieleni i prócz niego nie było nic, żadnego człowieka, zabudowania, ścieżki, i żadnego śladu ludzkiej obecności. Płynąc na spotkanie nieznanego męża, trafiła oto na skraj świata.

Ada McGrath i jej córka Flora żeglowały długie miesiące po burzliwym oceanie, noc w noc kołysane, podrzucane i brutalnie obijane w okrętowych kojach, dzień w dzień coraz to odleglejsze od Szkocji. Czasami Ada leżała bezsennie w ciemnościach, czując poruszenia statku i zastanawiając się, czy nie unosi on jej i Flory do piekła lub jakiegoś jeszcze mroczniejszego miejsca. Małżeństwo bowiem per procura, to wyrwanie z domu, nie wydawało jej się niczym innym jak karą za grzechy.

Podczas podróży śnił się często Adzie jej mąż Alisdair Stewart, którego nie znała, i jej nauczyciel muzyki, Delwar Haussler, którego nie widziała od dawna, i ci dwaj mężczyźni zlewali się jej we śnie w jedną osobę. We snach schodziła także często do ładowni, by grać na fortepianie, który stał tam w skrzyni, przywiązany do burty statku jak dzika bestia, której nie można pozwolić uciec. Muzyka dźwięczała w jej głowie koła ją i pozwalała uspokajać dziewczynkę, która kipiała entuzjazmem do statku i marynarzy, jeśli tylko nie wymiotowała do starego zardzewiałego kubła w kabinie. Warunki miały podłe, od tygodni nie jadły nic prócz ryb, rzadko świeżych, przeważnie suszonych - smażonych, gotowanych, pieczonych - i Adzie robiło się mdło na wspomnienie smaku soli i łusek.

U ojczystych brzegów żegluga była spokojna. Ada i Flora przeczuwały, że płyną na spotkanie wielkiej przygody, ale minawszy Zatokę Biskajską statek wpadł w straszliwy sztorm. Miotły nim fale wielkie jak góry. Zamknięte pod pokładem, w maleńkiej kabinie, ciasnej nawet dla osób tak drobnych jak

one, obijały się o sufit i ściany. Przez długie godziny nie docierały do nich żadne wieści, nikt nie zapukał do ich drzwi, a jedynym głosem, jaki słyszały, było skrzypienie okrętu pod nawałnicą fal. W obliczu niebezpieczeństwa, bardziej realnego i bezpośredniego od wszelkich zagrożeń, jakie mogło im zgotować cywilizowane społeczeństwo, Ada przeżyła strach, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Jednak wysłużony okręt był solidny i przetrzymał burzę. Gdy pasażerowie wyszli na pokład, dowiedzieli się, że fale wyłamały w dwóch miejscach nadburcie, porwały szalupę i zmyły jednego z marynarzy. Ale za marynarza zdążono już odmówić egzekwie, a szkody naprawiono. Świeciło słońce, spokojne morze lśniło lazurowo i nie chciało się wierzyć, że fale kiedykolwiek miotają okrętem. Sztorm mógł się wydawać koszmarnym snem, wywołanym przez nędzną strawę.

W domu Flora miała kucyka szetlandzkiego, o archanielskim imieniu Gabriel. Dziewczynka była oczkiem w głowie dziadka. Przez długie miesiące żeglugi Ada często zastanawiała się, co nowe życie przyniesie jej córeczce. W ładowni płynęły skrzynie i kufry z wyprawą ślubną Ady, której ona sama nie uważała za taką. W nocy spała trzymając pod poduszką wyszywany woreczek zawierający jej posag - biżuterię, trochę złota i rewers bankowy. Wiedziała, że u końca podróży będzie czekał Alisdair Stewart, ale poza tym niczego nie była pewna. Opowiadała Florze językiem migowym, którym się porozumiewały, różne historie, ale nie potrafiła udzielić rzetelnych odpowiedzi na pytania dziewczynki o to, jak się zakończy ta podróż. Tak więc Flora wymyślała sobie własne zakończenia.

- Spotkamy młodziana, który nas obudzi pocałunkami, bo będzie królewiczem, a my śpiącymi królewnami. I będziemy mieszkali wszyscy w wielkim pałacu, a ja będę robiła, co będę chciała.

Mimo iż Flora była tłumaczem matki, jej historie żyły własnym życiem i różniły się często od przekazu Ady.

Minęło pięć miesięcy i ich podróż dobiegała kresu. Widziały po drodze aż nadto, otarły się o wybrzeża wielu krajów. Przepłynęły równik, gdzie powietrze było gorące, a przez całe tygodnie towarzyszyły im w żegludze latające ryby, morświny i wielkie ptaki morskie. Przez ostatnie kilkaset mil statek płynął wzdłuż brzegu i Ada wpatrywała się weń z pokładu, ale widziała tylko ciemny klif i czasami w dali za nim góry. Często rankiem, zasnuty mgłami brzeg znikał w ogóle. Pewnego popołudnia statek wyraźnie zwolnił i kapitan w bezceremonialny sposób oznajmił im, że mają zejść na ląd. Z pokładu spuszczone łódź, załadowano na nią ich dobytek, najrozmaitsze paki i kufry, a na nich postawiono skrzynię z fortepianem. Na jego widok Adzie zabiło żywiej serce. Płacząc się w swoich długich spódnicach i ślizgając na podeszwach ciasno zasznurowanych skórzanych bucików, Ada i Flora zeszły ostrożnie po sznurowej drabince, której końce falowały w turkusowym morzu, do łodzi, która powiozła je ku połyskliwemu brzegowi.

Ada oderwała wzrok od obcego szmaragdowego lasu i przyglądała się z daleka, jak marynarze wynoszą z łodzi skrzynię i kufry. Paru z nich stało na plaży, oddając bez żenady mocz, lecz Ada nie patrzyła w ich stronę. Jej uwagę przykuwali marynarze, którzy przez fale przyboju dźwigali fortepian. Uniosła się na palcach, zaciskając pięści z niepewności i lęku, gdy fortepian chwiał się na ramionach tragarzy. Przynaglającymi gestami zachęcała bandę brudnych, obdartych mężczyzn, dopóty dopóki nie ustawili instrumentu na wyższym, bezpieczniejszym miejscu.

Podczas odpływu szeroki pas piasku dzielił wodę od klifu, rodzaj ziemi niczyjej między stalowym oceanem a zielonym lądem. Stojąc na tej plaży, Ada nie czuła się jeszcze w pełni

na lądzie, połową duszy pozostawała wciąż na morzu. Stwierdziła raptem, że jest niezdolna spojrzeć ponownie na skały w obawie, że ich nefrytówozielone oblicze odepchnie ją jako obcą, przybyłą ze zbyt odległego kraju. Dał silny słony wiatr i Adzie wydawało się, że wciąż czuje pod stopami kołysanie okrętu. Wrażenie to towarzyszyło jej jeszcze przez wiele dni.

Kiedy marynarze postawili fortepian na plaży, Ada podbiegła i jęła go badać, macając dłonią w skrzyni. Jej drugiej ręce uczepliła się Flora, nagle wylekniona otwartą przestrzenią, na której się znalazła. Wiatr to przynosił, to porwał strzępy rozmowy marynarzy. Nikt na nie nie czekał, a okolica wydawała się nie zamieszкана.

- To bezludny brzeg, mówię wam, bezludny - dobiegły Ady słowa jednego z marynarzy.

- Tu ją kazali wysadzić, tu ją zostawimy.

- Niech cię paralusz!

- Pięknie, zostawić ją tutaj i iść do kreminału za fatygę?

- Jak sobie chcesz, ja tam wracam.

Do Ady podszedł starszy mężczyzna, przywódca grupki. Na głowie miał postrzępiony kapelusz słomkowy, przywiązany chustką pod brodą, a odziany był w kilka warstw kamizel, kaftanów, wełnianych szali, które robiły na Adzie wrażenie zlepionych brudem w jedną całość. Stojący za nim marynarze wpatrywali się pilnie w morze albo stali z oczami wbitymi w ziemię. Nie chcieli mieć z tym nic wspólnego.

- Morze ciut dziś niespokojone. Pewnikiem nie mogli po panią przy płynąć w taką pogodę. Może przyjadą lądem.

Ada kiwnęła głową. Szerokie czarne wstążki jej czepka trzepotały na wietrze.

- Ma się panusia pod czym schronić?

Ada odpowiedziała gestami rąk, które Flora przetłumaczyła głośno i dobitnie na język mówiony.

- Mamusia mówi, że panom dziękuje.

Marynarz zaczął się oddalać ku łodzi, ale zawrócił, ogarnięty raptem wątpliwościami, czy to właściwa plaża i czy wypada tu zostawiać samą kobietę z dzieckiem.

- Może panienki mamusia wolałaby z nami popłynąć do Nelson?

Ada z widoczną odrazą na twarzy odpowiedziała kaskadą gwałtownych gestów, po czym się odwróciła i czekała, aż Flora przetłumaczy.

- Mamusia mówi, że nie - oświadczyła Flora krzywiąc z podobnym niesmakiem swoją małą twarz. - Mówi, że wolałaby zostać usmażona przez dzikusów niż wrócić na tę cuchnącą balię.

Do żywego dotknęło to szpakowatego wilka morskiego. Nawykł do okrutnych marynarskich przycinków, ale nie miał zamiaru przyjmować podobnej bezczelności od kobiety i dziewczynki. Ada, choć tego po sobie nie pokazała, była w duchu rada ze śmiałości, z jaką Flora zinterpretowała jej słowa. Dziecko wypowiada często myśli, jakich dorosły nie ważyłby się głośno wyrazić. Marynarz zrobił krok w kierunku dziewczynki, więc Ada, ze zmarszczonym czołem, szybko ją osłoniła.

- Chętnie bym panienkę zamalował w tę wyszczekaną japę! - powiedział marynarz do Flory. - Ma panienka szczęście, że tego nie zrobię.

Po tych słowach marynarze odwrócili się i odeszli. Zepchnęli łódź z piasku i wkrótce widać ją było podskakującą na falach. Flora i Ada zostały same na plaży. Słońce połyskiwało na wodzie, migocąc różnymi odcieniami srebra, szarości i granatu. Za plecami, klif spowiła mgiełka, nad nią mieniło się tęczowymi blaskami zmienne światło.

Powoli mijały godziny. Flora pomogła Adzie przyciągnąć ich dobytek w pobliże fortepianu i ustawić tak, że wespół z

nim skrzynie i kufry utworzyły coś na kształt ogrodzenia. Usadowiły się obie na niskiej skrzyni, osłaniane przez Adę ciemnoczerwoną parasolką z frędzelkami przed nieustającym wiatrem, i Flora niebawem zasnęła.

Adę wprawiał w zdumienie panujący tu hałas. Krzyk ptactwa morskiego nad głową, szum krzewów i trzeszczenie drzew targanych wiatrem za plecami, łoskot fal rozbijających się o brzeg przed nimi. Ada zwracała raz po raz wzrok ku nadbrzeżnym skałom. Pokrywająca je roślinność jest taka bujna i gęsta! Może nikt z niej się nie wynurzy. Będą czekać na tej plaży w nieskończoność, aż umrą. Zaczynała się zastanawiać, czy roztropnie postąpiła odrzucając propozycję życzliwego marynarza. Ale spieszenie odepchnęła od siebie te wątpliwości. Po doświadczeniach podróży była przygotowana na wszystko, nic jej już nie mogło zadziwić. Głaszcząc buzię córeczki, przypominała sobie długie dni żeglugi. Niedogodności zahartowały je. Mimo choroby morskiej i tęsknoty za domem - dolegliwości fizycznej i duchowej - Ada czuła się silna. Zawsze była silna, przy swojej niemocie cieszyła się krzepką konstrukcją. "Jesteś uparta jak muł, panno McGrath" - mawiały z dezaprobatą jej ciotki. Ada nie żałowała, że zostawiła daleko osoby takie jak te stare panny. Jedyne człowiek, którego będzie jej brakowało, to ojciec. Nie pozwalała sobie o nim teraz myśleć, zbyt wielką czuła tęsknotę. Ale to przecież właśnie on wyprawił córkę i wnuczkę w tę daleką drogę.

Trzymając wciąż głowę Flory na kolanach, Ada odciągnęła obłuzowaną deszczułkę skrzyni z fortepianu. Wsunąwszy do środka dłoń z obrączką, do której nie mogła wciąż przywyknąć, poczuła pod palcami chłodne klawisze z kości słoniowej. Doznanie, którego była pozbawiona przez tyle miesięcy, przejęło ją dreszczem. Pochyliła się jak do modlitwy, oparła głowę w czarnym czepku o wieko skrzyni i

zagrała parę tonów. Dźwięki podziały na nią w pierwszej chwili kojąco, lecz wkrótce słodka pociecha fortepianu uzmysłowiła jej jeszcze silniej samotność i niepewność tego bezludnego miejsca.

Gwałtowny przybór wody podmył nieoczekiwanie pudło fortepianu, odepchnął skrzynię, na której siedziały, okleił im buciki i rąbki spódnic pianą, solą i wodorostami. Wyrwana z marzeń Ada skoczyła na nogi, z przerażeniem stwierdzając, że przybływ podpełznął niezauważony do ich stóp. Brutalnie obudzona Flora wdrapała się z piskiem na fortepian i obie przyglądały się bezradnie, jak morze unosi ich trzy skrzynki. Po chwili Ada, zmobilizowana do działania, rzuciła się w ustępującą falę, by ratować unoszoną klatkę z kurami, ale jedna kura, porwana przez wodę, odpłynęła z żalnym gdakaniem. Ada weszła głębiej w pogoni za skrzynkami, które oddalały się coraz bardziej, lecz wkrótce, wciągana ciężarem nasiakających wodą spódnic, zaniechała niebezpiecznych i beznadziejnych wysiłków. Zrozpaczona, przebiegła jeszcze raz wzrokiem klif za plecami, lecz skoro nie pojawił się nikt na powitanie, trudno było oczekiwać, że zjawi się teraz, żeby ratować ich dobytek.

Wkrótce słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi i Adę ogarnął lęk o bezpieczeństwo swoje i córki. W zielonkawoszarym świetle zmierzchu przebiegła z Florą spory szmat szerokiej wstęgi plaży. Przybływ ustępował, piasek nabrał wyglądu gładkiej, śliskiej foczej skóry. Kiedy wróciły do obozowiska, na niebie pozostało tylko ostatnie różowe pasemko słońca. Ada zajęła się pośpiesznie przygotowaniem czegoś w rodzaju namiotu, rada, że zajęciem zagłuszy niespokojne myśli. Z obręczy krynoliny skonstruowała budowlę, którą obłożyła halkami i zabezpieczyła kamieniami. Przynajmniej raz był jakiś pożytek ze stroju tak niewygodnego w noszeniu. Inna sprawa, jakie okaże się to schronienie w

praktyce. Wpełzłszy do środka, zapaliła świecę, przemieniając improwizowany namiot w olbrzymią latarnię chińską, zagubioną na bezludziu.

- Popatrz, jestem wielką ćmą - oznajmiła Flora kształtując dłońmi cienie na materiale. - Może to się zapali? - spytała, mniej strwożona ciemnością na zewnątrz niż jej matka.

Ada starała się utrzymać pozory, że wszystko jest w porządku, a ta noc na plaży to naturalne zakończenie ich podróży. Zamknięta jak w kokonie, zaczęła opowiadać Florze historie dla odciążenia jej myśli od kłopotliwego położenia. Jej dłonie poruszały się rzeźbiąc z gracją powietrze, twarz mieniła się emocjami, na przemian tkliwa i smutna, to znów wesoła lub obojętna.

- A wtedy wiatr powiedział: "Pamiętasz, jakeśmy się bawili?" Wziął ją za rękę i pociągnął. "Chodź, chodź ze mną". Ale ona nie chciała iść.

- Mamusiu, zastanowiłam się - przerwała Flora, po czym oznajmiła z poważną miną: - Nie będę nazywała go tatusiem, nie będę się do niego w ogóle zwracała. Nie będę na niego nawet patrzyła.

Po trochu udało się Adzie uspokoić Florę. Głaskała ją po włosach i buzi, dopóki dziewczynka nie zasnęła. Sama Ada leżała nie śpiąc, skulona w ciasnej przestrzeni wyznaczonej przez obręcz krynoliny. Jej myśl popłynęła wstecz, ku przeszłości.

Ada McGrath z Aberdeen miała sześć lat, kiedy jej ojciec nie mógł już dłużej odwlekać zaproszenia, które nieopatrznie obiecał swoim dwóm niezamężnym siostram, Patrycji i Ethel. Prowadziły ona długotrwałą kampanię, by uczynić z tego uroczystość rodzinną. Skoro muszą jechać taki szmat drogi, argumentowały, byłaby wspaniała sposobność, żeby się spotkać również z niezamężną kuzynką Gillian oraz jej bratem, a także jego żoną i synkiem. Ojciec Ady, Wyston

McGrath, uległ w końcu, wychodząc z założenia, że kuzyni i siostry może przypadną sobie do gustu i będą się wzajemnie zabawiać.

Wyston nie znosił gości. Już trzy tygodnie przed wizytą zaczął wymyślać nie cierpiące zwłoki zajęcia w majątku, które by go trzymały z dala od domu. W miarę zbliżania się przyjazdu krewnych robił się coraz bardziej poirytowany. Nie była w stanie go udobruchać nawet mała Ada, która normalnie potrafiła rozproszyć najczarniejsze humory ojca swoimi piosenkami, śpiewanymi z pasją niezwykłą u małego dziecka i z powagą urzekającą nie tylko Wystona, lecz wszystkich domowników.

Od czasu do czasu Ada próbowała swoją małą rączką gładzić i ścisnąć jego dłoń, co zawsze lubił, ale tego dnia jej czułości nie odnosiły skutku. Wyston cofnął z irytacją rękę, dając głośny wyraz niezadowoleniu z powodu zbyt wymyślnego nakrycia stołu. Ostatecznie stół zyskał uznanie w jego oczach po usunięciu jednego z pięciu kandelabrow. Jednakże następnego dnia Wyston zaczął się wahać i w końcu, omiatając wzrokiem pokój od końca do końca, orzekł, że cztery to głupia cyfra, a ponieważ stół jest za długi na trzy, będzie musiało w rezultacie pozostać pięć.

Pierwszy dzień wizyty minął może nie idealnie, ale bezkonfliktowo, gdyż goście byli najpierw zajęci oglądaniem domu, a następnie rządcą, odpowiednio poinstruowany, wymęczył ich oprowadzaniem po najdalszych zakątkach majątku. Ada była podekscytowana obecnością gości. Zbyt mała, żeby ich pamiętać z poprzednich odwiedzin, nie towarzyszyła im teraz w zwiedzaniu, ale bawiła się śledzeniem ich z daleka, kiedy jej nie widzieli.

Incydent, jak to później nazywano, wydarzył się trzeciego dnia wizyty przy długim stole jadalnym, wyglądającym teraz dziwnie pusto, bo w ogóle pozbawionym świec, gdyż w

ostatniej chwili Wyston uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie usunięcie wszystkich kandelabrow.

- Widzicie, w ten sposób nie ma problemu.

Mała Ada siedziała między dwiema ciotkami na wysokim krześle, specjalnie dla niej skonstruowanym. Obiad nie przebiegał gładko, Wystonowi nie przypadła do smaku pieczeń. Oświadczył, że jest łykowata i niejadalna i kazał ją zabrać, nie wziął tylko pod uwagę, że w kuchni nie ma nic, czym by ją można zastąpić. Goście, którym sprzątnięto sprzed nosa talerze, chociaż zawiedzeni, silili się na uspokajające uwagi pod adresem gospodarza. I właśnie w przerwie między zabraniem pieczystego a podaniem deseru przedmiotem zainteresowania stała się mała Ada, która najspokojniej w świecie wysypała na ciemny blat stołu zawartość cukiernicy i, wygładziwszy białą kupkę dłonią, oblizanym palcem wskazującym ją wypisywać w cukrze swoje imię.

Siedzące po jej dwu stronach ciotki odchrząknęły i popatrzyły znacząco na brata, który w końcu zwrócił wzrok na dzieło córki i huknął bardziej z uczuciem ulgi niż gniewu:

- Co ty najlepszego robisz?

- Rysuję na śniegu, tatusiu - odparła swoim cienkim, wyraźnym głosem.

- To nie śnieg, kochanie, to cenny cukier - sprostowała ciotka Ethel.

- Nie, ciociu, to śnieg. Kazałam mu napadać na stół.

- Wstań w tej chwili i chodź do mnie - zarządził ojciec.

Mała nie mogła sama zejść z wysokiego krzesła, o czym głośno przypomniwała. Powiedziała to, i ten dobrze znany fakt rozsierdził jej ojca w nieoczekiwany sposób. Ryknął na nią z taką siłą, że z jego ust poszybowała szara mgielka śliny, aż ciotka Patrycja, która siedziała najbliżej, cofnęła się i usunęła dłonie ze stołu.

- Pójdiesz, dziecko natychmiast do swego pokoju i nie będziesz się odzywała do końca dnia. Bo jak dotąd odzywałeś się tylko po to, żeby zadawać kłam ojcu i ciotkom.

Twarz dziewczynki oblała się krwawą czerwiecią, na jej górną wargę i czoło wystąpiły kłujące szpileczki potu. Ojciec nigdy nie podnosił na nią głosu, zawsze była jego rozpieszczoną pupilką. Samego Wystona zaskoczył wybuch, którego prawdziwą przyczynę stanowiła niewątpliwie wizyta sióstr i związane z tym naruszenie normalnego trybu życia. Ale dzieci muszą być posłuszne. Ada zresztą była grzeczna, a jeśli zdarzył się jakiś wyskok, to przywoływano ją do porządku łagodną perswazją i napomnieniami. Tego popołudnia słowa ojca przyprawiły ją o paroksyzm wstydu. Ukryła przed światem twarz w dłoniach. Nie odjęła ich, kiedy ojciec zdjął ją z wysokiego krzesła, i ze łzami ciekącymi po policzkach powlokła się na niepewnych nóżkach do sieni i na górę do swego pokoju. Kiedy wchodziła po schodach, ojciec zawołał za nią:

- I pamiętaj, masz nie mówić.

Poprawiwszy surdut, wrócił do jadalni, przydawać do końca zakłóconego posiłku. O córce nie myślał więcej, pewien, że się uspokoi i następnego ranka wszystko będzie znowu w porządku.

W zaciszu swego pokoju, dziewczynka rzuciła się na łóżeczko i wsunęła między zęby gruby róg poduszki, żeby tłumić jej szloch. Ku jej zdumieniu z piersi nie wydobył się żaden dźwięk. Mała usiadła, a w jej oczach malował się mrok przejmujący dreszczem i grozą. Siedziała bardzo długo, z rączkami splecionymi na kolanach, z wielkimi, zimnymi, czarnymi oczami wbitymi w ścianę naprzeciwko. Pozostała tak, nieruchoma i zapatrzona, aż mrok zasnuł powoli pokój i zapadła noc.

Minęły dwa dni, nim zauważono, że dziewczynka dotąd nie przemówiła i ku ogólnemu zdumieniu nie odpowiada nawet na polecenia, żeby powiedziała dobranoc. Po tygodniu zaniepokojony ojciec wezwał ją do swojego gabinetu i mała czarnowłosa, czarnooka dziewczynka stanęła przed jego obliczem. Popatrzywszy na nią, poprawił się niepewnie na prostym krześle. W tych czarnych oczkach kryło się coś dziwnie niepokojącego. Miały wyraz po części oskarżycielski, po części wyniosły. Dziewczynka stała ze stópkami równo dosuniętymi na skraju tureckiego dywanu.

- Ado - powiedział ojciec - ukarałem cię, a teraz przez ostatni tydzień, ty mnie karzesz. - Popatrzył na nią, a ona odpowiedziała nieruchomym, wybaczącym spojrzeniem. - W moim mniemaniu jesteście kwita, nie uważasz? - Pochylił się, żeby jego grubokoścista twarz znalazła się na jej poziomie.

- Jesteście kwita?

Ada słyszała dobrotliwy głos ojca, patrzyła w twarz, którą tak kochała, lecz mimo całej swojej miłości do niego i mimo jego wielkiego oddania dla niej nie mogła się sprzeniewierzyć edyktowi swojej żelaznej dziecięcej woli. Z nieustępliwością więźnia, będzie trwała w milczeniu.

Wyston zastygł w wyrazie po trosze podziwu dla małej osóбки - córki, po trochę wściekłości na nią. Nie chcąc uciekać się do przemocy wobec dziecka, uczynił sobie zabawę z żartobliwych pogróżek i cytowania przysłów, z których ulubionym było: "Pies, który nie szczeka, gryzie najdotkliwej". Wkrótce ojciec i córka stali się jeszcze bliżsi sobie, on w swojej pobłażliwej tolerancji, ona w swojej dziecięcej nieustępliwości. Po upływie trzech lat, po dwóch wyprawach do specjalistów w Edynburgu nawet służące, które nieraz próbowały z niej po cichu wydusić słowo, musiały

uznać fakt, że mała Ada nie mówi. A przysłowiowe w domu stało się ulubione dictum ojca:

- Masz w sobie mroczny talent, dziecko. Dzień, w którym umyślisz sobie przestać oddychać, będzie twoim ostatnim.

Zanim Ada - wyrzucona jak szczątki rozbitego okrętu - znalazła się na plaży wiele tysięcy mil od Aberdeen, dawno przywykła już do swej niemoty. Wypchnęła z pamięci ów "incydent", pamiętając - jak ptak, który wie, że ma lecieć na południe - iż powód tej niemoty jest fundamentalny i niepodważalny, stanowi podstawę jej egzystencji i wszystko inne jest jego konsekwencją.

ROZDZIAŁ 2

Był wczesny ranek. Pod baldachimem liści wędrowała grupa czternastu Maorysów, mężczyzn i kobiet, oraz dwóch pakeha, Europejczyków. Wilgoć, roślinność i mrok były tak gęste, że powietrze wydawało się zielone jak morskie odmęty. Nad ich głowami odbijały się echem głosy ptaków i owadów. Alisdair Stewart kroczył sztywno, rozgarniając zamasyście gałęzie, zniecierpliwiony, jak gdyby drzewa wyciągały naumyślnie ramiona, żeby mu zagrozić drogę. Mieszkał w Nowej Zelandii od wielu lat i lwia część spędził na walce z subtropikalną roślinnością. W pierwszym okresie jego posiadłości dostarczały obficie drzew kauri - masywnych, prostych, wysokopiennych, niemal pozbawionych sęków, wspaniałych jako materiał na maszty. Od tamtego czasu jednak Stewart walczył z niesfornie odrastającymi pnączami i paprociami. Zdawało mu się chwilami, że gdyby przerwał walkę choćby na jeden dzień, natura zniweczyłaby wszystkie jego wysiłki, zalała oczyszczone z takim trudem użytki zielonymi falami nieokiełznanej wegetacji. Ilekroć wychodził poza teren swoich posiadłości miał zwyczaj zabierać ze sobą siekiere do karczowania odpowiedniej ścieżki. Las, tak jak zamieszkujących go Maorysów, należało trzymać w ryzach. Stewart uznał jednak, że na spotkanie nowo poślubionej żony, nie przystoi wyprawiać się jak robotnik z siekierą zostawił więc wyjątkowo narzędzie w domu.

Alisdair Stewart był wysokim mężczyzną o regularnych rysach uważanym w młodości, a nawet teraz, kiedy posunął się już w latach, przez większość kobiet za przystojnego, a przez siostry i ciotki za urodziwego. Nie był zresztą pozbawiony odrobiny próżności, jeśli chodzi o własny wygląd. Potknąwszy się, stanął i zdjął cylinder ze śladami błota. Jego blond włosy i twarz o jasnej cerze ociekały potem. Wyjął z kieszeni srebrny grzebyk, przecesał włosy. Potem

obciągnął ciasny, niedopasowany zakiet, który miał na sobie dwa razy w minionym dziesięcioleciu, ale w którym uparł się wyruszyć w długą wędrówkę na spotkanie żony. Na spotkanie żony! Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy na tę myśl. Jeszcze raz, może już setny, wyłuskał z kieszeni mały owalny dagerotyp kobiety, którą miał wkrótce poznać. Wygląda na spokojną, pocieszył się nie pierwszy już raz, ale i reżolutną. Ada, powtórzył bezgłośnie, obracając jej imię na wargach. Moja żona, Ada.

George Baines, drugi biały mężczyzna w grupie, zatrzymał się czekając, aż Alisdair Stewart skończy oglądać dagerotyp. Baines zupełnie nie przypominał wyglądem towarzysza. Przy wysokim i szczupłym Stewarcie wydawał się niski i twardo umięśniony; miał na sobie luźny barwny strój, równie ekscentryczny jak niestosownie oficjalny zakiet i sztuczkowe spodnie tamtego; także jego spokojne, powściągliwe zachowanie kontrastowało z zaaferowaniem i nerwowością Stewarta.

- Zrobimy postój? - spytał Baines.

Lecz Stewart nie słyszał, zatopiony w myślach. Baines przyglądał mu się chwilę. Nie rozumiał tego człowieka. Ten jego dagerotyp żony, ta jego sztywna formalność.

- Zrobimy postój?

Stewart i tym razem nie odpowiedział, więc Baines podbiegł za Maorysami wołając:

- Tai hoa! Me tatari tatou... Me tutatou i konei... (Czekajcie! Robimy postój... Stajemy...)

Jednakże odwróciwszy się zobaczył jak Alisdair Stewart rzuca ostatnie ukradkowe spojrzenie na dagerotyp, obracając go pod światło, żeby ujrzeć w szkiełku oprawy własne odbicie. Nagle otrząsnawszy się ze swoich lęków, Alisdair ruszył szparko między drzewa.

- Trzeba iść - oznajmił zdecydowanie.

Zaskoczeni Maorysi popatrzyli na Bainesa. Jeden odwrócił się i ruszył za Stewartem, który wysforował się teraz naprzód.

- Aue tepatupaiarehe! (Biali ludzie, cóż się dziwić!) - skomentował.

Wydostawszy się z leśnej gęstwiny na twarde piasek plaży, kilkunastoosobowa ekspedycja zaczęła się posuwać szybciej, niemal rażno. Maorysi, dziwacznie ubrani w mieszaninę strojów tradycyjnych i europejskich, które każdy nosił na swój własny sposób, stanowili malowniczą grupę. Dwaj mężczyźni mieli jak Alisdair Stewart cylindry, które przyozdobili piórami i paciorkami. Dwaj inni dzielili się jedną parą butów.

Posuwając się wzdłuż plaży, Stewart dostrzegł w oddali zbiorowisko skrzynek i kufrów. Ze skurczem lęku pomyślał, że zostały tu porzucone i nie ma przy nich nikogo. W rozległej zatoce nie było zakotwiczonego okrętu. Zbliżywszy się zauważył jednak białą kopułę materiału, która nie mogła być niczym innym jak zaimprovizowanym namiotem. Maorysi zaczęli od razu oglądać i opukiwać skrzynki. Stewart skierował się ku namiotowi i stanął jak wryty, zdając sobie sprawę, że został on zrobiony z halek. Spod białego płótna wystawała mała stopa w pończosze.

Hałas zbliżającej się kompanii obudził zarówno Adę, jak i Florę. Ada poderwała się na dźwięk męskich głosów mówiących dziwnym językiem. Poprawiała Florze włosy, pomacała własne - ciasne warkocze nie rozplotły się szczęśliwie w trakcie długiej nocy. Flora przywarła do matki, gdy białe płótno nagle się uniosło i ukazała się brązowa twarz, otoczona długimi czarnymi splotami. Ku ich uldze z niezrozumiałego bełkotu wybił się wyraźny głos:

- Czy panna McGrath? Jestem Alisdair Stewart. Stojąc przed płócienną kopułą, Stewart zdjął cylinder i machinalnie przeczesał jeszcze raz włosy. Przyklepując je nad czołem,

pomyślał, że nie jest to zbyt fortunny wstęp do jego długo i z trudem aranżowanego małżeństwa.

- Musisz się pani obudzić. Przyprowadziłem ludzi, żeby zabrali wasze rzeczy.

Ada uczyniła wdech dla uciszenia walącego serca, posłała Florze uspakajające spojrzenie. Przyjechać taki szmat świata i zostać zaskoczoną pod namiotem z własnych halek! Jednakże Ada nie czuła zakłopotania, obca jej była fałszywa skromność. Odczuwała tylko niecierpliwość i obawę przed nowym życiem. Wyczołgała się tyłem spod rozpiętych na obręczach halek, obciągnęła dopasowany żakiet, śpiesznie nasunęła na głowę czepek. Wokół było pełno ludzi - stali i gapili się na nią mężczyźni o brązowej skórze, brązowe kobiety już zabierały się do obmacywania jej ubioru. Na statku Ada nasłuchiwała się opowieści o pierwotnych mieszkańcach Nowej Zelandii, dzikich, wojowniczych kanibalach - żeglarzach. I oto stała otoczona przez nich. Wielu miało na twarzach skomplikowane wzory tatuażu. Nawet drugiego z białych zdobiły niewielkie rysunki na czole i nosie, a kędzierzawe włosy okalał mu słomkowy kapelusz, jak na pikniku. Niektórzy z Maorysów mieli gołe nie tylko ręce i nogi, ale także wystawione na wiatr torsy i brzuchy.

Ada spuściła wzrok, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy. Co jeszcze może zobaczyć? Nigdy nie widziała nagiego ludzkiego ciała, jeśli nie liczyć własnego i córki. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili naszyjniki z muszli, mieli rzeźbione kolczyki z paciorkami w uszach, kolorowe przepaski na włosach. Przechadzali się swobodnie po plaży, nie krępowani butami, obręczami ani innymi modnymi atrybutami europejskiego stroju. Kiedy uniosła powoli głowę, żeby zerknąć na tych ludzi, odwzajemniali śmiało jej spojrzenie, wymieniając głośnie komentarze. Jedna z kobiet, postawna, tęga, ubrana w koszulę i spódnicę ze zgrzebnej

tkaniny workowej, z długimi czarnymi włosami opadającymi na ramiona, podeszła i wyciągnęła rękę ku jej twarzy. Ada spuściła wzrok i zajęła się zawiązywaniem czepka, podczas gdy kobieta głaskała ją po policzku.

- Te komaa hoki. Ano nei he Anahera enei. (Patrzcie, jaka blada. Jak anioły.)

Maorysi zdawali się równie zaskoczeni wyglądem jej i Flory, jak one ich. Flora w przypiływie nieśmiałości, kryła się za spódnicą matki. Również Ada, znalazłszy się po raz pierwszy przed obliczem męża, czuła się jak sparaliżowana. Nie mogła się zdobyć, by na niego spojrzeć, podobnie jak on nie był w stanie spojrzeć na nią.

- Widzę - przemówił zbyt głośno, starając się tym pokryć skrępowanie - że masz pani dużo skrzyń i kufrów. Chciałbym wiedzieć, co jest w każdym z nich.

Nim skończył, Ada poczuła, że jej spódnica nagle się unosi. Na piasku leżało dwóch młodych mężczyzn badając kijami materię jej krynoliny, jakby była egzotycznym zwierzęciem. Jeden wskazał jej stopy, po czym uczynił gest, jakby obejmował dłońmi jej bucik.

- Te monohi hoki! (Jakie małe!) - zauważył. Adzie zaparło dech w piersiach. Tupnęła nogą, oburzona taką bezczelnością.

Stewart przyglądał jej się niepewnie.

- Słyszysz mnie, pani? - wyskandował. Ada kiwnęła głową, mierząc go zimnym wzrokiem, urażona jego zwolnioną, głośną wypowiedzią. Maoryski rozebrały tymczasem namiot i tańczyły w halkach, a jedna nałożyła obręcze krynoliny na swoją postrzępioną spódniczkę.

- To dobrze, dobrze. Bardzo dobrze.

Alisdair Stewart uśmiechnął się i zlustrował twarz Ady McGrath w poszukiwaniu jakiejś oznaki zrozumienia. Peszył go brak odzewu z jej strony. Liczył, więcej, miał nadzieję, że

trafi mu się osoba skromna, może nieśmiała, ale nie spodziewał się takiej koturnowej sztywności. Uśmiech zamarł mu na wargach i Alisdair Stewart, przyglądając jeszcze raz włosy, ruszył ku najbliższym skrzynkom. Podskoczyło za nim kilku Maorysów, jeden z nich naśladowując każdy jego ruch.

- Co w tym jest? - zapytał trąc wielki kufer.

Ada wskazała napis na wieku: PORCELANA I GARNKI. Pakowała rzeczy pod czujnym okiem ciotek, na każdej skrzyni oznaczała starannie zawartość, a w woreczku miała spis wszystkiego.

- A tak, rzeczywiście - powiedział Stewart pochylając się nad napisem, w który jeden z Maorysów stukał palcem, jakby chcąc go skłonić, żeby przemówił. - Porcelana... - Stewart zerknął spod cylindra na Adę. - Jesteś, pani bardzo mała. Nigdy nie myślałem, że będziesz taka mała.

Na te słowa Ada jakby się jeszcze skurczyła.

- A co tu jest? - spytał Stewart podchodząc do największej skrzyni. - Co to takiego wielkiego? Łóżko?

Wszyscy zgromadzili się dokoła wielkiej skrzyni, a kiedy ktoś ją trącił, fortepian brzęknął echem. Ada wydobyła spod zakietu notes w srebrnej oprawce i ołówek, które zawsze nosiła na szyi, ale nim zdążyła cokolwiek napisać, Flora rozpostarła opiekuńczo ramiona na pełnym drzazg wieku skrzyni i przemówiła po raz pierwszy do nowego ojczyma.

- To fortepian mamusi - oświadczyła odsuwając linę, która się plątała pod nogami idącej jej na odsiecz Ady.

Stewart odwrócił się bez komentarza, jakby nie słyszał słów Flory. Podszedł kawałek do drugiego Europejczyka.

- Powiedz im, Baines, żeby parami brali rzeczy. Weźmiemy skrzynki, kufry i stół.

Machnął lekceważąco w stronę zgromadzonych pak. Ada patrzyła z daleka, jak biali mężczyźni coś mówią, ale nie słyszała ich słów.

- Co myślisz? - spytał zniżonym głosem Stewart wskazując głową Adę.

George Baines zastanowił się chwilę. Słona bryza lizała mu twarz i włosy, gdy tak stał przyglądając się kobiecie.

- Wygląda na zmęczoną - powiedział wreszcie.

- Jest zahamowana w rozwoju, to jedno pewne - oświadczył Stewart i oddalił się porywczo.

Baines pozostał na miejscu, patrząc jak Ada daje w bezgłośny, acz zdecydowany sposób jakieś znaki córce. Dziewczynka zrobiła niepewną minę, więc Ada wyciągnęła notes i coś napisała. Flora pobiegła z białą kartką do Stewarta. Napisane na niej było: "Co z fortepianem?"

- O, nie, nie możemy go teraz zabrać - odparł zdecydowanie Stewart.

- Musi pan - nalegała Flora. - Mamusia chce go mieć.

- Ja też bym chciał. - Zwracając się do dziewczynki, Stewart ruszył z powrotem w kierunku Ady i fortepianu. - Za mało nas, żeby go wziąć. - powiedział głośno do Ady. - Jest za ciężki.

Ada, z rosnącym w piersi przerażeniem, napisała szybko drugą kartkę. Podała ją mężowi.

- Muszę mieć fortepian.

- Znaczący, że wolisz zostawić naczynia czy ubranie? - spytał niedowierzająco Stewart. - To chcesz powiedzieć?

Ada dała znak Florze, która przetłumaczyła:

- Nie możemy zostawić fortepianu.

- Nie mówmy o tym więcej. Cieszę się bardzo, że dopłynęłaś pani szczęśliwie - powiedział Stewart uroczyście, starając się nadać głosowi cieplejsze brzmienie, w nadziei, że zapobiegnie to dalszej dyskusji.

- Mamusia chce wiedzieć, czy ci ludzie będą mogli wrócić po fortepian...

Stewart, zdumiony, że dziecko odważa mu się przerywać, zwrócił się do żony, ignorując pytanie Flory.

- Pragnę przeprosić za godną pożałowania zwłokę, która wynikła...

Podczas gdy mówił, Ada posyłała Florze serię znaków. Flora śledziła przez chwilę szybkie ruchy dłoni matki, po czym znów przerwała Stewartowi głosem ostrym i natarczywym.

- ...zaraz jak odniosą inne rzeczy.

Na twarzy Stewarta odmalowała się irytacja, usta pozostały lekko uchylone. Odwrócił się, jakby dla powściągnięcia gniewu. Tymczasem Maorysi zaczęli się bawić sytuacją, co jeszcze wzmogło rozdrażnienie Stewarta.

- Kia tupato, kuu pukurihia - powiedział Kamira, jeden ze starszych Maorysów. - A te raho Maroke. (Patrzcie, stary sztywniak wychodzi ze skóry).

Maorysi parsknęli śmiechem, wywołując na twarzy Stewarta krzywy, z braku zrozumienia uśmieszek. Jeśli chodzi o niego, sprawa fortepianu została zamknięta. Czuł się upokorzony przez te dwie małe kobietki, które powinny były się ugiąć przed jego wolą. Fortepian jest ciężki i nikomu niepotrzebny. Ponadto gdyby im teraz ustąpił, stanowiłoby to niebezpieczny precedens. Muszą zaakceptować jego decyzję.

Cały incydent wytrącił go z równowagi. Spotkanie nie wypadło w sposób, o jakim od dawna marzył. Dopuszczał nawet, że w pewnym momencie ucałuje dłoń żony, co teraz wydawało się całkowicie nie do pomyślenia.

- Musisz się pani przygotować na trudną wędrówkę - oznajmił szorstko, nie patrząc na Adę. - Będziemy iść przez gęsty las, który często drze ubranie, a miejscami trzeba brodzić w błocie.

Z tymi słowy odwrócił się, pozostawiając Adę, która wciąż stała przy fortepianie. Flora przysunęła się do matki i

zaczęła ją pocieszająco gładzić po ręce. Ada patrzyła, jak Stewart podchodzi do Maorysów, którzy się zajęli zbieraniem muszli. Nie mogła pogodzić się z takim obrotem sprawy. Przywiozła fortepian taki szmat drogi, tyle tysięcy mil, wiozła go tyle dni, miesiące. Fortepian jest jej częścią, materialnym wcieleniem jej przeszłości. Nie zostawi go tak po prostu na plaży.

- Co oni wyprawiają? - krzyknął Stewart do Bainesa, widząc, jak paru młodych Maorysów zaczyna się gonić, brodząc w wodzie. - Nie mamy czasu na takie zabawy.

Niebawem wszystko co możliwe zostało zebrane i cała ekspedycja zaczęła się oddalać od rozkołysanego, połyskliwego oceanu ku pozornie nieprzebytej ścianie roślinności. Alisdair Stewart nie odezwał się więcej do Ady, polecił tylko przez Bainesa, żeby matka z córką szły za wszystkimi. Ada zawieszona nadal między rozkołysaniem fal a odmętym drzew, zrozumiała, że nie ma wyboru. W miejscu wskazanym przez Bainesa otwierała się na skraju lasu ścieżka. Z oczami pełnymi łez, ze szczupłą bladą twarzą skurczoną gniewem i poczuciem krzywdy, Ada ujęła Florę za rękę i ruszyła za Bainesem, wstrząśniętym taką manifestacją uczuć.

Wdrapawszy się po stromym zboczach, dotarli do miejsca na szczycie klifu, skąd przed oczami Ady otworzył się widok na samotny fortepian na brzegu rozfalowanego oceanu. Patrzyła z góry na porzuconą skrzynię z instrumentem, stojącą na skraju bezludnej plaży, z falami przyływu podpełzającymi ponownie do jej krawędzi. Pozbawiona swego fortepianu poczuła się jeszcze bardziej oddalona od domu, gorzej nawet niż minionej nocy. Została pozbawiona głosu, okaleczona w sposób nie mający nic wspólnego z niezdolnością do mówienia. Patrzyła przez długi kilka minut na plażę w dole, walcząc z uczuciami rozsadzającymi jej pierś, powściągając impuls sprzeciwienia się mężowi w pierwszej godzinie

małżeństwa. W końcu ujęła dłoń Flory, czepiając się jedynej nadziei, jaka jej pozostała na tym świecie. Wróci tu, powiedziała sobie. Znajdzie sposób odzyskania fortepianu.

ROZDZIAŁ 3

W miarę jak Ada McGrath dorastała, utwierdzał się mit jej niezłomnej woli, w który się drapowała jak w ciernisty, lecz chwalebny szal. Taka już była. Mimo swych dwunastu lat dziewczynka pozostawała wciąż drobna, schludna, proporcjonalna. Nie piękna, ale ujmująca. Śmiałe spojrzenie jej czarnych oczu potrafiło przejmować dreszczem, przerażając swą nieustępliwością co lękliwsze służące.

Dwunastoletnia Ada lubiła robić trzy rzeczy - czytać, upiększać wszystko oraz grać na fortepianie. Ale najbardziej dziewczynka lubiła fortepian, na którym ojciec pozwalał jej grać do woli. Kupił go dla swojej młodej żony Cecylii jako prezent na drugą rocznicę ślubu, a ona pokochała instrument namiętnością, która w innych okolicznościach mogłaby się wydać nie na miejscu. Wyston i Cecylia obchodzili razem tylko dwie rocznice, tę drugą szczególnie radośnie. Przez ostatnie pół roku ciąży Cecylia grywała dzień w dzień, aż Wyston pozwolił sobie kiedyś na żart, że dziecko urodzi się pewnie koncertowo.

Dziecko się urodziło, ale bynajmniej nie koncertowo. Poród był długi i trudny, pozostawił Cecylię bez sił. Wyston wynajdował sobie zajęcia w majątku, miotał się po domu, gromił wystraszonych podwładnych, choć wiedział, że powinien się zachowywać cicho i spokojnie. Niemowlę - dziewczynka, którą po matce Cecylii nazwali Adą - kwiliło zdrowe i rumiane, natomiast położnica gasła w oczach. Trzy tygodnie później nie żyła. Wyston pozostał sam z niemowlęciem. I z fortepianem, który mu przypominał żonę.

Fortepian był firmy Broadwood, koncertowy, wykonany z drzewa różanego. Górne klapy miał rzeźbione w subtelne, skomplikowane wzory kwiatowe i od spodu obite krwistoczerwonym aksamitem. Stał na żłobkowanych nogach, skrzyżowanych w kształt pięści, które Ada nazywała lwimi

łapami. Dźwięk miał najlepszy przy odsłoniętych klapach, bo wtedy harfopodobne struny brzmiały pełnią głosu. Pod strunami znajdowały się misterne wkładki z żółtego drzewa, na których producent wypisał zasady przyświecające mu przy konstrukcji. Filcowe tłumiki były czarne z cienkim pasemkiem czerwonego filcu na jednym brzegu. Kiedy stroiciel McGregor czynił swoje zabiegi przy fortepianie, Ada patrzyła z zachwytem, że tyle jego części można wymontować - pokrywę, klapę i każdy klawisz po kolei, wysuwany, a potem wsuwany ostrożnie z powrotem. McGregor chwalił instrument, a mała Ada rumieniła się z dumy, jakby to fortepian był jej matką, a pochwały odnosiły się do jej doskonałej budowy, figury i głosu. Nikt nie wspominał nigdy Adzie, że fortepian stanowił kiedyś własność jej matki, ale Ada to skądś wiedziała, a ponieważ nie pamiętała matki, grając wyczarowywała w wyobraźni subtelną, ciepłą postać, utworzoną z muzyki i politurowanego drzewa. Nazywała ją Cecylią.

- Ma dźwięk czysty jak ludzki głos - oznajmił pewnego dnia McGregor strojąc fortepian.

Odwiedzał regularnie dom McGrathów, bo instrument wymagał częstych zabiegów ze względu na wilgotny, ostry klimat i na fakt, że Ada tak dużo na nim grała. Popatrzył na nią, gdy tak stała, czujnie strzegąc wymontowanych części.

- I dobrze, że ma taki głos, mała, zastępuje tę twoją zasznurowaną buzię. Co ty w niej dusisz, powiedz? Myszkę? Jakbyś otworzyła usta, wydobyłby się z niej mysi pisk?

Ada się nachmurzyła, oczy jej pociemniały, podniosła głowę, żeby go tym celniej przyszpilić wzrokiem. Widząc, że ją rozgniewał, McGregor zamilkł i zajął się z powrotem robotą. Kiedy Ada podała mu po kolei wszystkie części i stroiciel wsunął je na miejsce, powiedział:

- Widzisz, jakie to pomysłowo proste. - Obrócił się do Ady, wziął ją za rękę, zajął jej w oczy. - Kryjesz jakąś tajemnicę, moja mała? Jakąś wielką tajemnicę, coś przeraźliwego, co kiedyś zobaczyłaś?

Mała Ada wyczuła uroczystą powagę chwili i oczy zaszkły jej łzami jak na dźwięk hymnu w kościele, więc kiedy potrząsnęła przecząco głową, stroiciel łypnął na nią i puścił jej małą rączkę. Pozostał jednak przy swoim przypuszczeniu, które mu podsunęła intuicja.

- Za tym milczeniem kryje się coś niemożliwego do opowiedzenia - zauważył później w kuchni.

- Niech pan w to nie wierzy - odparła najmłodsza z podkuchennych. - To tylko takie jej gierki. Psuli ją od urodzenia.

Zanim zasiadła do swego Broadwooda, dziewczynka zamykała drzwi z jadalni do kuchni i do sieni. Zamykała również drzwi z sieni do bawialni i z bawialni do dużego salonu z boazeriami, gdzie niegdyś ćwiczyła jej matka. Siedziała tu i grała, nigdy nie krócej niż dwie godziny, a bywało, że i cztery, pięć godzin. Nie pobierała nigdy formalnych nauk, potrafiła jednak uchwycić i zagrać melodię, którą posłyszała.

Kiedy skończyła dwanaście lat, do domu sprowadzono krawcową, która jej uszyła pierwszy gorset i pierwszą długą krynolinę na obręczach. Tego samego dnia ojciec ofiarował jej w prezencie fortepian, a ona odegrała mu w podziękę jego ulubione kompozycje.

Wystonowi McGrathowi rosło serce, kiedy patrzył, jak mała osóbką gramoli się na stołek podwyższony dwoma grubymi tomami i pochyła się poważna i skupiona nad klawiaturą. Jej gra nie była wyrafinowana, lecz ujmująca, melodyjna, pełna pasji. Imponowało mu, a zarazem wprawiało w lekkie zakłopotanie, że mała pianistka kołysze się nad

klawiaturą, a nawet trafia w klawisze z zamkniętymi oczami. Miał dość delikatności, żeby nie używać swego autorytetu w celu zmuszania jej do popisów przed gośćmi, domownikami czy kimkolwiek innym, jednakże stopniowo utwierdzało się w jego umyśle przekonanie, że należy jej się jakiś instruktaż. Powinna mieć kogoś, kto by ją wtajemniczył w arkania muzyki, a może również pełnił rolę ogólnego preceptora.

Wędrówka przez las nie miała końca. Dzień zrobił się bardzo gorący i parny, ubranie zdawało się za ciasne, lepilo się od potu, ciążyło obrastając błotem. Ada nie mogła się nadziwić przepychowi egzotycznej roślinności. Rosły w tym kraju wszelkiego rodzaju krzewy, paprocie i mchy, z butwiejących, martwych pni puszczały się nowe pędy, wszystko to spletało się w gęstwą pnączy, liści, gałęzi. To, co się wydawało z daleka jednolitą zieloną ścianą lasu, wewnątrz, w przeświecających promieniach słońca, mieniło się jak w kalejdoskopie wszystkimi kolorami, od bladożółtych młodziutkich pędów do połyskliwych fioletowo - czarnych pni gigantycznych palm. Bose, brązowe stopy Maorysów kłaskały w błocie. Ada nie miała wątpliwości, że to oni ich prowadzą. Oni i ten drugi biały, Georges Baines, który zdawał się również znać kierunek i który służył Stewartowi za tłumacza. Droga była uciążliwa, Ada i Flora brnęły z trudem w swoich wykwinnych bucikach i nieporęcznych krynolinach.

Alisdair Stewart parł naprzód przed Adą i jej córką, nie śmiejąc się obrócić. W głowie kłębiły mu się sprzeczne myśli. Wreszcie przybyła ta jego nowa żona, ale jakże jest odmienna od tego, czego oczekiwał. Wyrzucał sobie naiwność. Dowiedziawszy się, że jest niema, przypisał jej cechy milczącej mniszki, pobożnej, posłusznej, pięknej, no i pełnej uwagi i wdzięczności dla niego. Oczywiście wszystko to okazało się nieprawdą. Jest zwykłą narzeczoną na

zamówienie pocztowe, a z niego skończony głupiec, że się spodziewał potulnej świętej.

Również Alisdair Stewart nie odpowiadał oczekiwaniom Ady McGrath, tyle że jej oczekiwania były znacznie skromniejsze. Nie wysyła się panny na drugi koniec świata na spotkanie księcia małżonka. Wbrew opowieściom Flory wiedziała, że w tym kraju nie ma królewiczów z bajki. Brnęła teraz, wbijając z determinacją buciki w błoto, myśląc jedynie o tym, żeby nie upaść, nie dbając już o stan swojej spódnicy. Maorysi pozawijali nogawki powyżej kolan, Maoryski przezornie zatknęły spódnice za pas. Przed nią przedzierała się Flora, jej krótkie nóżki tonęły głęboko w lepkiej bryi, spódniczka w szkocką kratę wlokła się cały czas w błocie. Dziewczynka dyszała szybko, ciężko. Cóż, nie będzie przynajmniej cierpieła dłużej okrętowej nudy, pomyślała Ada, ten dziwny świat dostarczy jej pod dostatkiem atrakcji.

Flora wdrapała się na wystający kamień. W tym nowym świecie, z przybranym ojcem i czekającym ją, nieznanym życiem, jej pierwszym wrażeniem było błoto. Oblepiało buciki, nogi, sukienkę. W domu nie pozwalano jej się nigdy bawić w miękkim szarym błocie, tutaj każą w nim brodzić w najlepszym stroju podróżnym. Florze sprawiało to niemal przyjemność. Była jak Ada obdarzona żywą ciekawością, a w przeciwieństwie do niej podczas żeglugi wyzbyła się z dziecięcą łatwością wspomnień. Wystarczyło jej, że jest z matką.

Idący przodem Maorysi zatrzymali się nagle na jakiejś polanie i zaczęli żywo rozprawiać. Podszedł do nich Baines.

- E aha tenei? (Co się stało?) - spytał cicho. Odpowiedział mu przywódca Maorysów, Hone, o twarzy częściowo pokrytej głębokimi rysami tatuażu.

- E binga te Konia ra a Pitama i konei. (Tutaj umarł stary Pitama.) - Wskazał palcem między drzewa. - Kare noa Kia hikina te tapu. (Nie odczyniono jeszcze tapu.)

Zbliżył się Stewart i ignorując Maorysów, zwrócił się bezpośrednio do Bainesa:

- Co się stało?

Hone zaczął wyjaśniać, ale Stewart mu przerwał, kierując pytanie wyłącznie do Bainesa:

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Ktoś tu umarł. To miejsce jest tapu - wyjaśnił Baines.

- Przecież szliśmy tędy. Pamiętam dokładnie. Niepotrzebna zwłoka zirytowała Stewarta. Maorysi wciąż dyskutowali. Tapu był to teren święty, na który nie można wchodzić. Hone oświadczył, że ktoś musi poszukać innej drogi.

- Chcą po prostu więcej pieniędzy - orzekł Stewart. - Próbują z tego zrobić wyprawę dwudniową.

- Nie, nie - zaprzeczył Baines. - Znają inną drogę obok.

Korzystając z postoju Ada poszukała suchego miejsca, żeby usiąść i odpocząć. Las wydał jej się nagle przytłaczający, jakby się zasklepił nad ich głowami, gdy tylko się zatrzymali, tak jak zamykająca się nad topielcem woda. Ada przysiadła na pniu zwalonego drzewa, Flora wgramoliła się i usiadła obok niej. Pod baldachimem drzew, wśród śpiewu ptaków Ada czuła spowijającą je niemal namacalną wilgoć. Było to w najwyższym stopniu deprymujące.

Po obu stronach usadowiły się Maoryski, z jednej młoda, a z drugiej starsza, która zwróciła uwagę Ady na plaży koszulą i szeroką spódnicą z workowatego płótna. Nieprzenikniona obcość tych kobiet przejmowała Adę lękiem, tak jak otaczający las. Z rozpuszczonymi włosami, w swobodnych strojach, zdawały się nie skrepowane swoją cielesnością, stateczne i niewzruszone w sposób, który nie mógł być

bardziej obcy Adzie odzianej w czepek i ciasno zasznurowany gorset. Starsza kobieta ujęła w grube palce srebrny notes, wiszący na łańcuszku u szyi Ady, i zaczęła go obracać pod różnymi kątami. Młodsza przeciągnęła tymczasem ukradkiem szal z kolan Ady na swoje. Szybko podała go za plecami Ady starszej kobiecie, która z tryumfalnym uśmiechem zarzuciła go na ramiona. Ada, świadoma tego co się dzieje, siedziała wpatrzona nieruchomo przed siebie, niezdolna protestować. Wiedziała, że pada ofiarą kradzieży, ale nie śmiała podnieść wzroku na Maoryskę, która rozpościerała i poprawiała szal na szerokich ramionach. Młodsza z kobiet pochłonięta była tymczasem usilnymi, acz beznadziejnymi próbami starcia piegów z twarzy Flory, która poddawała się biernie tym zabiegom.

Ada była bliska rozpaczki, kiedy dotarli wreszcie do domu Alisdaira Stewarta. Zaczął padać deszcz, niebo wisiało niskie i ciemne nad rozmiękłą ziemią. Drewniana budowla stała pośrodku błotnistej polany, upstrzonej czarnymi szkieletami wypalonych drzew. Stewart wznosił ją z desek wyciosanych własną siekierą i własnym potem z drzew kauri. Opowiadał o niej z dumą, jakby była pałacem, którym zresztą wydawała się być w porównaniu z budami okolicznych mieszkańców. Bo Stewart miał swoją wizję. Tam, gdzie inni widzieli jedynie zwęglone kikuty drzew sterczące z bajora, on widział punkt centralny swoich dóbr. Śniły mu się uładzone ogrody i trawniki, pod które przygotowywał teren, karczując i wypalając las. Pozbędzie się lepkiego błota, obiecywał sobie, a jego nowa rodzina będzie piła herbatę z porcelanowych filiżanek.

Lecz Ada i Flora dojrzały w jego "pałacu" tylko toporną chałupę pośrodku jałowego cmentarzyska. W ulewie wszystko wydawało się jeszcze bardziej ponure i szare. Chociaż

szczęśliwe, że ich wędrówka dobiegła końca, były w czarnej rozpacz, że je przywiodła do tak przygnębiającego miejsca.

Maorysi złożyli kufry i skrzynki na werandzie i ulotnili się gdy tylko Stewart im zapłacił. George Baines odszedł już wcześniej do własnej chaty w głębi doliny. Adę wstrząsnął dreszcz.

Stewart oprowadził je po paru pokojach, kuchni, spiżarni. Wszystko było tu proste, ale czyste. Na ścianach wisiało nawet kilka niewymyślnych obrazków. W przygotowaniu domu na przyjazd nowej żony pomogła Stewartowi jego ciotka, Morag. W kuchni królował pękaty piec na drewno, na stole czekała zimna kolacja. Długa wędrówka uśmierzyła irytację Stewarta, promieniejącego teraz dumą ze swojej siedziby. Pokazawszy im dwie sypialnie, odchrząknął niepewnie i rzekł: "Rozgoście się" - nie wyjaśniając jednak, w której miałyby się rozgościć. Następnie wskazał przez okno drewniany pomost oddalony o parę metrów od domu.

- To jest studnia i pompa. A tam posadziłem brzoskwinie, gruszę i jabłoń. Powinno być trochę owoców pod koniec lata. Ale pozostało jeszcze wiele do zrobienia. - Obrócił się z nadzieją do Ady.

- Myślę, że znajdziesz pani wszystko ku swemu zadowoleniu. Ja muszę jeszcze dopatrzeć paru rzeczy, nim będę mógł się udać na spoczynek. Jutro pokażę wam moją... - urwał, odchrząknął - ...naszą posiadłość.

Z tymi słowy się skłonił, znów pełen oczekiwania i niepewności.

Przywołał na wargi wymuszony uśmiezek po czym, zamieniwszy cylinder na bardziej stosowną czapkę, wyszedł na deszcz.

Flora, ze łzami w oczach, usiadła na łóżku.

- Nie chcę tu zostać.

- Nie mamy wyboru - zasygnalizowała Ada.

- Ja tu nie zostanę.

- Dokąd pójdziesz? - spytała Ada.

Flora wstała, podeszła do okna. Ada za nią. Wyjrzały w noc, w ciemność tego ponurego miejsca, w jakie los je zagnał.

- Mamusiu, gdzie może być ustęp?

Następnego dnia deszcz lał nadal. Obudziwszy się, Ada i Flora stwierdziły, że Alisdair Stewart już wyszedł. Spały kamiennym snem, jakby wciąż kołysane przechyłami okrętu. Na stole stał chleb i konfitury. Po śniadaniu Ada zabrała się do rozpakowywania, zaczynając od kufra, w którym umieściła lalki Flory i ich sukienki. Uznała, że za sypialnię ma im służyć pokój, w którym Stewart zostawił je wychodząc poprzedniego wieczora. Druga sypialnia nosiła wyraźne męskie piętno, była pełna jego rzeczy. Nie przyszło jej do głowy, iż mógł oczekiwać, że będzie z nim dzieliła pokój.

Stewart wrócił w południe. Buty i spodnie miał oblepione błotem, pachniał ciężkim wysiłkiem fizycznym. Zniknął w kącie służącym za łazienkę, w którym stał piękny dzbanek i miednica przywiezione przez niego ze Szkocji, i zza zasłony poinformował Adę przy akompaniamencie plusku wody:

- Zaraz przyjdzie moja ciotka ze swoją towarzyszką i pastorem.

Nim skończył, Ada ujrzała przez okno trzy wysokie, pochylone postacie, obładowane kobiałkami i koszykami, brnące w zacinającym deszczu przez błoto.

Ciotka Alisdaira Stewarta Morag, okazała się postawną kobietą o długiej twarzy, naznaczonej pokaźnym znamieniem poniżej kącika ust. Kiedy się uśmiechała, jej twarz nabierała ujmującego wyrazu, uśmiechała się jednak nieczęsto i przy pierwszym poznaniu robiła nader surowe wrażenie. Jej towarzyszka, Nessie, była młodsza, ale o podobnej posturze, jakby modelowanej na wzór ciotki Morag, tylko twarz miała inną, okrągłą, bez zmarszczek, o nie zdefiniowanym jeszcze

wyrazie. Przyszły obie w sukniach o surowym praktycznym kroju, uszytych z gładkiego materiału, z niewyszukanymi koronkowymi kołnierzykami, bez żadnego ukłonu w stronę obowiązującej mody, bez żadnych mięsistych szkockich krat ani kosztownych aksamitnych obszyć, tak lubianych przez Adę. Na głowach obie miały koronkowe czepki kryjące włosy, Nessie biały, Morag czarny.

Uśmiechały się, kiwały głowami, cmokały, rade, że mogą wreszcie poznać młodą żonę bratanka Morag. Ada i Flora zostały poddane dokładnym oględzinom, w wyniku których ciotka Morag orzekła, że są bardzo chude i małe.

- Będziemy musieli dopilnować - oświadczyły z uśmiechem - żeby Alisdair was odżywił. Życie tu jest ciężkie, trzeba mieć siłę.

- Jestem jedynym pastorem stąd aż do Otaki - oznajmił wielebny Septimus Campbell, młodszy brat Morag, kiedy go przedstawiono.

Jako oficjalny pretekst wizyty podano wykonanie zdjęcia ślubnego Alisdaira i jego nowo przybyłej żony. Ady nie było w pokoju, kiedy pastor zaczął z pohukiwaniem gonić siostrę, z okrągłymi okularkami przekrzywionymi na nosie, a pulchnymi dłońmi wetkniętymi w rękawy czegoś, co miało imitować suknię ślubną.

- Zdejmij to, Septimusi - pokrzykiwała ciotka Morag na tak ustrojonego pastora. - Zdejmij to w tej chwili.

- Uciekała piszcząc dookoła stołu, aż dom się trząsał.

- Uważaj, bo się potkniesz!

- Bo się potkniesz! - zawołała Nessie, która miała zwyczaj powtarzania jak echo końcowych słów Morag, co ta ostatnia ignorowała.

- Podrzesz sukienkę. Przestań! - piszczała Morag.

- Przestań! - zawtórowała Nessie.

Ale pastor ani myślał przestać i gonitwa trwała wśród okrzyków podniecenia i uciechy. Wprawilo to w popłoch Adę, jedynaczkę wychowaną wśród statecznych dorosłych, w domu słynącym z milczenia. Czekala wraz z Florą w zaciszu swego pokoju.

Wkrótce odnalazły ją tu Morag i Nessie, z odzyskaną rzekomą suknią ślubną, która zamiast pleców miała wiązania jak fartuch lekarski i służyła wszystkim w okolicy za rekwizyt do fotografii. Dopiero teraz Ada pojęła, że zamierzają ją w to ubrać.

- Podnieś ręce - zakomenderowała wolno ciotka Morag, przekonana, że Ada jest głucha. - Teraz je opuść.

Flora, stojąc koło lustra, przyglądała się, jak kobiety upinają na głowie matki smętny, długi welon. Z nadąsaną buzią dziewczynka usiadła na łóżku. Od przyjazdu tutaj uwaga wszystkich skupiała się na jej matce, nią się nikt nie interesował. Flora, zwykle pogodna, nie miała na ogół skłonności do dąsów, ale to była wyjątkowa sytuacja.

- Pięknie w tym wyglądasz - oznajmiła ciotka Morag. - Koronka jest bardzo delikatna.

- Mój prawdziwy tatuś był sławnym niemieckim kompozytorem - wyrwała się nagle Flora.

Morag i Nessie, zaskoczone, popatrzyły w zdumieniu na dziewczynkę, która raptem jakby rozkwitła pod ich spojrzeniem.

- Mamusia go poznała, kiedy śpiewała w operze w Luksemburgu.

Ada karcącym ruchem dłoni zasygalizowała Florze: "Dosyć".

- Dlaczego? - zaprotestowała szeptem Flora i jej rozpromieniona pod wpływem opowiadania buzia znów się nachmurzyła. Widząc, że kobiety powracają do układania

koronek, skrzyżowała buntowniczo ramiona na piersi. - Ja też chcę być na fotografii - zażądała z dziecinnym uporem.

Ale oczywiście rzeczą najniewłaściwszą w świecie byłaby obecność Flory na fotografii ślubnej Alisdaira Stewarta. Miała na niej zostać uwieczniona jedynie szczęśliwa para.

Stosunek Flory do matki miał charakter lustrzanego odbicia, opierał się na czymś w rodzaju symbiozy. Ada znalazła się tu wśród obcych i Flora występowała jako jej pośredniczka, wczuwając się w swoją rolę z naturalnym entuzjazmem. Podobnie jak Ada w jej wieku, Flora była pełnym uroku, przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem, przywykłym do towarzystwa dorosłych. W przeciwieństwie do poważnej zawsze Ady, odznaczała się jednak pewną trzpiotowatością.

Dziewczynka miała talent narracyjny i znana była w rodzinie ze swoich fantastycznych opowieści, które Wyston i Ada traktowali jako czarujące wytwory imaginacji, ale służba i sąsiedzi uważali za pospolite kłamstwa. Swoim fantazjowaniem Flora jakby rekompensowała sobie nie tylko przygnębiające milczenie matki, ale także nieprzeniknioność i obcość świata dorosłych, w którym się wychowywała. To przede wszystkim ze względu na Florę Ada przystała na małżeństwo zaaranżowane przez ojca, widząc w nim okazję wyrwania dziewczynki z dotychczasowego otoczenia. Może przeszłość nie będzie im tak ciążyła w nowym miejscu, w młodym kraju szumnie głoszonych możliwości. Kiedy w czasie żeglugi opadały Adę wątpliwości, powtarzała sobie, że zgodziła się na małżeństwo dla dobra Flory, chociaż Bogiem a prawdą niemal w równej mierze pragnęła opuścić Szkocję ze względów osobistych.

Deszcz ciągle padał, kiedy przygotowania do fotografii dobiegły końca. Nad lasem przelatowały to tu, to tam gęste ulewy, całą dolinę spowijała mgła. Nessie osłaniała Adę

parasolem, kiedy szły chodnikiem z desek do miejsca, gdzie przed aparatem ustawiono dwa krzesła. Posuwały się obie niepewnie, nogi ślizgały im się, pod długimi spódnicami.

- Chodnik jest cały w błocie, o mało się nie ześlizgnęłam - poinformowała Nessie, kiedy dotarły do pomostu, na którym czekał Stewart.

Dokoła zebrała się gromadka okolicznych osadników, przybyłych niby to dla służenia pomocą, w rzeczywistości dla obejrzenia panny młodej. Alisdair Stewart zlustrował Adę osobiście przez wizjer aparatu, kiedy się usadowiła na krześle, z oklapniętym bukietem na kolanach, na tle rozwieszonego płótna z wymalowanym słonecznym krajobrazem, przypominającym bardziej Toskanię niż tę posępną okolicę. Usiadłszy obok Ady, Stewart zdjął cylinder, żeby przyczesać jeszcze raz włosy, dumny ze swego nowego statusu męża, zadowolony z czarującego wyglądu oblubienicy w koronkowej sukni. Obrócił się z uśmiechem do żony w momencie, gdy niebo rozdarła błyskawica i lunęły na nich oślepiające strumienie wody. Wciągnąwszy głęboko powietrze, Ada zamarła wpatrzona ponuro w obiektyw, nie słysząc sztucznie wesółych zachęt fotografa.

Migocąca w sypialni świeca wydobywała z mroku nie ukrywaną ciekawość na twarzy ciotki Morag, radej, że powierzono jej opiekę nad Florą. Sam na sam z dziewczynką, zdołała się może od niej dowiedzieć jakichś przydatnych wiadomości o okolicznościach jej urodzin i hańbie jej matki.

- Więc twoja mamusia poznała twojego tatusia w Luksemburgu - zagadnęła Florę.

- Tak, w Austrii, gdzie był dyrygentem orkiestry królewskiej.

Morag zmarszczyła czoło, zawieszona między wiarą a sceptycyzmem. Małej najwyraźniej mieszały się fakty.

- A gdzie się pobrali? - spytała Morag zerkając w okno, czy ktoś nie nadchodzi.

- W nieprzebytym lesie, gdzie za druhny służyły im prawdziwe boginki, każda prowadząca za rękę elfa.

Głos Flory nabrał dźwięcznych, dramatycznych tonów. Morag wyprostowała się na krześle, mierząc Florę z pobłażliwą naganą. Przyglądziła dłonią włosy. Wyczuwając niedowierzanie Morag, Flora wycofała się.

- Nie zmyślam. Było to w małym kościółku wiejskim u podnóża gór.

- Jakich gór, kochanie?

- Pirenejów.

- O, nigdy tam nie byłam.

Morag pochyliła się z powrotem do przodu, wyzbywając się ponownie nieufności.

- Mamusia śpiewała po niemiecku i jej głos rozchodził się echem po całej dolinie. To oczywiście było przed wypadkiem.

- Och! - wykrzyknęła Morag. - Jakim wypadkiem? Chciała usłyszeć wszystko - ze względu na bratanka ma się rozumieć.

- Pewnego dnia, kiedy mamusia z tatusiem śpiewali w lesie, nieoczekiwanie zerwała się straszliwa burza. Ale oni byli tak pochłonięci śpiewaniem, że tego nie zauważyli i nie przestali śpiewać mimo ulewy. Ale kiedy ich głosy podniosły się w ostatnich taktach duetu, z nieba uderzył potężny piorun i trafił tatka, który stanął w płomieniach jak pochodnia. I ten sam piorun, który zabił tatusia, odebrał mamusi mowę! - Flora zniżyła konfidencjonalnie głos. - Od tej pory mamusia nie przemówiła ani słowa.

- Och! - wykrzyknęła prawdziwie przejęta Morag, która dała się porwać barwnej fantazji Flory. - Coś takiego! I nie przemówiła więcej słowa?

Flora potwierdziła skinieniem głowy.

- To pod wpływem wstrząsu - przytaknęła Morag. -
Niewątpliwie pod wpływem wstrząsu.

Lecz fascynująca opowieść Flory została przerwana powrotem nowożeńców, przemoczonych do suchej nitki, dokładnie tak jak para z opowieści. Ciotka Morag, z twarzą zasepioną dopiero co zasłyszaną tragedią, poderwała się, żeby pomóc Nessie rozebrać Adę z fałszywej sukni ślubnej, ciężkiej teraz od wody.

- To straszne, straszne - mruzczała spoglądając na Adę odmienionym wzrokiem.

Jednakże Ada, przemoczona do suchej nitki i zirytowana parodią ceremoniału ślubnego, jęła szarpać suknię tak niecierpliwie, że zerwała wiązania na plecach i podarła koronki. Morag i Nessie cmokały z dezaprobatą, lecz Ada nie zważała, przejęta nagłym przyływem łęku o fortepian.

Podeszła do okna i spojrzała trwożnie na potoki lejące się z nieba. Myśl o fortepianie nie opuszczała jej ani na chwilę w trakcie wszystkich wydarzeń. Teraz stanął jej przed oczami ze wzmożoną wyrazistością, porzucony na plaży, nie osłonięty od nocnego chłodu i deszczu, z wodami przyływu wzbierającymi wokół jego rzeźbionych nóg. Alisdair Stewart nie wspomniał słowem o wysłaniu po niego ludzi i Ada czuła, że postanowił go pozostawić na pastwę losu, jakby chciał ją w ten sposób odciąć od przeszłości. Ale musi być sposób odzyskania instrumentu. I ona znajdzie ten sposób.

Następnego ranka Flora kończyła jeść grzanek, kiedy do pokoju wszedł Alisdair Stewart. Podniósł ze stołu ubłocony zwój koronek - imitację sukni ślubnej i odłożył go z niesmakiem. Popatrzył na dwie pary rąk tańczących w niemej rozmowie. Czuł się tu intruzem, onieśmielony zarówno sekretnym porozumiewaniem się matki i córki, jak i ich kobiecością. Irytowała go niemożność uczestniczenia w ich życiu. Gdy się zbliżył, Flora i Ada odsunęły się od siebie i, jak

na baczność, wyprostowały na krzesłach. Atmosfera pokoju zmieniła się wyczuwalnie. Podchodząc Stewart stracił z przepierzenia wiszące obręcze krynoliny i podniósł je niezręcznie.

- Muszę na parę dni wyjechać - oznajmił skruszonym tonem. - Maorysi mają trochę ziemi, którą może korzystnie kupię. - Zakłopotany spuścił wzrok i zaszurał nogami. - Mam nadzieję, że się zadomowicie przez ten czas, i może uda nam się zacząć wszystko od początku. - Popatrzył pytająco na Adę. - Zgoda? - Kiwnął głową i odwrócił wzrok, zmieszany skinieniem Ady. - Gdyby się wyłoniły jakieś problemy, zwróćcie się do George'a Bainesa, którego poznałyście. Mieszka kawałek stąd w górę doliny. Narysowałem mapkę.

Odjechał konno. Zadomowienie się jego nowej żony szło oporniej, niż oczekiwał. Wczoraj pomogła trochę ciotka Morag, wprowadzając Adę w obowiązki domowe, które - jak uzgodnili - winny stanowić jej domenę: noszenie wody, pranie, palenie pod kuchnią, gotowanie, szycie, dogłądanie warzywnika, kurnika... Lista zdawała się nie mieć końca, kiedy ciotka Morag omawiała skrupulatnie czynność po czynności, lecz Ada nie sprawiała jakoś wrażenia przerażonej. Cóż, będzie jej musiał zostawić czas, żeby się wdrożyła, i może wszystko się ułoży.

Po wyjeździe Alisdaira Stewarta, Ada nie mogła myśleć, o niczym prócz fortepianu. Bez instrumentu jej życie straciło całą barwę, godziny ciszy wlokły się w nieskończoność. Krzątając się po domu i wykonując codzienne obowiązki - gdzież ciotka Stewarta pokazywała jej tę balię? - Ada wpadła na pomysł poproszenia pana Bainesa, żeby się z nimi wybrał sprawdzić, czy przyływ nie uniósł jeszcze fortepianu. Baines ma miłą twarz, spokojny sposób bycia, może się zgodzi. Ada przestudiowała mapkę, którą Stewart zostawił na stole w kuchni. Ubrała Florę w płaszczyk i czepek, sama nałożyła

czarny płaszcz z pelerynką, który, chociaż dopasowany, zostawiał jej większą swobodę ruchów, i puściły się w żmudną wędrówkę szlakiem znaczonego przez deski ułożone tu i ówdzie w bagnistych miejscach. Mimo to zapadały się często w głębokie błoto. Gęstszej, czarnej i bardziej smrodliwej mazi Ada nie widziała w życiu.

Chata Bainesa stała na polanie nieporównywalnie jaśniejszej i bardziej zielonej niż przygnębiające otoczenie domu Alisdaira Stewarta. Georges Baines nie czuł potrzeby огоłocenia swojej posiadłości z bujnych drzew i krzewów. Było tu głośno od śpiewu ptactwa. Uwagę Ady zwrócił przypominający papugę ptak o jaskrawozielonym brzuszku, jakby zanurzonym w farbie. Deszcz ustał, stroma strzecha chaty Bainesa parowała w słońcu. Do jednej ze ścian uwiązany był dereszowaty koń.

Ada i Flora podeszły do drzwi podzielonych poziomo na pół jak w stajni, z dolną częścią otwartą, i zapukały. Flora przykucnęła, żeby zajrzeć do środka, i zobaczyła parę nóg w długich kalesonach. Podniosła się przytomnie, nim Baines otworzył drzwi. Było południe, więc Ada się zdziwiła, o jakiej porze ma on zwyczaj ubierać się przystojnie. Napisała szybko parę słów na kartce ze srebrnego notesu i podała mu. George Baines obracał ją chwilę w palcach, po czym rzekł z niewzruszoną twarzą, bez śladu zakłopotania.

- Ja nie umiem czytać.

Ada, zaskoczona tym beztróskim przyznaniem się do pożałowania godnej ignorancji, dała znak Florze.

- Niech pan nas zaprowadzi na plażę, na której wylądowałyśmy - przetłumaczyła dziewczynka.

Teraz Baines nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Przykro mi - odparł pod nieustępliwym spojrzeniem Ady i Flory. - Nie mogę tego zrobić. Nie mam czasu.

Wymamrotał pożegnanie i zatrzaskał im drzwi przed nosem.

Nie znając nikogo innego, do kogo by się mogła zwrócić, Ada postanowiła poczekać, aż Baines wyjdzie z domu. Musi im pomóc. Usiadła w miejscu, skąd miała widok prosto na jego drzwi, i słuchała opowieści Flory o małym domku, w którym mieszka zły człowiek.

- Wychodzi z domu szukać dzieci, które się zgubiły w lesie, i zabiera je do siebie. Najpierw daje im łakocie, żeby się poczuły bezpieczne i zadowolone. Ale w domu ma wielki piec, w którym piecze jedno dziecko po drugim. Pozostałym każe się przyglądać. Dzieci krzyczą rozpaczliwie, pieczone na wolnym ogniu. On je potem zjada po kolei, wypluwając kości na podłogę. To bardzo zły człowiek.

Ada uśmiechała się słuchając jednym uchem, ale przez cały czas myślała o fortepianie i o tym, kiedy George Baines wreszcie się ukaze.

Gdy wyszedł z kurtką przerzuconą przez ramię, czekały obie stanowcze i zdecydowane na wszystko. Zaskoczył go ich widok, siedzących spokojnie jak dwa duchy leśne, przybyłe, żeby go przesładować. Podniosły na niego pełny oczekiwania wzrok. Nie wiedział, co myśleć o tym ich uporze.

- Nie mogę was tam zabrać - powiedział do Ady w tym zwolnionym rytmie, którego tak nie cierpiała. - Nie mogę.

Zdjął z poręczy werandy siodło, zarzucił je na konia, przez cały czas zerkając na nie spode łba. Ada i Flora nie spuszczały z niego oka. Nie było w ich spojrzeniu błagania, tylko upór próbujący go nakłonić do zmiany decyzji.

Wydawały mu się niepokojąco podobne, córka była uroczą miniaturą matki. Kiedy ruszył, ich blade twarze, ocienione identycznymi czarnymi czepkami, obróciły się za nim jednym ruchem. Wtedy zdecydował, że nie ma wyjścia, musi skapitulować przed ich determinacją. Czuł, że gdyby je

pozostawił tak siedzące, zastałby je tu po powrocie, a nie miał najmniejszej ochoty być wiecznie narażony na to ich spojrzenie. Obawa przed tym, połączona z odrobiną litości i lekką ciekawością, przeważała opory Bainesa. Poprowadził je na plażę za swoim koniem, tak że dotarli znacznie szybciej, niż brnęła ekspedycja obładowana dobytkiem Ady i Flory McGrath.

Jakimś cudem fortepian stał tam, gdzie go zostawili. W skrzyni, zabezpieczony tylko ceratą, wyglądał jak olbrzymi kawał drewna wyrzucony przez morze. Ada zaczęła się zsuwać ze stromego zbocza, jak mogła najszybciej, hamowana w locie do swego instrumentu tylko przez spódnicę i krynolinę. Dobięgszy do niego, jęła gołymi rękami odrywać deski okrywające klawiaturę. Szarpała drewno z wypisanym jej nazwiskiem, objawiając przy tym pasję i niecierpliwość, które zdumiały Bainesa. Pomógł jej zrobić improwizowane siedzenie i Ada zaczęła grać. Fortepian odzyskał swój głos, który był jej głosem. Zdawało jej się, że na nowo oddycha. Zdawało, że odzyskała wolność.

Niebo rozciągało się w górze; bladoniebieskie, długie kosmyki chmur odpływały ku zachodowi. Baines przyglądał się zmianie, jaka zaszła w Adzie. Cała jej postać odmieniła się. Pianistka przymknęła oczy, grając kołysała się lekko, wargi miała rozchylone w półuśmiechu. Ożywiona, radosna, promienna, nie była już tą surową, chmurną kobietą, którą poznał.

Tymczasem Flora rozebrała się na mokrym piasku do halek i, lekka, wolna, natchniona szczęściem matki, jęła wykonywać taniec własnej kompozycji, powiewając serpentynami wodorostów. Biegała i tańczyła, skakała i wirowała w takt muzyki. Baines nigdy nie widział kobiet zachowujących się tak żywiołowo. Jego uwagę przykuwała namiętna gra Ady. Sam nie wiedząc kiedy, przysunął się do

fortepianu, wpatrzony w artystkę, która pogodna, promieniejąca, pochylała się nad klawiaturą.

Wykonywała szybkie apedzia i ulotne, spieszne tryle, jakby niesiona przez podwodny prąd, nieodparty jak przyływy oceanu. George Baines zastygł urzeczony. Nigdy nie słyszał muzyki tak pełnej tęsknoty, nigdy nie widział nikogo grającego na żadnym instrumencie z takim zapamiętaniem. Nie mógł oderwać wzroku od tej kobiety pochłoniętej bez reszty muzyką wydobywającą się spod jej palców, na tej plaży omywanej rozbijającymi się o brzeg falami, z ptactwem morskim krążącym nad głową. Ada grała i grała, chwilami na cztery ręce z Florą, ale przez większą część czasu sama. A George Baines przyglądał się i słuchał. Muzyka była niezemska, matka i córka wydawały mu się aniołami nie z tego świata. Ogarnęło go wielkie wzruszenie, w oczach kręciły mu się łzy na widok tak wzniosłego piękna.

Podczas gdy Ada grała, Flora postanowiła zrobić na piasku konika morskiego. Rozpoczęła od układania z czterech czy pięciu muszli małych stworzonek, ale Baines orzekł, że nie, muszą zbudować wielką figurę, która będzie widoczna ze szczytu urwiska. Dał się wciągnąć w zbieranie muszli i układanie ich pod komendą dziewczynki. Dziwił się sobie, że uległ fantazjom małej, że się znajduje na tej plaży, szczęśliwy w towarzystwie tych dwóch istot. Muzyka trzymała go w miejscu, chłonał ją całym ciałem, przepływała przez niego, hipnotyzowała go, skłaniała do trwania w bezruchu.

Układając dziwny stwór z piasku i muszli, Flora opowiadała mu o podróży, o wielkiej żegludze po błękitnej wstędze oceanu.

- I widziałyśmy ryby latające, wpadały nam do garnka - entuzjasmowała się.

Georges Baines niby słuchał, ale opowieści Flory wlatywały mu jednym uchem, a wylatywały drugim. Głowę przepęniała mu muzyka Ady.

Kiedy cienie zaczęły się wydłużać na piasku, Baines przystąpił do zbierania desek wyrwanych ze skrzyni. Nie mógł sam przetransportować fortepianu, ale pragnął go zabezpieczyć.

Na widok przygotowań Bainesa do odwrotu, Adę ogarnął znowu mroczny nastrój. Przez jakiś czas grała uparcie, aż raptem urwała i zatrzasnęła pokrywę klawiatury. W przyływie czarnej melancholii nasunęła płaszcz i czepek, po czym ruszyli w drogę powrotną.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Ada skończyła dwanaście lat, Wyston McGrath zdecydował, że powinna zacząć pobierać lekcje muzyki i powiadomił o tym swego buchaltera Pike'a, adwokata Beadsleya, stroiciela McGregora i wszystkich ciekawych w miejscowym szynku. Jednakże minęło jeszcze cztery lata nim z posiadłości McGrathów wysłano na Dworzec Edynburski powóz po dwudziestotrzyletniego nauczyciela Delwara Hausslera.

Do jego zaangażowania doprowadził ostatecznie nie Wyston McGrath, lecz Beadsley i Pike, którzy ujęli sprawę w swoje ręce i zamieścili anonsy na kilku pomniejszych uniwersytetach, licząc, że oferta zainteresuje nauczyciela, który się zadowoli skromniejszym wynagrodzeniem. Nadeszła tylko jedna odpowiedź, więc sprawa została przesądzona z chwilą, gdy kandydat, pan Haussler, zgodził się przyjechać na dwa próbne miesiące w charakterze nauczyciela muzyki i francuskiego.

Majątek, do którego trafił młody preceptor, nie był już tą samą dumną, dobrze utrzymaną posiadłością, w której przyszła na świat Ada. Brama się nie domykała, jedna jej połowa zwisała na wyrwanej zawiasie, podjazd do dworu był pełen dziur i głębokich kolein. McGrath, niegdyś taki skrupulatny, zdawał się teraz nie dostrzegać ruiny. Traktował ją z tym samym fatalizmem, z jakim przyjmował swój postępujący wiek, uważając za rzecz naturalną, że majątek, tak jak jego zdrowie, musi stopniowo podupadać. Jak przy wszystkich sprawach, które nie były mu w smak, miał zwyczaj przymykać oczy i wyobrażać sobie, tak jak dziecko, że problem znikł. W miarę jak zadłużenie majątku rosło, coraz rzadziej zaglądał do ksiąg, aż odmówił sprowadzania ich w ogóle. Buchalter Pike, człowiek mądry i życzliwy, który sam miał ośmioro dzieci, rozumiał McGratha, chciał jednak

zabezpieczyć przyszłość jego nieletniej córce, jasne bowiem było dla wszystkich wtajemniczonych, że majątek prędzej czy później pójdzie pod młotek, i Pike bał się o los dziewczynki, która nie mówi i jest niezdolna na siebie zarobić. Skłonił przeto McGratha do ustanowienia funduszu powierniczego na naukę i posag Ady, niezależnego od losu majątku. Z tego to funduszu miał być opłacany nauczyciel Delwar Haussler.

Delwar przyjechał zbyt późno, by poznać swoją uczennicę.

Kiedy go zaprowadzono do jego pokoju na trzecim piętrze, pełnego przeciągów, a co więcej niezbyt czystego, od razu zaczął się rozwiewać cały romantyzm jego wyprawy. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że na dalekiej północy będzie aż tak zimno, niemile uderzyła go również oschłość Szkotów, których sobie wyobrażał jako bezpośrednich i serdecznych.

Pierwszym językiem Delwara był angielski, chociaż rodzina jego ojca, pastora luterańskiego, pochodziła z Niemiec, których ani on, ani ojciec nigdy nie odwiedzili. Urodził się jako trzecie dziecko, miał ponadto dwie siostry, jedną starszą, jedną młodszą. Chciał zostać malarzem, lecz jego aspiracje malarskie nie miały realnego pokrycia w talencie i udało mu się jedynie nadać sobie zewnętrzny wygląd artysty. Nosił aksamitną czapkę, spod której spływały długie włosy, kamizelkę przepasywał fioletową szarfą, a poły długiego czarnego surduta trzepotały mu się dramatycznie na wietrze. Surdut, uszyty przez siostry, odznaczał się nieporadnym krojem - był przyciasny na piersiach i miał kołnierz wszyty o dobre pięć centymetrów niżej z prawej strony niż z lewej. Delwar, wzruszony troskliwością sióstr, uznał ten feler kroju za element oryginalności i dystynkcji. Wiedział, że siostry go bardzo kochają i są zazdrosne o małą Szkotkę, która ma być odtąd wyłącznym przedmiotem jego pieczy.

W pierwszym tygodniu Delwar nie poznał Ady. Trzeciego dnia McGrath wyjaśnił, że jego córka jest bardzo nieśmiała i nienawykła do obcych, ale obiecała zejść do pokoju muzycznego w następnym tygodniu. Do tego czasu Delwar może robić, co chce - grać na fortepianie, zabawiać się sam i zaznajamiać z nowym miejscem.

Zszedłszy pierwszego dnia drugiego tygodnia do pokoju muzycznego, Delwar z zaskoczeniem ujrzał czekającą drobną, nienagannie ubraną panienkę, która wyglądała na dwanaście lat, choć dobrze wiedział, że skończyła szesnaście. Minę miała poważną, niemal surową, sukienkę skromną, choć zgrabnie skrojoną z dobrego materiału, ozdobioną kołnierzykiem i mankietami z delikatnej białej koronki. Delwarowi ścisnęło się serce na widok kruchości dziewczynki, jej małych dłoni i długiej szczupłej szyi. Stała przed nim dumna miniaturowa kobietka.

Kiedy postąpił krok, żeby się przywitać, otworzyła zgrabne srebrne pudełeczko, wiszące na wstążce u jej szyi, i ujęła przymocowany do niego srebrny ołówek. Napisała coś szybko na jednej z równo przyciętych kremowych karteczek, które wypełniały pudełeczko, podała ją Delwarowi i wycofała się przezornie na uprzednią pozycję koło stołu w końcu pokoju. Na kartce widniały słowa: "Ja nie mówię".

Przez dwa tygodnie nie udało się Delwarowi skłonić Ady do zmiany miejsca. Gdy jednak w drugim tygodniu wybiegła i przyniosła krzesło, na którym usiadła przy stole, uznał to za postęp.

Mimo niezwykłości sytuacji Delwar ze zdumieniem stwierdzał, że nie czuje się skrepowany i pomiędzy jedną a drugą wykonywaną kompozycją prowadzi swobodną konwersację za nią i za siebie. Natomiast wszelkie nalegania, żeby zagrała, Ada kwitowała spuszczeniem głowy i głębokim rumieńcem, a raz nawet uciekła z pokoju. Sam Delwar był

przeciętnym pianistą. Grał poprawnie i z wyczuciem tempa, znał się na muzyce, ale z pamięci umiał powtórzyć tylko pierwsze takty utworów.

Po południu Ada wkładała czepek, wysokie sznurowane buciki i palto i spacerowali we dwoje po parku lub po okolicznych farmach. Przynosili z tych wędrowek niezwykle liście, owoce, owady i kamienie, z których Ada układała na stole figurki zwierząt. Z plonów całotygodniowych wypraw skomponowała śliczną wiewiórkę, z tak przemyślnie ułożonymi kilkoma warstwami gałązek, że wyglądały jak futerko.

Na jednym ze spacerów mile zaskoczyła Delwara ujmując go za rękę. Gdyby miała figurę normalnej szesnastoletniej panienki, taki poufały gest sprawiłby Delwara w zakłopotanie, jednakże w przypadku Ady doznał jedynie satysfakcji. Miał uczucie, że milcząca mała towarzyszka wejrzała mu w duszę i uznała, że jest jej godny.

Powoli lekcje zaczęły się toczyć normalnym trybem, chociaż w pierwszym miesiącu Ada grała tylko, gdy jej się zdawało, że Delwar nie słyszy. Pewnego dnia, odegrawszy ze słuchu popularną melodię, którą często nucił jej ojciec, odwróciła się i ujrzała go w drzwiach. Z szerokim uśmiechem uniósł dłonie i zaklaskał kilka razy. Ada, zbyt zawstydzona, by podnieść na niego oczy, poderwała się i chciała uciec z pokoju, Delwar oznajmił jednak twardo:

- Wspaniale. Od dziś zaczynamy naukę czytania nut.

Czytanie zapisu nutowego było dla Ady rewelacją. Nie miała pojęcia, że pisany język muzyki może być tak złożony i precyzyjny. Zawsze lubiła czytać książki, fascynowały ją zawarte w nich historie, urzekało poznawanie światów odmiennych od jej własnego, zagłębianie się w życie innych ludzi. Teraz czytanie nut wprawiało ją w podobne uniesienie,

wprowadziło w nieznaną świat, opisany nowym pięknym językiem, który w tym domu znała tylko ona i Delwar.

Po przewyciężeniu początkowych oporów Ada okazała się pojętną uczennicą. Delwar Haussler orzekł, że nie ma rzeczy, której nie byłaby w stanie osiągnąć, i wyraził życzliwą opinię, że może z czasem dorównać mu biegłością. W jego obecności grała wprawdzie wciąż z rezerwą wynikającą z nieśmiałości i skrępowania, tego Delwar nie uważał jednak za naganne, gdyż sam jako pianista cenił biegłość i poprawność bardziej niż dramatyzm i uczuciowość.

Z czasem nauka gry na fortepianie wzięła górę nad wszystkimi innymi zajęciami Ady, zarówno szkolnymi, jak domowymi. Jakoś nigdy nie doszło do rozpoczęcia lekcji francuskiego, do nauczania którego młody preceptor został również zaangażowany. Poznawszy Adę, nie miał jednak serca do narzucania niemej uczennicy obcego języka, języka mówionego.

Wyston McGrath przyglądał się temu z lekkim niepokojem. Jego córka była zawsze zauroczona fortepianem, a formalna nauka, jakkolwiek dodała pewnej precyzji i dyscypliny jej grze, zarazem uwypukliła jej emocjonalny charakter. Jednakże Wyston bez większego trudu odsunął na bok swój niepokój. W końcu szczęście jedynaczki liczyło się nad wszystkie inne względy. A Delwar Haussler przyjechał z dobrymi referencjami i przystosował się gładko do życia dworu. No, i Ada go polubiła.

Od czasu wyprawy Ady z Bainesem i Florą na plażę minęło parę dni, nim Alisdair Stewart wrócił z objazdu terenów, które pragnął kupić. Wynurzył się z lasu na swoim rośłym koniu, niczym nie przypominającym szkockiego kucyka Flory. Koń stąpił ostrożnie po zasychającym błocie. Stewart rozejrzył się po terenie otaczającym dom i zdecydował, że będzie musiał przystąpić do ponownego

karczowania i wypalania. Ada z pewnością zechce poszerzyć ogród warzywny, on więc musi w tym roku znaleźć czas na skopanie gruntu i posianie trawy.

Zbliżywszy się do domu, Stewart posłyszał śpiew. Głos był cienki, dziecinny - Flory. Wznosił się i opadał wychodząc mu na powitanie i przepełniając go radością, że ma oto wreszcie prawdziwy dom. Zsiadł z konia, starając się zachować ciszę. Flora śpiewała melancholijną piosenkę, której nie znał. Stanąwszy w drzwiach, stwierdził, że Ada jakby jej akompaniuje, siedzi bowiem za stołem kuchennym wędrując palcami po drewnianym blacie jak po klawiaturze nie istniejącego fortepianu.

- Dobry wieczór - odezwał się Stewart.

Ada i Flora przerwały momentalnie pantomimę i odskoczyły od stołu.

- Dobry wieczór - odpowiedziała pogodnie Flora, zdając się niemal zdziwiona powrotem ojczyma.

Skonsternowany ich spojrzeniem i nagłą ciszą, Stewart zdjął kapelusz, potarł nie ogoloną brodę, po czym podszedł do stołu i uniósł koronkową serwetę, którą Ada śpiesznie nakryła blat. Przeciągnął palcami po siatce wyżłobionych rowków i pól - ktoś na stole wyrzeźbił imitację klawiatury. Oburzony uszkodzeniem stołu, który własnoręcznie zrobił, Alisdair Stewart od razu wiedział, że winowajczynią musi być Ada. Ona grała, ona pokrajała blat. Opuścił serwetę i wyszedł na dwór. Infantylna uraza przerodziła się w nim w dorosły gniew na brak szacunku okazany mu przez nową rodzinę.

Ada nie zamierzała narażać się na gniew męża. Odczuwała jednak dotkliwie brak instrumentu, a znudzona Flora zameęczała ją prośbami o zwykłe popołudniowe muzykowanie, które należało do rytuału po zakończeniu zajęć domowych. Dziewczynka uparła się, że, stół może z powodzeniem zastąpić fortepian i że drewniana klawiatura będzie brzmiała

równie dźwięcznie jak prawdziwa. Wyrysowała ołówkiem koślawe klawisze, a zmęczony się bezdźwięcznym bębnieniem po drzewie, zażądała, żeby Ada jej akompaniowała. Ada zirytowana nieporadnym rysunkiem Flory, wyłobiła nożem kuchennym na blacie prawidłową imitację klawiatury, po czym kazała córce nazywać po kolei każdy klawisz. C, C mol, D, D mol, E, F, F mol, i tak aż do końca skali. Do powrotu Stewarta żadnej z nich nie przyszło do głowy, że może być w tym coś niewłaściwego.

Stewart jednak, chociaż nękany niejasnym poczuciem, że nie zadbał dostatecznie o wprowadzenie Ady i Flory w nowe życie, nie mógł wyrzucić z pamięci pokrajanego stołu. Rzeźba na blacie urastała w jego umyśle do złowróżbnej zapowiedzi czegoś gorszego.

Następnego dnia wybrał się z wizytą do misji prowadzonej przez ciotkę Morag. Budynek misji wyróżniał się solidnością wśród budowli w całej okolicy. Miał drewniane schody z politurowanymi poręczami, grube boazerie, tapety na wszystkich ścianach, koronkowe firanki i porozwieszane nad kominkiem makatki z cytatami biblijnymi, własnoręcznie haftowane rozmaitym ścięciem przez ciotkę Morag. Bawialnia Morag przypominała Szkocję bardziej niż jakikolwiek dom, w którym Stewart bywał. Czuł się tutaj dobrze. Dziewczęta z misji, Heni i Mary, siedziały wyszywając, a Stewarta ciotka zaprzęła do pomocy w wycinaniu anielskich skrzydeł do przedstawienia bożonarodzeniowego.

Alisdair Stewart nigdy nie przywykł do towarzystwa Maorysów, mimo że pomagali mu w budowie jego własnego domu i prawie we wszystkich poczynaniach gospodarskich. Natomiast ciotka Morag i Nessie, oddane całym sercem wspieraniu pastora w jego dziele nawracania na wiarę chrześcijańską pogańskiego ludu, czuły się swobodnie wśród konwertytów. Nie raziły ich obce obyczaje, które Alisdairowi

wydawały się barbarzyńskie, nawet jeśli złagodzone przez edukację ciotki Morag.

Heni i Mary należały do entuzjastycznych młodych podopiecznych misji. Ubierały się całkowicie po europejsku, w sposób, który Stewart uważał za jedynie przystojny. Obie były wprawnymi szwaczkami, a Heni nauczyła się ponadto pomagać ciotce Morag w układaniu włosów w zgrabne grajczarki i drobne pomadowane fioki, stanowiące jedyne ustępstwo statecznej matrony na rzecz próżności. Zostały nieźle wyuczone przyzwoitego zachowania europejskiego, aczkolwiek poddawały je ustawicznie ciężkim próbom przez zbyt demonstracyjne okazywanie sobie nawzajem czułości oraz przez nawyk palenia glinianych fajek.

Kiedy Stewart wracał do bawialni z kilkoma wystruganymi kawałkami drzewa, wszedł za nim do środka George Baines, który bywał dość częstym gościem w misji, chociaż przychodził zwykle tylko, gdy zlecano mu tam coś do zrobienia. Nie bardzo potrafił się dostosować do subtelności towarzyskich przestrzeganych przez Stewarta i innych osadników, narzucił więc sobie zwyczaj czekania na dworze i picia poczęstunkowej herbaty w kuchni.

Morag uniosła wzrok znad szycia i zwięzionymi oczyma zlustrowała bratanka, który wręczał wystrugane listewki Nessie.

- Dobrze, że przestałeś tak przesadnie zaczesywać włosy - zauważyła.

Stewart lekko pokraśniał.

- Widzisz - podjęła unosząc prześcieradło, które zszywała - przez te otwory będą wyglądały głowy... Pokaż mi jak, Nessie. W widowisku to będą głowy ofiar. Pastor zamierza dla efektu użyć krwi zwierzęcej. Będzie to bardzo dramatyczne.

- Bardzo dramatyczne - zawtórowała Nessie.

- Herbata! - przywołała ciotka Morag do porządku swoją młodszą towarzyszkę.

Kiedy Nessie się poderwała i wyszła, Stewart pochylił się ku ciotce, z troską na twarzy.

- Ciociu - zapytał z wahaniem - co byś pomyślała o kimś, kto gra na stole kuchennym jak na fortepianie?

- Jak na fortepianie? - powtórzyła zaskoczona Morag.

- To dziwne, prawda? Przecież stół nie wydaje żadnego dźwięku.

Ciotka Morag podniosła wzrok na Nessie, która podeszła do Stewarta z filiżanką herbaty.

- A biskwity? - syknęła na dziewczynę. Po chwili wróciła do tematu: - Oczywiście, że nie wydaje dźwięku.

- Wiedziałem, że ona jest niema - ciągnął Stewart - ale teraz zaczynam się obawiać, że może jest z nią coś więcej nie w porządku. Zastanawiam się, czy ma po kolei w głowie.

- Nie wydaje żadnego dźwięku - powtórzyła w zamyśleniu Morag.

- Nie, przecież to stół.

- No, z suknią ślubną obeszła się bardzo nieładnie, podarła całą koronkę. Gdybym tego nie widziała na własne oczy, tobym przysięgła, że porwała suknię zębami - w tym miejscu włączyła się Nessie i dokończyły obie oburzonym chórem - i wytarła o nią nogi.

No, nic wielkiego się jeszcze nie stało - wtrącił śpiesznie Stewart. - Ale to niepokojące.

George Baines, który stał w ciemnym progu, pijąc herbatę z cienkiej porcelanowej filiżanki, nie pasującej do jego grubych palców, słuchał opowieści Stewarta z cieniem rozbawienia w oczach. Ciotka Morag rozpostarła wachlarz i zaczęła nim nerwowo machać przed twarzą.

- Tak, tak, oczywiście, trochę niepokojące - potwierdziła marszcząc brwi.

- Milczenie ma swoje dobre strony - podjął Stewart mieszając herbatę.

- Ma się rozumieć - przytaknęła Morag i odłożyła wachlarz.

- Nici! - zażądała podając Nessie igłę do nawleczenia.

Stewart poczuł ulgę.

- Z czasem zrobi się może bardziej czuła - zaryzykował.

- Z całą pewnością - potwierdziła ciotka Morag. - Nikt nie okazuje nam tyle czułości co zwierzęta domowe, a przecież one są nieme.

Baines, popijając herbatę, przysłuchiwał się w milczeniu. Nie zaskoczyła go opowieść o klawiaturze wyrzeźbionej na blacie. Był świadkiem uniesienia, z jakim Ada grała na plaży, więc miał niejaki rozumienie dla goryczy, wywołanej pozbawieniem przedmiotu jej miłości.

Po herbacie Stewart i Baines przemierzili razem dystans dzielący ich od siedziby Stewarta, gdzie zastali Florę uganiającą się na wyimaginowanym kucyku dookoła domu. Stewart przystąpił niezwłocznie do codziennego rytuału rąbania drew.

- Sędziwy książę Yorku, on tysiąc żołnierza miał - śpiewała Flora.

Podskakując jęła zbierać porąbane drwa i układać je w stos. Jej biały czepeczek i wykrochmalony fartuszek odbijały czystością i świeżością od czarnego błota. Flora korzystała z każdej okazji przebywania na dworze, kiedy nie padało, i zaczęła sama z siebie pomagać Stewartowi w jego pracach gospodarskich. Lubiała grzebać w ogródku warzywnym i gonić kurczaki, zaczęła się również zapuszczać w las nieopodal domu, pobudzając swoje zamięłowanie do przygody. Wzdrygała się za każdym razem, kiedy siekiera Stewarta uderzała w pień, ale z zapalem kontynuowała zbieranie drew.

- Co myślisz o tych osiemdziesięciu akrach nad rzeczką? - zagał Baines.

- Mówisz o twoich gruntach?

- Tak - odparł Baines podając nową kłodę Stewartowi, który nie przerwał pracy.

- To dobry płaski teren z zapewnionym dostępem do wody. Czemu pytasz? Wiesz, że nie mam pieniędzy, więc do czego zmierzasz?

- Mógłbym się z tobą zamienić - odparł Baines.

- Na co?

- Na fortepian.

Baines podał mu następną kłodę.

- Ten fortepian na plaży? - upewnił się Stewart, jakby istniał jakiś inny. Przerwał pracę, bo sprawa wymagała poważnego rozważenia. Na skinienie głowy Bainesa zapytał z nagłą podejrzliwością: - A ten teren nie jest przypadkiem podmokły?

- Nie - roześmiał się Baines.

Stewart wbił siekierę w pień, skrzyżował ramiona na piersi. Uśmiechnął się szeroko, uradowany korzystną propozycją.

- Coś takiego! - Baines miłośnik muzyki! Nigdy bym się tego nie spodziewał. Ukryty talent, co George?

Baines roześmiał się ponownie.

- Będę potrzebował lekcji - oznajmił pogodnie. - Inaczej niewiele mi przyjdzie z fortepianu.

- No, pewnie niewiele. - Stewart patrzył chwilę w ziemię, kalkulując, po czym podniósł wzrok na Bainesa. - Cóż, Ada umie grać.

Baines skwitował to milczącym wzruszeniem ramion.

- Pisano mi, że gra bardzo dobrze. Uczyła się od piątego czy szóstego roku życia.

Stewart powiedział to tak, jakby umiejętność żony napełniła go nieoczekiwaną dumą, chociaż wcale sobie nie życzył, żeby miała w domu instrument. Baines ze swojej strony nie dał po sobie poznać, że wie, jak dobrze Ada gra.

- Wymianę na co? - zapytała Flora powtarzając nieme pytanie matki.

Stewart, zaróżowiony z emocji, opowiedział im o ziemi, jaką dostał na wymianę od Bainesa, i o planach jej zagospodarowania. Siedzieli wszyscy przy stole kuchennym, skończywszy przed chwilą prostą kolację, którą Ada z trudem przygotowała. Nie potrafiła dobrze gotować, nie miała również doświadczenia w innych pracach domowych, które jej przypadły w udziale, duma nie pozwalała jej się jednak przyznać do nieumiejętności i kłopotów. Flora, nalawszy herbatę do trzech filiżanek ze swego własnego miniaturowego serwisu, popijała razem z dorosłymi, z matką i mężczyzną, którego od przybycia tutaj miała za ojczyzna, co było dla niej wciąż pojęciem równie abstrakcyjnym, jak do niedawna nazwa Nowej Zelandii.

- No, na twój fortepian - poinformował Adę Stewart. - Wyhandlowałem za niego ziemię.

Ada z płomieniem w oczach, posłała Florze serię szybkich znaków.

- Co ona powiedziała? - spytał Stewart, poirytowany koniecznością porozumiewania się z żoną za pośrednictwem Flory i zaskoczony gwałtownością reakcji Ady.

- Powiedziała, że to jej fortepian i że nie pozwoli go tknąć Bainesowi - przetłumaczyła Flora głosem odzwierciedlającym oburzenie matki.

Ada zerwała się i jęła krążyć po kuchni. W jej piersi narastał gniew.

- Mówi, że Baines to nieuk. Nie umie nawet czytać.

Ada niezdolna dłużej hamować furii, zaczęła tupać z całej siły, kopać meble.

- Baines chce się uczyć - powiedział z rosnącą irytacją Stewart.

W odpowiedzi Ada cisnęła o podłogę filiżankę, aż porcelana rozprysnęła się po całej kuchni.

- Zresztą będziesz mogła grać w jego domu.

Ada pojęła, że Stewart nie ma najmniejszego zrozumienia dla jej uczuć. Miotana wściekłością, zaczęła zrywać jego świeżo wyprane koszule, suszące się na sznurze nad kuchnią, i rzucać je na podłogę. Otworzyła pudełeczko wiszące na szyi, chwyciła drżącą ręką srebrny ołówek i jęła impulsywnie pisać.

- Nauczysz go, jak się obchodzić z fortepianem - powiedział ostro Stewart.

Ada rzuciła mu napisaną kartkę. "NIE, NIE, NIE! FORTEPIAN JEST MÓJ! WYŁĄCZNIE MÓJ!"

Wytracony ostatecznie z równowagi jej uporem i histerycznym zachowaniem, Stewart zgniótł kartkę i rąbnął pięścią w stół, przewracając resztę porcelany. Poderwał się z krzesła.

- Dość tego! Jesteśmy teraz rodziną, wszyscy musimy ponosić ofiary, ty też - krzyknął celując oskarżycielsko palcem w Adę. - Będziesz uczyła. Już ja tego dopilnuję. .

Z tymi słowy odwrócił się i wyszedł sztywno na dwór. Ada, pobladła, stała ze wzrokiem wbitym w drzwi, którymi Stewart trzasnął wychodząc. W domu wszyscy jej ustępowali, nikt nie sprzeciwiał się jej woli, zachowanie Stewarta wydawało jej się więc od pierwszej chwili niepojęcie grubiańskie. Niczym nie mógł jej wyrządzić większej krzywdy niż pozbawieniem fortepianu. W głębi duszy wiedziała jednak, że nic nie wskóra, i tym bardziej wszystko się w niej buntowało. Mściwie postanowiła jak najgorzej

wypełniać żądania męża, a jeśli pan Baines pożałuje kupna fortepianu i znudzi się lekcjami, to cóż, tym lepiej.

Stewart tymczasem krążył po błocie przed domem, miotany gniewem. Jego uporządkowane życie zostało wywrócone do góry nogami, nic nie toczy się tak, jak to sobie wymarzył.

Alisdair Stewart przyjechał do Nowej Zelandii jako dwudziestoletni młodzieniec. Zamierzał założyć farmę, planował wybudowanie wielkiego domu i hodowanie bydła. Mordercza żegluga, która zdawała się nie mieć końca, nie ostudziła jego zapału. Nie ostudziła go również bujna tropikalna roślinność, pokrywająca tereny, które chciał oczyścić pod gospodarkę. Stewart pozostawił w Szkocji brata, Thomasa, od niedawna zamężną siostrę, Mary, oraz podstarzałą matkę, która wiecznie niedomagała.

- Mamy mało ziemi i za mało pracy dla dwóch, Alisdairze
- oznajmił mu pewnego dnia Thomas.

Alisdair wiedział, że brat chce się żenić i rozumiał, że ich gospodarza nie wyżywi dwóch rodzin. Szkocja od dawna była krajem emigrantów, opuszczała ją jedno pokolenie po drugim. Tego dnia postanowił, że i on wyemigruje, pozostawało tylko pytanie, jak szybko i który spośród odległych lądów wybierze na nową ojczyznę.

Chociaż przed nikim się z tym nie zdradzał, nawet przed Thomasem, Alisdair żywił własne ambicje małżeńskie. Nie zamierzał oczywiście podejmować żadnych pochopnych kroków, rozumiał, że w takich sprawach trzeba działać roztropnie, planować przezornie. W oko wpadła mu Luiza Douglas, panna z dobrej rodziny, szanowanej w okolicy. Była jasnowłosa, niebieskooka, dorodna, w wieku czternastu lat dorównywała wzrostem Alisdairowi, choć potem oczywiście ją przerósł. Dwa czy trzy razy Alisdair odprowadzał ją po mszy na farmę jej rodziców, ale rzadko mógł sobie na to

pozwolić, praca zbyt nagliła. Jednakże te parę przechadzek z Luizą zapadło Alisdairowi głęboko w pamięć i chociaż w ostatnich miesiącach widział ją tylko raz, często gościła w jego myślach.

Wielu młodych wyjeżdżało do Nowej Zelandii. Można tam było kupić tanio ziemię, z Glasgow kursowały żaglowce, a emigrację do tak odległego kraju otaczał nimb fascynującej przygody. Jednakże rozeznanie Alisdaira w rzeczywistości antypodów było nader mizerne, wiedział jedynie, że pory roku toczą się tam odwrotnym trybem, tak że Boże Narodzenie i sylwester przypadają w lecie. Pastor w miejscowym kościele poinformował go, że w Nowej Zelandii osiedliło się wielu dobrych presbiterianów, z czego Alisdair wysnuł wniosek, że - pomijając pokręcone pory roku - zastanie tam wsie, kościoły, farmy, pola i domy niewiele różniące się od rodzimych. Wkrótce po podjęciu decyzji nadszedł list od siostry ich ojca, ciotki Morag, która donosiła, że w przyszłym tygodniu odpływa z towarzyszką i funduszami zebranymi przez ich parafię do Nowej Zelandii, gdzie będzie prowadziła misję. "Ziemi tam ponoć pod dostatkiem i panuje ogólna pomyślność - pisała ciotka - a dusz pogańskich do nawrócenia jest bez liku". Alisdair uznał to za pomyślny znak. Sprzedano następny kawałek ziemi, w dwie skrzynie zapakowano wszystkie jego doczesne dobra, odzież, parę książek - Biblię, Szekspira, "Robinsona Crusoe". Wraz z pieniędzmi za sprzedaną ziemię winno to wystarczyć na budowę pierwszego domu. Jednakże po nocach Alisdair nie sypiał, zmrożony do szpiku kości niepokojem i lękiem.

A co z Luizą Douglas - zastanawiał się - kiedy do niego dołączy? Zaraz czy dopiero, kiedy wybuduje dla niej na nowym lądzie dom? Miesiąc przed odpłynięciem Alisdair wygospodarował niedzielne przedpołudnie, żeby odprowadzić Luizę po mszy na jej rodzinną farmę. Był piękny wiosenny

dzień, wszystkie twory boże zdawały się otrząsać z zimowej szarości. Wspinając się z Luizą po zboczach, Alisdair mówił i mówił. Wykładał jej do ostatniego szczegółu swoje plany, opisywał każdy przedmiot zapakowany skrzętnie w skrzyniach. Liczył, że opowiadaniem roznieci w niej zapal. Słuchała, potakując głową. Okazało się, że wie o Nowej Zelandii nieco więcej od samego Alisdaira.

- To kraj dzikusów - uzupełniła. - Kraj gorących źródeł i ludożerców.

Kraj ludożerców, zdziwił się Alisdair i na moment miejsce Nowej Zelandii, szkockich kościołów, farm i pól z jego wyobrażeń zajął Robinson Crusoe i samotny ślad stóp na plaży.

- Och, moja ciotka Morag popłynęła tam z misją - odparł.
- Nim tam dotrę, dzikusy, dawno nawrócone, będą popijać herbatę i zajadać rogaliki.

Roześmiali się oboje i wkrótce, o wiele za szybko, stanęli przed domem Luizy.

- Do widzenia, Alisdairze Stewarcie - powiedziała, a jemu się wydało, że słyszy w jej głosie nutkę żalu.

- Do widzenia, panno Luizo - odrzekł z wymuszonym uśmiechem, ściskając w rękach kapelusz.

Nie zapytał: "Czy wyjdzie pani za mnie, zostanie moją żoną i przyplynie do mnie?" Nie powiedział: "Niech pani czeka, przyślę po panią, przyjedzie pani do nowego kraju ze swoją wyprawą, ze swoim psałterzem i swoimi wytwornymi szkockimi manierami". Pomyślał to, ale będąc młodym, nieśmiałym i niewprawnym w sztuce uwodzenia, zdobył się tylko na obietnicę: "Będę do pani pisał". Już to wydawało mu się szczytem romantyczności.

Tak więc odpłynął na żaglowcu, którego ładunek stanowiły doczesne posiadłości i marzenia jego i jemu podobnych emigrantów, młodych mężczyzn i kilku kobiet,

opuszczających stary świat w poszukiwaniu nowego, a w paru przypadkach z tego starego świata uciekających. Wieźli ze sobą różne nieoczekiwane przedmioty, żelazne łóżka, serwanki i stoły do umeblowania pokoi, salonów i kuchni, które jeszcze nie istniały.

W czasie swojej wielkiej podróży Alisdair śnił o Luizie, widział jej włosy rozwiewane przez morską bryzę. Śnili mu się także ludożercy, wielkoludy o czerwonych zębach. Grozili Luizie Douglas, lecz on, Alisdair, ratował ją zawsze przed ich nożami i rozdziawionymi paszczami.

W Nowej Zelandii poraził go parny upał. Przetransportował swoje skrzynie w głąb lądu, do miejsca, gdzie miał przyznaną ziemię. Nie było tam nic prócz drzew i bujnych wielobarwnych krzewów, bogactwa różnorodnej roślinności, jakiego nigdy nie widział w ogrodach i na gołych zboczach Szkocji. Zbudował szałas z pochyłym dachem, pod którym mógł spać i schować rzeczy przed deszczem, chociaż podstępna wilgoć dziewiczego lasu przenikała wszędzie. Następnie przystąpił do pracy, karczując, wypalając i budując. Nie miał czasu na pisanie listów, chociaż nadal śniła mu się po nocach Luiza Douglas.

Po czterech miesiącach, w czasie których nie widywał nikogo prócz Maorysów zamieszkałych w okolicy, ludzi dziwnych, jak stwierdził, ale nad podziw łagodnych, bynajmniej nie ludożerców, Alisdair Stewart wyprawił się konno po zapasy do pobliskiego miasteczka Stratford. Czekali tam na niego trzy listy: pierwszy od brata Thomasa, z rewersem bankowym i paroma słowami o farmie rodzinnej, które przyprawiły Alisdaira o ostry atak nostalgii; drugi od ciotki Morag, która donosiła, że zdecydowała się przenieść na południe, do misji najbliższej siedziby Alisdaira; i trzeci od siostry Mary, która zawiadamiała o narodzinach swego pierworodnego i przekazywała mnóstwo wiejskich ploteczek,

które może zainteresują brata, wśród nich wzmiankę, że Luiza Douglas się zaręczyła i na wiosnę odbędzie się jej ślub. Mapa na ścianie urzędu pocztowego pokazywała, że Alisdair Stewart znajduje się w kraju położonym u samego podnóża świata. Luiza Douglas nie mogła znajdować się dalej.

Fortepian Ady McGrath musiał pójść na wymianę. Stewart sprowadził ze starego kraju żonę po to, żeby mieć towarzyszkę życia, kogoś, kto rozproszy samotność, która zaczęła mu z biegiem lat doskwierać i która - wiedział to - będzie się wzmacniać z wiekiem. Ale niepotrzebna mu była kobieta, która wyżej niż własnego męża ceni drewnianą skrzynię z klawiszami z kości słoniowej.

Stewart święcie wierzył, że jego egzystencja zależy od powiększenia posiadłości. Uprawa ziemi była w tych stronach powolna i żmudna, grunt stanowił jedyny kapitał. Nikt nie miał tu czasu na rozrywki, na wymyślne luksusy odległych miast i salonów. Jeśli Ada McGrath tak bardzo kocha swoją muzykę, może się zgłosić na ochotnika do grania w pobliskiej misji. Dla Alisdaira Stewarta ziemia przedstawiała nieskończenie większą wartość niż porzucony na plaży fortepian. Cieszył go dobry użytek, jaki z niego zrobił. Osiemdziesiąt akrów to nie byle gratka!

ROZDZIAŁ 5

Tak więc George Baines wyprawił się ponownie na plażę, żeby przetransportować do siebie fortepian. Tym razem w miejsce jednej małej kobietki i jej córki towarzyszyła mu grupa ośmiu Maorysów, na czele których stał Hone, syn wodza Nihe. George Baines opanował biegle język Maorysów i przejął część ich obyczajów, które uważał za przyjemne i naturalne w nowozelandzkiej dziczy. Ilekroć potrzebował ludzi do pracy, zawsze znajdowali się chętni. Pertraktacje z nimi przychodziły mu znacznie łatwiej niż Alisdairowi Stewartowi, którego wyniosłość i sztywność stanowiły nie ukrywany przedmiot drwin Maorysów.

Fortepian, jak wrak wyrzucony na plażę, stał tam, gdzie go zostawili, jednakże od ostatniej bytności Ady miał swoich gości, bo na piasku widniały ślady stóp i część desek, umocowanych przez Bainesa, była oderwana. Pamięć o żarliwości, z jaką Ada grała, przywróciła entuzjazm Bainesowi, pozytywne myślenie o instrumencie, bardzo mu teraz potrzebne, bo trudno było sobie wyobrazić przedmiot bardziej nieporęczny do niesienia po wąskich ścieżkach przez dziewiczy las, spowity mgłami. Maorysi dźwigali go klnąc i stękając.

- Hiki na alce muri na! (Tył wyżej!) - krzyknął Hone.

- Tero - tero! (Całuj mnie w dupę!) - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Hei niti niti maau! (Całuj się sam!)

Buchnął śmiech. Baines, który szedł przodem przecierając drogę, obrócił się, żeby wziąć udział w ogólnej wesołości. W tym momencie komuś podwinęła się noga i tył fortepianu wyrznięt o ziemię. Grzmot w dolnych rejestrach skali poniósł się basowym echem po lesie, aż Maorysi odskoczyli od instrumentu, jakby nagle ożył uwięziony w nim demon.

Kiedy dotarli do chaty Bainesa, mężczyźni rozproszyli się po izbie i werandzie, on zaś przystąpił do rozbierania skrzyni i fortepian jał się powoli ukazywać jako przedmiot niezwyklej piękności. Mimo wszystkiego, na co był narażony, spod warstwy soli przebijał połysk drzewa różanego. Usunąwszy opakowanie, Baines przystąpił do czyszczenia, zaczynając od nóg, które najbardziej ucierpiały od wody morskiej. Posuwając się stopniowo w górę, pucując i oliwiąc, przywracał instrumentowi część jego dostojęstwa. Dotarłszy do klawiatury, postanowił wypolerować ją nieco woskiem, jednakże dźwięk, jaki się wydobywał spod pocieranych klawiszy, nawet dla jego nie wyćwiczonego ucha brzmiał głucho, zdradzał atonalną wibrację strun.

Alisdair Stewart, wsadziwszy Adę McGrath na swego konia, poprowadził go za uzdę ścieżką w kierunku domu George'a Bainesa. Przed Adą siedziała Flora, uszczęśliwiona, że się znajduje na koniu, lecz nawet bliskość córki nie była w stanie podnieść Ady na duchu. Ścieżka pięła się przez dziwny las ze zwisającymi nad głową porostami, z wierzchołkami drzew gołymi i połyskliwymi. Obcość tego krajobrazu wydawała się dzisiaj Adzie odpychająca w jakiś zaskakujący sposób.

- Na twoim miejscu zacząłbym od jakichś dziecinnych melodii - poradził Stewart. - Unikałbym czegoś bardziej skomplikowanego.

Podniósł wzrok na żonę siedzącą wysoko na koniu, lecz Ada nie zwracała uwagi na jego spojrzenia. Winna była mężowi posłuszeństwo, nie znaczyło to jednak, by czuła skruchę i miała ochotę uczyć gry nowego właściciela fortepianu, George'a Bainesa.

- Nie zniechęcaj go tylko, nikt nie oczekuje, że zostanie wielkim pianistą - ciągnął Stewart.

Popatrzył znów na żonę, ale jej twarz pozostała martwa, niewzruszona.

Baines powitał ich uprzejmie, posłał nieśmiały uśmiech paniom, które go nie odwzajemniły. Fortepian był jedynym politurowanym sprzętem w prymitywnej chacie, różane drzewo wydawało się tu nie na miejscu. Alisdair Stewart podszedł do instrumentu, przesunął dłonią po jego wierzchu, otworzył i zamknął pokrywę klawiatury, po raz pierwszy zainteresowany przedmiotem, który wymienił za ziemię.

- Wygląda ładnie. - Uśmiechnął się do Ady, pokiwał głową. - To faktycznie bardzo piękna rzecz. No...

Obrócił się do Bainesa, który stał z szerokim uśmiechem, oczekując, że Ada okaże mu wdzięczność za uratowanie fortepianu.

- Życzę powodzenia - powiedział Stewart. - Panie nie mogą się doczekać lekcji.

Ale na twarzach Ady i Flory McGrath trudno by się było dopatrzeć entuzjazmu. Flora, nieśmiała i paraliżowana napięciem matki, szarpała obsesyjnie kosmyk włosów, który wysunął jej się spod czepka. Ada stała ze wzrokiem wbitym w podłogę, zimna i surowa.

- Flora przetłumaczy ci wszystko, co mówi Ada - oznajmił lekkim tonem Stewart. - Porozumiewają się palcami. Nie wyobrażasz sobie, co potrafią wypowiedzieć ruchami rąk.

To rzekłszy, Stewart pożegnał się pozostawiając żonę i pasierbicę na pierwszej z zapowiedzianych lekcji. Po jego wyjściu George Baines podszedł do fortepianu. Podniósł pokrywę, demonstrując połysk klawiszy, dając Adzie do zrozumienia, że lekcja może się rozpocząć.

Ada uczyniła kilka ruchów dłoni w kierunku Flory, która przetłumaczyła:

- Mamusia chce obejrzeć pana ręce.

Baines się zawahał, lecz po chwili wyciągnął dłonie, rozpostarte, jakby trzymał w nich wielką kulę.

- Nie tak. Tak.

Flora zademonstrowała swoje czyste, złożone paluszki, najpierw wierzchem do góry, potem do dołu. Baines, onieśmielony, lecz gorliwy, uczynił to samo, tyle że jego dłonie były wielkie i szorstkie, świadectwo życia, jakie prowadził. Ada dała znak Florze.

- Musi pan umyć ręce.

- Są umyte.

- Niech pan je umyje jeszcze raz.

Baines popatrzył na swoje dłonie, jakby należały do kogoś innego.

- Te ślady nie zejdą - powiedział wolno, podsuwając ręce do obejrzenia Adzie, która patrzyła w drugą stronę. - To są blizny i odciski.

Ada ani Flora nie poruszyły się. Dziewczynka wpatrywała się jak urzeczona w chropowate dłonie Bainesa. Ten, przygarbiony, zdjął wiszące na ścianie cynowe wiadro, wrzucił do niego z głuchym stukiem szczotkę do szorowania i mydło i wyszedł na dwór. Ada przyglądała się przez okno, jak Flora, stojąc obok Bainesa, wskazuje z powagą miejsca, które ma szorować.

Po chwili podsunęła się ukradkiem do fortepianu. Wszystko się w niej rwało, żeby go dotknąć, miały ją jednak sprzeczne uczucia. Z jednej strony pragnęła czuć znów pod palcami klawisze, z drugiej paraliżowała ją świadomość, że fortepian nie jest już jej własnością. Stał się jakby zakazanym owocem. Ledwo muskając palcami powierzchnię, pogłaskała politurowane drzewo, po czym sięgnęła do klawiatury. Z jedną dłonią przy ustach, jakby dla dodania sobie odwagi, położyła palec drugiej na klawiszu, przycisnęła ostrożnie kość słoniową. Rozległ się głuchy dźwięk. Ada

przebiegła palcami po klawiaturze i odsunęła się raptownie od instrumentu. Fortepian był beznadziejnie rozstrojony, wszystkie struny brzmiały tępo i w niewłaściwej tonacji. Zatrzasnąwszy pokrywę, wyszła na dwór, gdzie Flora nadal nadzorowała ablucje Bainesa. Schodząc z werandy, posłała córce serię niecierpliwych znaków.

- Mamusia nie może pana uczyć - poinformowała Flora - bo fortepian nie ma dźwięku.

Stroiciel był niewidomy i sprowadzenie go z Otaki stanowiło nie lada zadanie. Przez znaczną część drogi Baines musiał go dźwigać na barana. Za to później z przyjemnością przyglądał się, jak siwowłosa staruszek dotyka instrumentu, przysłuchiwał, jak mu przywraca brzmienie.

- A - a, Broadwood - cmoknął stroiciel sunąc widzącymi palcami po fortepianie. - Cudowny instrument. Nigdy nie napotkałem Broadwooda ani tutaj, ani w Nowej Południowej Walii, gdzie stroiłem co najmniej dwie setki. A tam cenią sobie dobre fortepiany.

Wyjął z kieszeni starannie opakowany kamerton. Rozwinął go, otworzył wieko instrumentu i zabrał się do strojenia, naciągając struny ułożone krzyżowo na modłę wszystkich fortepianów skrzyniowych. Stroiciel pochylił się i wciągnął w nozdrza powietrze. Baines patrzył zafascynowany, jak przytyka nos do klawiatury.

- Wosk - zawyrokował. - I sól morską. Co pan będzie grał po nastrojeniu?

- Ja nie umiem grać.

Stary stroiciel wyprostował się, zdumiony, po czym zatrząsł się powolnym śmiechem. W pierwszej chwili bezcelowy wysiłek morderczej wędrówki przez przepastny las wydał mu się niewybaczalny, lecz wkrótce

proste wyznanie tego człowieka rozbroiło go swoją naiwnością, nadając ich wspólnej przygodzie cechy boskiej farsy.

- A więc, droga panno Broadwood - powiedział głaszcząc wieko fortepianu - będziesz nastrojona, ale niema. Cóż, może ja pana rozumiem lepiej, niż panu się wydaje - podjął po chwili, kręcąc głową i rechocząc. - Moja żona, widzi pan, śpiewała głosem czystym jak dzwoneczek. A po ślubie zamilkła. Oświadczyła, że nie ma ochoty śpiewać, bo życie napawa ją smutkiem. I tak dożyła swoich dni, z tym wspaniałym głosem uwięzionym za zasznurowanymi wargami.

Ale George Baines nie oddał ziemi i nie sprowadził fortepianu do domu, żeby tu stał jako milczący obiekt podziwu. Wiedział, że po nastrojeniu Ada nie będzie w stanie mu się oprzeć. Nie mógł się doczekać następnej lekcji, powtórnego spotkania z Adą McGrath i jej niesamowitą muzyką, która mu dźwięczała w myślach i snach od tamtego dnia na plaży.

Ada nie mogła spać. Leżała w ciemności, miotana mieszaniną sprzecznych uczuć. Czuła ulgę, że fortepian nie stoi już na plaży, gdzie powoli zapadłby się w piasek, zarazem jednak nie mieściło jej się w głowie, że Alisdair Stewart mógł przehandlować jedyny jej przedmiot, który kochała, jedyne, co obok córki nadawało jej życiu sens i wносиło w nie radość. Nie po to przebyła taki szmat świata, żeby utracić swój fortepian. Było to tak, jakby pozbawiona mowy - za sprawą Stewarta traciła, jedyny głos jaki jej pozostał. Jej ból dawał się porównać tylko do utraty ukochanej istoty, czuła się osierocona, miała złamane serce. Fortepian stanowił jedyną rzecz, nad którą nauczono ją panować, jedyną, którą mogła nazwać naprawdę swoją. Myśl o tym przypomniała jej Delwara Hausslera. Odepchnęła czym prędzej to

wspomnienie, przewróciła się na wąskim łóżku, które dzieliła z Florą.

Dzień następnej lekcji nadszedł aż nazbyt szybko. Ada ubierała się tego ranka powoli, ciążyły jej warstwy ubioru, koszula, długie majtki, krynolina, fiszbiny, stanik, halka, spódnica. Ze starego kraju przywiozła zasobną garderobę, uszytą z dobrych i ładnych materiałów, szkockich krat w odcieniach fioletu, czerni i granatu, proste suknie robocze o wysokich kołnierzykach, dwa czy trzy ukochane stroje z jedwabiu, jednakże klimat nowozelandzki zdążył już odcisnąć na nich swoje piętno. Niemożliwością zdawało się spranie z nich błota i śladów parnej wilgoci w prymitywnej balii i misce, do których Ada czuła się chwilami przykuta. Prania wymagała nie tylko odzieży jej i Flory, lecz także Alisdaira Stewarta, ta ostatnia najbrudniejsza. Ilekroć Stewart wchodził do jej sypialni, niezręcznie strącał ze ściany wiszące obręcze krynoliny. Wszedł właśnie, żeby żonę i pasierbicę szybciej wyprawić do George'a Bainesa.

W połowie drogi ogarnęła Adę przemożna tęsknota. Rozpostarła płaszcz, pod którym miała wiśniową suknię, i usiadła na kobiercu paproci i mchów przy ścieżce. Flora wyciągnęła się za nią i z zamkniętymi oczyma rozkoszowała się słońcem, które grzało jej twarz i mieniło się jasnym blaskiem na jej słomkowym czepeczku. Wyczulonej na nastroje matki Florze przypomniawszy Szkocja, kucyk Gabriel i wrotki, których nie zabrała. Bawiąc się zerwaną gałązką paproci, siedziała obok sztywno wyprostowanej Ady, owładniętej nostalgią, której siła przyprawiała ją niemal o omdlenie. Co teraz robi jej ojciec? Czy o niej myśli? Czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczą? Jaka teraz pora roku w Aberdeen? I dlaczego właściwie zgodziła się wyjechać na drugi koniec świata? Ada nie pragnęła niczego bardziej, niż znaleźć się teraz we własnych znajomych pokojach i

korytarzach dworu, w którym spędziła całe dotychczasowe życie. Nie przypuszczała, że oderwanie od domu będzie tak bolesne, przekraczało to jej najczarniejsze wyobrażenia. I cóż to za miejsce, w którym się znalazła, jakie ją tu czeka życie? Otrząsnąwszy się z rozpacz, Ada wstała, przynagliła do wstania Florę i ruszyły w dalszą drogę. U końca ścieżki Ada wydelegowała Florę, żeby zapukała do drzwi Bainesa. Zatrzymała się w pewnej odległości, czekając, aż Flora przekaże jej posłanie.

- Mamusia mówi, że nie może pana uczyć na takim rozstrojonym fortepianie. Ja mam z panem przerobić gamy.

Flora zniknęła w ciemnym wnętrzu, Ada zaś pozostała na dworze, nie wchodząc nawet na werandę. Dziewczynka usiadła przy klawiaturze i zwracając się do Bainesa oświadczyła tonem, którym w jej mniemaniu powinna przemawiać nauczycielka.

- Mam nadzieję, że pan wyszorował porządnie ręce. - Zagrała parę tonów i niemal natychmiast urwała. - O, jest nastrojony! - wykrzyknęła zaskoczona, po czym z większą pewnością zaczęła grać gamę.

Na dźwięk fortepianu, precyzyjny, czysty, Ada McGrath poderwała się i wpadła do środka. Podbiegła do instrumentu i, odsunąwszy Florę, usiadła na ławeczce. Położyła dłonie na klawiaturze i wzięła parę akordów. Nie wierzyła własnym uszom. Brzmienie było piękne, tony czyste, matematycznie równe. Ada wzięła kolejne akordy.

- Ja miałam uczyć - zaprotestowała Flora, nie chcąc rezygnować z funkcji nauczycielki.

Ponieważ Ada nie zwracała na nią uwagi, dziewczynka odsunęła się obrażona. Ada zagrała jeszcze kilka taktów, po czym podniosła wzrok na Georga Bainesa, który z uśmiechem satysfakcji przyglądał się jej zaskoczeniu. Ada podniosła się od fortepianu, dając Florze znaki.

- Mamusia pyta, co pan umie grać.

- Ja nie chcę grać - odparł Baines z wahaniem. - Chcę słuchać, uczyć się w ten sposób.

Flora i Ada ściągnęły brwi.

- Każdy musi ćwiczyć - zawyrokowała z wyższością Flora, której kazano ćwiczyć do znudzenia.

- Ja chcę tylko słuchać - powtórzył Baines w swój naiwny sposób.

Ada nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała ochoty grać dla niego, tak samo jak nie miała ochoty uczyć tego człowieka. Poczuwając się jednak do obowiązku dopełnienia bezdusznej obietnicy męża, któremu jest w końcu winna posłuszeństwo w myśl umowy o jej rękę zawartej przez ojca w Szkocji, podeszła do fortepianu. Podniosła pokrywę klawiatury tak raptownie, że przycisnęła palec Bainesowi. Nie przeprosiła go, choć cofnął rękę z syknięciem. Zagrała krótką prostą gamę, po czym podniosła wzrok na mężczyznę, który kupił podstępnie jej fortepian, jakby chciała zapytać: "Słyszał pan? Wystarczy?"

- To piękne - skomentował zachęcająco George Baines.

I tak, powoli, wbrew sobie, Ada zaczęła grać. Wypełni zobowiązanie podjęte przez męża, choć wcale jej się to nie uśmiecha. Jednakże, sama nie wiedząc kiedy, dała się porwać muzyce. Już po chwili uniosła ją ona z tej brudnej prymitywnej chaty, z dymiącym paleniskiem i bochenkiem czerstwego chleba na stole, od tego mężczyzny, który nie umie czytać ani pisać, uwolniła od wszystkich upokorzeń jej nowego życia. Baines stał zasłuchany przy oknie, Flora zaś, obrażona, uciekła na dwór. Po godzinie grania Ada urwała, skonsternowana palącym wzrokiem Bainesa, który czuła na plecach. Gapi się, jakby w ten sposób mógł się czegoś nauczyć!

Tego wieczora Ada czuła się szczególnie przygnębiona. Ogarnęło ją uczucie samotności głębokie i mroczne jak morze. Tyle jest w tym domu pracy, nie widać nigdy jej końca. Ubożenie jej ojca w miarę, jak pozwalał wraz ze swym postępującym wiekiem podupadać majątkowi, nakładało na Adę coraz więcej obowiązków domowych, ale jej praca we dworze była niczym w porównaniu z codzienną harówką w domu mężowskim, od której nie знаła chwili wytchnienia. W zasadzie nie miała nic przeciwko pracy, zapełniała jej ona przynajmniej czas, pozwalała zapomnieć o godzinach, które by spędzała przy fortepianie, gdyby była w domu rodzinnym. Tyle że tej roboty, tego ciężkiego znoju, zdawało się nigdy nie ubywać i Ada kładła się wieczorem do łóżka nieprzytomna ze zmęczenia.

Alisdaira Stewarta nie było często w domu, pracował gdzieś na wykarczowanych terenach, które uważał za swoje, i czasami pozostawał na noc w jakimś szałasie. A jeśli nawet był w domu, to trzymał się na dystans od żony. Po starciu o fortepian zrobili się dla siebie uprzedzająco grzeczni, choć każde trwało z uporem przy swoim. Zza komunałów Stewarta przebijało poczucie winy, Ada zachowywała się chłodno i wyniośle.

Tego wieczora Stewart był w domu, czytał w swoim pokoju, kiedy Ada kładła Florę. Flora zażądała opowieści do poduszki, chciała jeszcze raz usłyszeć o swoim ojcu.

- Opowiadałam ci o nim już tyle razy - odparła z uśmiechem Ada językiem migowym.

Flora jednak nigdy nie miała dość opowieści o ojcu. Ada zresztą też chętnie go wspominała, aczkolwiek mimo upływu lat, z oczywistych względów, nigdy nie opowiadała Florze pełnej historii, lecz tylko fragmenty prawdy konstruowane na użytek dziecka.

- Opowiedz mi jeszcze raz - nalegała Flora ściskając matkę za szyję, wciągając ją w krąg ciepłego światła świecy. - Był nauczycielem?

Ada kiwnęła głową.

- Jak z nim rozmawiałaś?

- Nie potrzebowałam z nim rozmawiać - zasygnalizowała Ada. - Przekazywałam mu myśli jak wypisane na papierze.

Dłonie Ady pływały w powietrzu.

- I co się stało? Dlaczego się nie pobraliście? - spytała Flora marszcząc jak zawsze czoło w tym punkcie opowieści.

- Przeląkł się i przestał słuchać - wyjaśniła Ada.

W tym momencie drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Stewart. Stał, jakby powstrzymany przez niewidzialną barierę.

- Ucałować cię na dobranoc? - spytał Florę, chociaż Ada wiedziała, że pytanie jest tak naprawdę skierowane do niej.

Flora ukryła się pod kołdrą - nie chciała, żeby Stewart się zbliżył. Ada siedziała z kamienną twarzą. Alisdair kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Na następną lekcję Flora i Ada szły do chaty Bainesa w ulewnym deszczu. Baines miał przyjaznego kundla imieniem Flynn, którego Flora obrała sobie za obiekt do nękania. Poszturchiwała go kijem, co pies przyjmował potulnie, dopóki Flory nie zaczynał zbytnio ponosić temperament. Chował się wówczas pod domem, skąd dziewczynka próbowała go wypłoszyć w zacinający deszcz, operując swoją bronią przez szpary w podłodze werandy. Jej rozochoczone podskoki i okrzyki stanowiły nieodłączne tło rytmicznej gry jej matki.

Podczas gdy Ada McGrath grała w swój zapamiętały sposób, George Baines spacerował tam i z powrotem po izbie, Ada zrezygnowała z prób uczenia go i grała dla własnej przyjemności, lirycznie i namiętnie zarazem. Pod jego przenikliwym spojrzeniem kradła czas dla siebie.

Baines stykał się z muzyką i śpiewem w szynkach wielu portów, śpiewał nieraz sam marynarskie pieśni na morzu, hasał w wielu tancbudach z kobietami, które zadzierały kiecki i wirowały swawolnie. Nie przypominało to w niczym tej muzyki. Baines nie był wytrawnym ani wybrednym słuchaczem, lecz gra Ady McGrath kazała mu słuchać w sposób, w jaki nigdy dotąd nie słuchał, pochłaniała jego myśli, przejmowała go wzruszeniem. Zdawało mu się, że mógłby słuchać w nieskończoność. Zauważył, że lewą dłonią pianistka utrzymuje stały rytm, prawą zaś wprowadza jakby kontrrytm. Pod jej palcami jedna melodia przechodziła płynnie w drugą. Nie były to pieśni salonowe, gigi ani popularne śpiewki; były to harmonie z innego świata. Nieodparta siła przyciągała Bainesa do Ady, przykuwała do jej skupionego milczenia nad klawiaturą. Miał wrażenie, jakby muzyka nadawała jej milczeniu samoistny żywot.

Z początku Baines słuchał z pochyloną głową, jednak w miarę jak muzyka stawała się bardziej zdecydowana, sama Ada zaś coraz bardziej nią pochłonięta, coraz częściej podnosił wzrok. Usiadł w drugim końcu izby i delektował się widokiem kobiety przy fortepianie. Po jakimś czasie przeniósł krzesło bliżej i ustawił je pod innym kątem. Ada uniosła głowę, kiedy się przesuwał za jej plecami. Nie pojmowała, jak Baines może się zadowalać samym słuchaniem, jego rezygnacja z nauki była dlań niezrozumiała. Lecz zaraz zatopiła się z powrotem w muzyce i Baines mógł znów swobodnie obserwować, jak w jednej chwili pochyla się nad klawiaturą, by w następnej się od niej odsuwać.

Po pewnym czasie Baines ponownie przeniósł za jej plecami krzesło na drugą stronę fortepianu. Ada śledziła jego ruchy, świadoma teraz uwagi, z jaką ją obserwuje, i bliskiego ciepła jego ciała. Z tego miejsca Baines widział lepiej, mógł się napawać płynnymi ruchami jej rąk na klawiaturze i

najdrobniejszymi fluktuacjami nastroju na jej twarzy. Dłonie miała gibkie, palce długie, kształtne, delikatne, a mimo to silne. Dwukrotnie zamknął oczy, westchnął głęboko, owładnięty tęsknotą i pożądaniem. Widząc jego przymknięte powieki Ada poczuła niepokój.

Słuchając, George Baines myślał o morzu, o swoich rozlicznych podróżach. W jego umyśle muzyka kojarzyła się z kobietami. Ta kobieta, o szczupłych wymownych plecach i małych dłoniach, które jednak potrafią objąć taki kawał klawiatury, gra jak w transie, pochłonięta teraz w jego domu muzyką, tak jak wówczas na plaży. Ma dzisiaj inaczej zaczesane włosy, zauważył, splecione w misterne warkoczyki owinięte dokoła uszu, pozostawiające kark całkowicie obnażony. Baines nie mógł od niego oderwać wzroku. Nieodparcie przyciągała go jej długa biała szyja, jeszcze wilgotna od deszczu, w który tutaj szła. Nie zastanawiając się, co robi, Baines zbliżył się, oparł na jej ramieniu dłoń i złożył pocałunek na cudownie nagim karku.

Ada odskoczyła od fortepianu, łapiąc oddech i zakrywając usta dłonią, jakby dla stłumienia okrzyku. Na niepewnych nogach ruszyła do drzwi.

- Ado! - zawołał Baines, świadom, że popełnił niewybaczalny błąd. - Nie odchodź, zostań! Ugodzimy się! Dobijemy... dobijemy targu.

Powiedział to śpiesznie, lecz spokojnie, sam nie wiedząc w pierwszej chwili, do czego zmierza, pragnąc jedynie ją zatrzymać. Pomysł przyszedł mu do głowy nie wiadomo skąd, od razu w pełni ukształtowany.

Ada odwróciła się i popatrzyła na niego w napięciu, lecz i nie bez chytrości.

- Chciałabyś odzyskać swój fortepian? - George Baines nie planował tego, ale mówił teraz tak, jakby planował. -

Chciałabyś? - powtórzył cicho, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

Ada umknęła oczami przed jego spojrzeniem.

- Chciałabyś? - zapytał głośniej.

Ada podniosła wzrok. Patrzyła mu prosto w oczy, czekając, co powie.

- Rozumiesz, jestem gotów dobić z tobą targu. - George Baines odwrócił na chwilę oczy. Cóż, posunąwszy się tak daleko, musi brnąć dalej. - Chciałbym, żebyś mi pozwalała na pewne rzeczy, kiedy będziesz grała.

Ada zrobiła szybki wdech, zdjęta niesmakiem. Baines okazał się tak nieokrzesany, jak na to wyglądał. Odwróciła się, żeby zebrać nuty, płaszcz i czepek.

- Zwrócę ci fortepian, jeśli przystaniesz na moją propozycję.

Zrobiła krok w stronę drzwi.

- Co o tym myślisz? Klawisz za każdą wizytę.

Ada się zatrzymała, popatrzyła na fortepian; jeśli teraz wyjdzie, więcej instrumentu nie zobaczy. Wolno przesunęła się za koncertowego Broadwooda, który stanowił zawsze część jej życia, był częścią jej duszy. Zobaczyła swoją twarz odbitą w politurowanym drzewie różanym. George Baines czekał. Długo stała za instrumentem, z myślami kłębiącymi się w głowie, nim Wreszcie odchrząknęła, jakby chciała przemówić. Podniosła do góry palec, po czym wskazała swoje ramię.

- Twój żakiet? - spytał Baines.

Ada potrząsnęła głową, ujęła w garść gruby materiał spódnicy.

- Spódniczka?

Zirytowana jego brakiem zrozumienia, Ada kilkakrotnie przebiegła palcami tam i z powrotem po czarnych klawiszach fortepianu.

- Chcesz go odkupić za czarne klawisze? - spytał Baines.
- Ależ to znacznie mniej. Połowa - powiedział, gotów się targować.

Ada ruszyła ponownie w stronę drzwi.

- Dobrze - zgodził się zagradzając jej drogę. - Dobrze, za czarne klawisze.

Ada zebrała z gracją spódnicę i zasiadła z powrotem do fortepianu. Mimo kompromitującego charakteru transakcji czuła się dumna, że wytargowała swój instrument za połowę ceny. Nacisnęła najniższy czarny klawisz, uniosła w górę palec i zaczęła grać.

Zanim wybudował sobie chatę w lesie, George Baines pędził żywot na morzu. Urodził się na północno - wschodnim wybrzeżu Anglii, nie opodal Hull, w miasteczku, które żyło z rybołówstwa. Wyrósłszy na kutrach, czuł morze przez dno łodzi, tak jak niektórzy jeźdźcy czują ziemię przez koński grzbiet. Jednakże skończywszy szesnaście lat, George Baines miał dosyć morderczej ojcowskiej profesji łowienia ryb przez cały okrągły rok. Rwał się do czegoś większego, wspanialszego i wkrótce wiedział, co może zaspokoić jego ambicje. Nasłuchiwał się w szynkach dość opowieści pijanych marynarzy, które obrastały buńczuczными przechwałkami w miarę upływu wieczoru.

Wieloryby! Wielkie, potężne stwory morskie, wydmuchujące fontanny wody. George Baines widział finwała, kiedy jako dwunastoletni chłopiec pierwszy raz wypłynął z ojcem na połów. Wyciągnąwszy się w słońcu na chwilę wytchnienia, popijał mocną ojcowską kawę, gdy nagle, może dwadzieścia metrów po sterbocie, rozstąpiła się spokojna powierzchnia wody i wychynął wielki szary grzbiet, zakłócając sjęstę George'a. Chłopak poderwał się z krzykiem, kubek wpadł mu do morza. Ojciec, wystraszony, że synowi grozi niebezpieczeństwo, przybiegł z rufy akurat, kiedy

wieloryb wypuścił swoją fontannę. Pióropusz piany wzniósł się wysoko w górę, a jedną z rzeczy, które wryły się George'owi najsilniej w pamięć, był ohydny fetor, jaki przyniosły ze sobą krople przywiane w ich stronę. Wieloryb wynurzył się powtórnie, ukazując jeszcze więcej swego cielska, po czym zapadł się na dobre w głębinach.

Dla George'a Bainesa wieloryb stał się rodzajem objawienia, uzmysłowił mu dobitniej niż cokolwiek groźną potęgę morza. W rybackim miasteczku prawie nie było roku bez ofiar, młodych silnych mężczyzn, którzy nie powracali z połowów, więc George nigdy nie uważał morza, za dobrotliwe źródło, które żywi jego rodzinę. Jednakże dopiero ukazanie się wieloryba zadziwiło i naprawdę przeraziło dwunastolatka.

Baines został wielorybnikiem i przez wiele lat przemierzał oceany w poszukiwaniu kaszalotów, legendarnego białego wieloryba, a w południowych akwenach płetwali. Dwukrotnie odwiedził dom, raz po pół roku, drugi - po dziesięciu latach, kiedy jego ojciec potrzebował już dobrych paru chwil, żeby rozpoznać osmagloną wichrami twarz syna. Przywykł do życia na morzu. Lubił pracować z twardymi mężczyznami, lubił towarzystwo portowych kobiet. I kochał wieloryby. Kochał je, gdy zdychały i gdy je oprawiali na morzu dla tranu, fiszbinów i ambry. W końcu jednak sprzykrzyła mu się rzeź, zmęczył go wieczny niepokój i pewnego dnia ożenił się w tętniącym życiem porcie Hull z dziewczyną, którą znał od lat. Wziął ją z domu rozpusty i zamieszkali w dwóch pokojach o oknach wychodzących na główną ulicę. Pracował w porcie, na lądzie, nie na morzu, oszczędności trzymając w banku. Żyli ze sobą ponad rok i byli na swój sposób szczęśliwi. Elizabeth nie umiała gotować ani szyć, umiała się jedynie bawić, więc się bawili. Ostatecznie jednak George się znudził, Elizabeth również, doszli do zgodnego wniosku, że ich życie jest jednym wielkim udawaniem. Rozstali się w przyjaźni i George

wrócił na morze, a Elizabeth do dawnego zawodu. Zostawił jej trochę pieniędzy na usamodzielnienie się, sam zaś zaciągnął się na żaglowiec płynący na morza południowe, do Nowej Zelandii.

Kiedy podczas żeglugi napotykali wieloryby, u przylądka Horn, a potem na wodach bliskich portu przeznaczenia, George na widok potworów wynurzających się z fal czuł zadowolenie, że zamiast krwawego zabijania na morzu zdecydował się osiąść na nowym lądzie.

Flora, skulona pod okapem domu George'a Bainesa, ścisnęła kundla Flynna, otulonego teraz jej czerwonym płaszczem. Drapała go za uchem i po długim pyszczku.

- Biedny maleńki - gruchała do niego. - Co to za okrutna mała osóbką wypędzała cię na deszcz i szturchała kijem? - Cha, cha! Ale teraz będzie ci u mnie dobrze. Pocałowała go w czubek głowy. Przychodząc z Adą na lekcje, buntowała się zawsze, że matka każe jej zostawać na dworze. Flynn jest jej jedynym przyjacielem, myślała nie bez mściwej przyjemności.

- Jesteśmy sami jedni na świecie - szeptała do psa. - Nikt cię nie kocha prócz mnie.

Wracając ścieżką przez las, z Florą podskakującą radośnie u jej boku, Ada zastanawiała się, jaką właściwie transakcję zawarła i z mężczyzną jakiego pokroju. Jednakże zdecydowana i pewna siebie, niezłomna w swym drobnym ciele, Ada nie widziała powodu do zbytniego roztkliwiania się nad naturą targu, którego dobiła. Dotrzyma umowy. Musi odzyskać swój fortepian.

ROZDZIAŁ 6

Przygotowania do widowiska bożonarodzeniowego, wydarzenia wielkiej wagi w życiu misji, były w pełnym toku. Pastor Septimus Campbell, szczęśliwie uwolniony od sztywnego, bezdusznego rytuału szkockiego Kościoła, lubił łączyć widowisko jasełkowe dla dzieci z czymś znacznie mniej konwencjonalnym. Spędzał znaczną część roku na planowaniu, by przez ostatnie miesiące przed wyznaczoną datą budynek misji stał się terenem gorączkowych przygotowań.

Tego mrocznego popołudnia Stewart pomagał ciotce Morag przygotować różdżki z zawieszonymi u jednego ich końca malowanymi księżycami i gwiazdami, pastor zaś wycinał z tektury rozmaite formy.

- Nożyczki! - rzuciła bratankowi suchą komendę ciotka Morag, jak chirurg instrumentariuszce podczas operacji.

Stewart podsunął jej wiklinowy koszyk z przyborami do szycia.

- Nessie - zażądał pastor - odłóż to i chodź tutaj, wyciągnij rękę.

Nessie wniosła właśnie tacę z zastawą do herbaty, z biskwitami i słodkimi ciasteczkami.

- Och, nie! Niech pastor poprosi pana Stewarta - zaczęła się krygować spuszcżając oczy.

- Ależ proszę cię, Nessie - nalegał pastor.

Jednakże Nessie się odwróciła, więc pastor, w ferworze przygotowań, zdecydował się wciągnąć do pomocy Mary, jedną z młodych Maorysek.

- Uklęknij tutaj - wskazał.

Widząc, że Mary posłusznie klęka, Nessie, w obawie utraty obiecannej głównej roli, wykrzyknęła: "Już dobrze, dobrze!" - i sama przycupnęła we wskazanym miejscu.

- Wyciągnij rękę - zakomenderował pastor, który miał na plecach przypięte małe anielskie skrzydełka.

Nessie, rozpromieniona pod wpływem przyglądających się, uniosła ostrożnie rękę. Kiedy jednak pastor zamierzył się tekturowym toporem, Nessie krzyknęła i cofnęła dłoń.

- Nie, nie! - skarcił ją zniecierpliwiony pastor. - Nie uciekaj z ręką. - Podniósł topór i machnął nim przed nosem Nessie. - Nie rozumiesz? Jesteś napadniętą - wyjaśnił unosząc jej ramię.

Tym razem Nessie ujrzała na ścianie cień spadającego topora i swojej odrąbywanej ręki. Pastor stał się napastnikiem, ona jego niewinną ofiarą. Pisnęła widząc, że pastor ponownie podnosi topór. Pozostali się roześmiali.

- Jak rozlejemy krew - cieszył się pastor - efekt będzie piorunujący.

Pastor entuzjasmował się genialnością dramatycznego pomysłu. Jednakże dłoń brata na ostrzu topora przejęła dreszczem Morag. Obraz na ścianie bawialni wyglądał groźnie, topór wydał jej się zbyt realistyczny. Ogarnął ją lęk, czy nie przesadzą dokładając do tego jeszcze zwierzęcą krew.

Lekcje muzyki odbywały się raz na trzy dni, bo tylko tyle czasu mogła Ada wygospodarować od prac domowych, chociaż gdyby miała fortepian na własność, z pewnością znalazłaby sposób urwania codziennie paru godzin z domowej harówki. Utartym zwyczajem Flora towarzyszyła zawsze matce do chaty George'a Bainesa, musiała jednak pozostawać na zewnątrz podczas lekcji.

Pies Flynn czmychał i chował się pod domem, gdy tylko usłyszał szelest ich spódnic i paplaninę Flory. Flora, owinięta swoim czerwonym płaszczykiem, wsuwała się na brzuchu pod werandę i próbowała go wypłoszyć. Chata Bainesa stała na niskich palach dla ochrony drewnianej podłogi przed wilgocią i robactwem. Flora wpełzała kawałek pomiędzy pale, lecz

kiedy ogarniała ją ciemność i stęchlizna, a nad głową zaczynały dudnić kroki, wycofywała się przestraszona. "Flynn, Flynn" - nawoływała rozpaczliwie, ale pies nauczony smutnym doświadczeniem, pozostawał w ukryciu.

Mając przed sobą perspektywę samotnego popołudnia, Flora wdrapała się na werandę i zapukała do drzwi.

- Chcę mówić z mamusią - zażądała, gdy Baines jej otworzył.

Ada przerwała granie i wyszła na werandę. Zamknęła za sobą drzwi.

- Nie chcę być na dworze - oświadczyła Flora, - Chcę się przyglądać.

- Nie - zasygnalizowała Ada. - Baw się grzecznie na dworze.

- Będę cicho jak myszka.

- Nie, on jest bardzo nieśmiały.

- Nie będę na niego patrzyła - nalegała Flora. Ada potrząsnęła stanowczo głową, zdecydowana wracać do przerwanej gry. Nie była pewna Bainesa, ani warunków ich umowy. Flora musi pozostać na dworze.

Dziewczynka odeszła powoli w drugi koniec werandy, ze zgarbionymi plecami i zwieszoną głową. Na jej twarzy malował się zawód i bunt, kiedy z wewnątrz dobiegło arpedžio matki. Nienawykła do spędzania samotnie czasu i zazdrosna, ilekroć uwaga Ady skupiała się na kimkolwiek innym, Flora czuła się boleśnie skrzywdzona.

W izbie George Baines przyglądał się grającej Adzie. Jej zachowanie było dzisiaj inne, swobodniejsze, bardziej przypominało nastrój tamtego dnia na plaży. Baines słuchał w napięciu, chłonał całym sobą muzykę, która go koła i której zawsze mu teraz brakowało. Krążył po izbie, zbliżając się coraz bardziej, jak zwierzę skradające się do ofiary. Ada, choć grała ze zwykłą pasją, była świadoma jego poruszeń. Kiedy

się zatrzymał, oparty o tył fortepianu, z utkwionym w nią spojrzeniem, popatrzyła na niego, po czym zamknęła oczy. Pragnęła rozplątać się w muzyce, cała się w nią przemienić.

Tej nocy George'owi Bainesowi śniła się muzyka. Śniła mu się Ada McGrath i przedziwne melodie, którymi napełnia jego dom. Zbudował tę chatę przed laty, kiedy kupił pod nią ziemię. Budowa, z drzew, które ściał, żeby oczyścić działkę, zajęła mu ledwie parę tygodni. Chata była nader skromna, składała się z jednej izby, z wnęką do spania oddzieloną zasłoną i oknami opatrzonymi w okiennice, ale bez szyb. Baines zamierzał zbudować coś przestronniejszego, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Na jego potrzeby dom był wystarczający, odpowiadała mu jego prostota.

Teraz w izbie stał niezwykły mebel, instrument muzyczny wspanialszy od czegokolwiek, co widział od lat. Kiedy otwierał rano oczy, fortepian był pierwszą rzeczą, którą napotykał wzrokiem. Odsuwał koronkową zasłonę oddzielającą łóżko i miał go przed sobą. Stał zawsze przygotowany do gry. Był nadprzyrodzoną nowością w jego prostym życiu, cudowną jak Ada McGrath.

Wstał teraz z łóżka, przeciągnął wypoczęte ciało. Przez okno wpadał prostokąt porannego słońca, pływały w nim drobiny kurzu. W jasnym świetle widać było pył, który osiadł na fortepianie, więc Baines ściągnął koszulę nocną i jął wycierać różany blat. Gładkie drzewo nabierało blasku tam, gdzie je przetarł. Krzątając się koło instrumentu poczuł na plecach ciepło słońca. Przypomniawszy sobie, że jest nagi i jego ruchy zaczęły się stawać powolniejsze, aż w końcu nie wycierał już fortepianu, ale go pieścił. Instrument zawładnął nim do tego stopnia, że jego ciche pożądanie do kobiety, która na nim grywa, rozciągnęło się na sam fortepian.

George Baines mieszkał w Nowej Zelandii od dziewięciu lat. Europejscy osadnicy dziwili się jego życiu w samotnej

chacie, bez towarzystwa ludzkiego. Tyle, że owi pakeha Maorysów, z którymi Baines utrzymywał bliskie kontakty, nie uważali ich za ludzi. Wiedział, że rozumieją oni ten wilgotny, szcudroblivy kraj znacznie lepiej niż którykolwiek z osadników. Można się od nich było wiele nauczyć. Kiedy brakło żywności, wypuszczali się na morze. Baines, podobnie, wyprawiał się od czasu do czasu do Nelson i zaciągał na któryś z kutrów rybackich. A kiedy znudziło mu się pływanie, powracał do swojej chaty i mozolnego sposobienia ziemi pod uprawy.

Baines cenił sposób traktowania przez Maorysów pracy, odpoczynku i ziemi, ich spokój wewnętrzny i ich dobrotliwą pobłażliwość wobec niego. Początkowo fascynował go tatuaż, moko, który miało wielu z nich. Moko, wymagające wielkiej biegłości, wykonywane było przez mistrzów tatuażu, tchungata moko, którzy podróżowali po kraju wykonując zlecenia jak sławni snycerze i posługując się dłutkami wielce przypominającymi narzędzia snycerskie. Kiedy pewnego lata przyjechał do osady Maorysów tchungata, Baines, za namową Honego i Many, zgodził się poddać rytuałowi moko i w rezultacie miał na twarzy załączki tatuażu. Pełny tatuaż, taki jak symetryczne wzory zdobiące oblicze wodza Nihe, wymagał wieloletnich zabiegów, gdyż precyzyjne dłutowanie i barwienie skóry powodowało wielkie obrzęki i przykre dolegliwości. Baines nie obawiał się bólu, ale nie miał cierpliwości do długotrwałych sesji, jakich potrzebował tchungata. Przywykł jednak do swego skromnego tatuażu, mimo że stanowił on przyczynę wzdargy okazywanej mu przez wielu Europejczyków, którzy osiedlali się coraz liczniej w okolicy.

Baines nie był Maorysem, nie był też prawdziwym pakeha. Kontentował się przez długi czas egzystencją, jaką prowadził, żyjąc na pół w jednym świecie, na pół w drugim.

Pojawienie się Ady McGrath i jej fortepianu zburzyło ten spokój. Bainesowi zaczęło zależeć na tym, co o nim myśli Ada. Pragnął, by przychodziła do jego domu nie tylko dlatego, że daje jej to okazję do grania. Ale przepełniało go szczęściem samo to, że przychodzi.

Do pieńka, przy którym pracował Stewart, zbliżały się ciotka Morag z Nessie i Mary. Stąpały ostrożnie po deskach przerzuconych przez bajoro, które miało się kiedyś przemienić w ogród. Morag w czerni, Nessie w brązie, Mary w czerwieni, wszystkie w fartuszkach, czepkach i narzutkach, tworzyły barwne trio na tle zwęglonych pni.

- Uwaga! - ostrzegała Morag stąpając po niepewnych deskach.

- Uwaga! - wtórowała Nessie, jakby istniało niebezpieczeństwo, że Mary nie zrozumie.

Ada słyszała ich głosy, sama oddalając się po deskach w przeciwnym kierunku, w drodze do chaty Bainesa.

- Nie ma właściwie potrzeby dawać tego tobie, ale mimo wszystko ci przyniosłam - powiedziała ciotka Morag do Stewarta.

Nessie wzięła od Mary koszyk z zaproszeniami, wyszukała zaproszenie adresowane do Stewarta i podała je ciotce Morag, która wręczyła je uroczystym gestem Stewartowi.

- Tylko się nie spóźnij - pouczyła. - Zwróć uwagę, że podane są dwie godziny. - Ciebie dotyczy ta wcześniejsza, bo będziesz towarzyszył jednej z artystek.

Alisdair Stewart, nie odpowiadając, odwrócił się w stronę, gdzie Ada i Flora oddalały się ostrożnie po deskach. Flora unosiła spódnicę matki chroniąc ją przed błotem.

- Zaczekajcie - zawołał. Zatrzymały się, obróciły do niego.

- Jak idą lekcje?

Ada kiwnęła niedbale głową. Lekcje szły wspaniale, Baines pozwalał jej grać, co chciała. Doznała drobnej satysfakcji na myśl, że Alisdair Stewart nie ma pojęcia o transakcji, jaką zawarła z George'em Bainesem.

- Robi postępy? - spytał Stewart.

Ada uśmiechnęła się lekko, kiwnęła ponownie głową i ruszyła w dalszą drogę.

- Wydaje się jakby spokojniejsza - zauważyła ciotka Morag pochylając się konspiracyjnie ku bratankowi. - Zrobiła się czulsza?

Stewart, zakłopotany, odwrócił głowę.

- Och! - powiedziała Morag. - Co się odwlecze, to nie uciecze.

W drodze do chaty Bainesa Flora była tego dnia wyjątkowo spokojna. W lesie roiło się od ptaków, śpiewały głośno, zapamiętałe, a dziewczynka im się przysłuchiwała. Z początku myślała, że pewne niezwykle dźwięki pochodzą od jakiegoś osobliwego zwierzęcia żyjącego w zaroślach, ale po jakimś czasie zlokalizowała je jako głos ptaka o krzykliwym upierzeniu, niepodobnego do niczego, co widziała. Zatrzymała się, żeby go pokazać matce, nadając mu już w myśli nazwę równie egzotyczną jak jego pióra, lecz Ada kroczyła szybko naprzód, jakby była nie tylko niema, ale też i głucha.

W pobliżu chaty Bainesa bioto zrobiło się twardsze, więc łatwiej było iść. Ada przyzwyczała się już, że ma dół spódnicy zawsze oblepiony błotem. Dzisiaj jednak nie padało, a pies Flynn, zamiast się skryć jak zwykle, wyszedł im na powitanie, tak że Flora zaczęła się z nim bawić, zanim Ada zdążyła zapukać do drzwi. Baines długo nie otwierał, a otworzywszy wbił w Adę spojrzenie tak przenikliwe, że się zastanawiała, czy przypadkiem nie pił. Prowadzi w tej swojej chacie życie tak cudaczne, że wcale by jej to nie zaskoczyło.

Ada zaakceptowała już transakcję zawartą z Bainesem jako część składową swojej niezwyklej, nowej egzystencji. Nie wiedziała, czego od niej zażąda za każdy klawisz, jeśli w ogóle czegoś zażąda, ale była zdecydowana zrobić wszystko dla odzyskania fortepianu. Szczegóły ją nie interesowały. Zresztą zawsze lubiła niespodzianki.

Przesunęła się obok Bainesa, który zastygł w drzwiach jak zaklęty, podeszła prosto do fortepianu, rozłożyła nuty i zasiadła do grania. Po chwili George Baines usadowił się przy oknie, w miejscu które widziała kątem oka. Zwykle siadał za jej plecami, tak że mogła zapomnieć o jego obecności i zatracić się całkowicie w muzyce. Dzisiaj jednak, jakby gotując się do czegoś, usiadł z boku, wsparty ciężko na łokciu, i przyglądał jej się przesuając wolno wzrok od jej dłoni na klawiaturze, przez ramiona, szyję, aż do twarzy.

Grała dłuższą chwilę, nim się odezwał po raz pierwszy tego dnia.

- Podnieś spódnice - powiedział wolno, gardłowym głosem.

Ada przestała grać, jej małe dłonie zamarły na klawiaturze. Nie przestraszyła się, choć ją to zaskoczyło.

Nie zdradziła się jednak swymi uczuciami. Nie patrząc na Bainesa, siedziała chwilę nieruchomo, zastanawiając się. A więc na tym polega ta jego transakcja. Potem, z kamienną twarzą, uniosła odrobinę spódnice, ukazując zabłocone sznurowane buciki, i zaczęła grać dalej.

George Baines poruszył się niespokojnie na krześle. Zdawało się, że wciąż marzy, że Ada McGrath przyszła do niego we śnie. Chciał od niej czegoś, sam nie wiedział czego, a zarazem bał się ją spłoszyć. Miał świadomość, że musi postępować z najwyższą ostrożnością, nie może jej zbyt przynaglać.

- Podnieś wyżej.

Tym razem Ada nie przerwała gry. Jedną ręką uniosła szybko spódnicę o dalsze pięć czy dziesięć centymetrów i grała dalej. George Baines podniósł się ze swego miejsca pod oknem. Opadł raptem na kolana i nim zdążyła wziąć następny akord, ułożył się na boku pod fortepianem. Żadne z nich nie wiedziało, co teraz nastąpi. Oboje mieli wrażenie, że atmosfera zrobiła się nagle duszna, aż trudno było oddychać.

- Wyżej - zażądał Baines.

Ada udała, że nie słyszy, na co Baines, odczekawszy chwilę, zabębnił dwukrotnie pięścią w dno fortepianu. Na to nieoczekiwane, brutalne przynaglenie Ada przestała grać.

- Podnieś wyżej - powtórzył.

Ada zrobiła głęboki wdech, po czym podniosła spódnicę i obszytą białą koronką halkę powyżej kolan.

- Resztę - zakomenderował Baines.

Podciągnęła teraz obręcz krynoliny, ukazując długie majtki, a pod nimi czarne wełniane pończochy. Spojrzała z nieukrywaną pogardą pod fortepian. Nigdy nie zdarzyło jej się spotkać mężczyzny kładącego się na podłodze dla spełnienia swojej zachcianki, nigdy nie proszono jej o nic podobnego. Zaczęła grać dalej, bo cóż innego miała robić.

George Baines leżał na twardej drewnianej podłodze, niepomny niewygody, jakby leżał na miękkich poduszkach. Nie mógł oderwać oczu od nóg Ady, od zręcznych poruszeń jej stóp przyciskających pedały. Kształtne łydki w czarnych pończochach wynurzały się z małych bucików o zgrabnych prostokątnych czubkach. Tuż pod koronką halki dostrzegł niewielką dziurkę w jej lewej pończosze. Wyglądała przez nią biała skóra Ady wystawiona na działanie powietrza i na jego spojrzenie, maleńki wyłom w pancerzu jej niewzruszonej osobowości. Niewiele myśląc, Baines uniosł rękę i palcem o brudnym paznokciu, o zrogowaciałym naskórku noszącym

ślady tytoniu dotknął przez dziurkę w pończosze jej skóry, chłodnej i gładkiej, delikatnej skóry Ady.

Ada drgnęła lekko, czując jego dotknięcie, lecz zmusiła się, by grać dalej. Czowała, że dopóki gra, mniej z siebie daje Bainesowi, że w ten sposób go powstrzymuje. Jego dotknięcie było zastanawiające, lekka powolna pieśczoła, która ją upokarzała i która dziwnie ścisnęła jej gardło. Dawno temu, raz tylko, była dotykana przez mężczyznę, ale nigdy nie była przedmiotem takich bezpośrednich, wnikliwych oględzin. Czowała, jak twarz jej płonie, a skórę pod nieśpiesznym palcem Bainesa przechodzi mrowienie.

Lecz Ada McGrath nie przerywała gry. Klawisze pod jej palcami były chłodne, ich ton pewny, miarowy.

Jakże Ada uwielbiała słuchać gry Delwara Hausslera! W owych tygodniach, zanim sama zaczęła grać w jego obecności, w ciągu tych paru tygodni po jego przyjeździe, kiedy tylko on grał, mogła siedzieć bez końca, napawając się muzyką. Obserwowała jego długie zręczne palce biegające po klawiaturze, czoło zmarszczone w skupieniu przy trudniejszych pasażach, surdut napinający się na plecach tak, że drżała, czy nie pęknie. O, tak! - poznała wówczas rozkosz słuchania.

Ujrzawszy go pierwszy raz, była zaskoczona, że ma przed sobą młodego człowieka. Spodziewała się kogoś podobnego do stroiciela McGregora, kogoś starego i chuderlawego, cuchnącego fajką czy tabaką. Delwar okazał się młody, nosił aksamitną czapkę i przepasywał się fioletową szarfą. Co więcej, śmiał się często i łatwo, rozprawiał błyskotliwie o książkach, sztuce i wielkich kompozytorach, którzy żyli w bajecznych miastach Europy. Był w Wiedniu na operze, o czym raz usłyszawszy, Ada kazała sobie opowiadać w nieskończoność. Wielka sala operowa, śpiewacy, orkiestra, dekoracje, brawa i bisy, nawet fotel, w jakim siedział -

delektowała się każdym szczegółem tego świata tak odległego od bezpiecznej przystani ojcowskiego domu.

Miała szesnaście lat, kiedy przyjechał Delwar Haussler, niedługo kończyła siedemnaście, ale mało spotykała się z osobami w swoim wieku. Trochę młodzieży, dzieci przyjaciół i znajomych ojca, widywała w kościele i przy nielicznych okazjach towarzyskich. Otrzymała wprawdzie zaproszenie na kilka wieczorków, ale nie poszła, woląc pozostawać sam na sam ze swoją niemotą. Źle się czuła w tłumie gości, ludzie często uważali, że muszą do niej krzyczeć, jakby była głucha, nie tylko niema.

Delwar Haussler natomiast zawarł wkrótce w mieście znajomości z innymi muzykami, w większości ludźmi młodymi. Po kilku miesiącach zaczął od czasu do czasu wychodzić wieczorami i szybko znalazł swoje towarzystwo. Wyston McGrath nie oponował przeciw nocnym wypadom preceptora córki. Raz na tydzień pytał ją, jak idą lekcje, i nie było wypadku, by go nie zadowolili jej odpowiedzi. Ilekroć nadarzała się okazja, lubił również porozmawiać z Delwarem o talencie Ady. Z początku Delwar uważał za wskazane przejawiać entuzjazm na wyrost, by nie urazić ojcowskiej dumy. Kiedy jednak Ada zaczęła mu regularnie grywać, a potem uczyć się czytania nut i wzbogacać swój repertuar, jego entuzjazm stał się szczery.

Miejscowi przyjaciele Delwara zazdrościli mu jego pozycji w wielkim domu, z jedną uczennicą. Delwar nie rozwiewał ich złudzeń, woląc nie wspominać, że majątek McGrathów zdaje się z każdym miesiącem podupadać. Nie miał pojęcia o stanie finansów swego pryncypała ani o jego planach na przyszłość. Zadawała się faktem, że należne mu pobory wpływają w porę do banku.

Ada przykładała się do nauki. Delwar Haussler zaczął ją niebawem wtajemniczać w arkana teorii muzyki, harmonii i

kontrapunktu, a że Wyston nie żałował im pieniędzy na sprowadzanie z Londynu i Edynburga nut i książek, horyzonty Ady stale się poszerzały, a wraz z nimi rosło jej umiłowanie muzyki.

Po roku Delwar zadomowił się na dobre zarówno we dworze, jak w kołach muzycznych Aberdeen. Mimo swego luterańskiego wychowania zaczął chodzić do kościoła wraz z McGrathami ze względu na muzykę i znajomych śpiewających w chórze. Zaczął się również udzielać na imprezach towarzystwa muzycznego jako dyrygent i wykonawca. Wraz z przyjaciółmi organizował recitale pianistyczne i koncerty kameralne. Niebawem członkowie miejscowej socjety zażyczyli sobie raz i drugi ich obecności na przyjęciach i rautach, i po jakimś czasie nie było większego domu, w którym by nie grał. Stopniowo, zyskał wespół z towarzyszami taką popularność, że mogli za swoje występy żądać niewielkich honorariów. Ilekroć nie kłóciło się to z dobrymi obyczajami, Ada McGrath uczęszczała na jego koncerty. Siedziała w jednym z ostatnich rzędów i wychodziła natychmiast po zakończeniu, wsparta na ramieniu ojca lub któregoś z jego przyjaciół. Dla poważnej młodej kobiety, na jaką wyrastała, te wypadki do jasno oświetlonych salonów były tyleż przyjemnością, co torturą.

Sukcesy Delwara cieszyły Adę. Nigdy nie dopuszczał, by jego uboczne zajęcia odbijały się niekorzystnie na ich lekcjach. Zawsze słuchał uważnie, gdy grała, nigdy nie pozwalał sobie na roztargnienie. Rozumiał, że swoje sukcesy w Aberdeen zawdzięcza w znacznej mierze protekcji McGrathów i był im wdzięczny. Adę zaś uważał za czarującą uczennicę.

Pewnego wieczora, za zezwoleniem ojca, Ada wybrała się z Delwarem na koncert smyczkowy, organizowany przez jego przyjaciół. Delwar opowiadał jej często o młodej skrzypaczce,

która miała tego dnia wystąpić, pannie Judycie McDougall. Delwar był pod wrażeniem jej gry, więc Ada chciała ją usłyszeć. Usiedli razem w jednym z pierwszych rzędów. W sali panował nastrój oczekiwania. Od jakiegoś czasu miasto emocjonowało się bardzo imprezami muzycznymi, przyszło wielu ludzi.

Po chwili ukazał się kwartet, trzech mężczyzn we frakach i sama panna McDougall, w czarnej sukni z dopasowanym gorssem, o dość śmiałym kroju dla zapewnienia rękom potrzebnej swobody ruchów, z blond włosami zaczesanymi do tyłu. Po sali przeszedł szmer podniecenia. Aberdeen nie nawykło jeszcze do kobiet dających publiczne koncerty i zebrani delektowali się polorem światowości, jakiej im to przydawało.

Kiedy muzycy zaczęli grać, Ada zauważyła, jak Delwar pochyła się do przodu i zaciska dłoń na kantach krzesła. Cała jego uwaga skupiła się na pannie Judycie McDougall. Po skończonym koncercie, który zebrani nagrodzili entuzjastycznym aplauzem, Delwar zerwał się i pośpieszył do wykonawców, zostawiając Adę samą. Sala zaczęła powoli pustoszeć, a ona wciąż siedziała na swoim miejscu. Widoczne było, że Delwar jest pod wrażeniem nie tylko gry panny McDougall, lecz także jej samej. Ada wstała i odeszła w głąb sali, gdzie ją pozdrowił pan Beadsley, adwokat ojca. Zapytał, czy może jej towarzyszyć do domu.

- Zostawmy muzykantów ich sprawom - powiedział żartobliwym tonem.

Ada, nie przyjmując jego wyciągniętego ramienia, ruszyła do wyjścia.

Miała teraz osiemnaście lat, lecz jakoś wciąż nie było mowy o znalezieniu jej męża. Ojciec traktował ją nadal jak dziecko. Sprawa zamążpójścia wpływała od czasu do czasu, kiedy mecenas Beadsley badał stan funduszy przeznaczonych

na jej posag, lecz nawet on odsuwał jakoś problem na bok. Ada była taka drobna, poważna i milcząca, mogła się rzeczywiście wydawać dzieckiem.

Któż się zresztą ożeni z niemową? Gdzie szukać jej męża? Lepiej o tym nie myśleć.

Sama Ada nie doświadczała w tym względzie żadnych niepokojów. Znała oczywiście swój wiek, miała świadomość swoich osiemnastu lat, a wychowując się bez matki czuła się czasami o całe lata starsza. Wcale sobie jednak nie życzyła, by jej szukano męża, nie widziała potrzeby zmiany. Będzie po prostu kontynuowała lekcje muzyki, jest szczęśliwa w domu ojcowskim z Delwarem. Cóż jej więcej trzeba?

Jednakże widok Delwara stojącego z panną Judytą McDougall, całego w uśmiechach, rozprawiającego żywo, niepomnego innym, obudził w niej emocje, których nie potrafiła jeszcze nazwać. Poczuli się w jakiś nieokreślony sposób zagrożona. Szła śpiesznie do domu, dwa kroki przed panem Beadsleyem, który od czasu do czasu wołał za nią, żeby zwolniła. Nie zważała jednak na to, a znalazłszy się w domu, pomaszerowała prosto do siebie, nie do pokoju muzycznego, gdzie czasami czekała na Delwara, żeby wypić z nim szklanekę ciepłego mleka czy czekolady i wysłuchać relacji o minionym wieczorze.

Przez całe następne przedpołudnie kryła się w swoim pokoju, wymyśliwszy sobie nie cierpiące zwłoki zajęcie, o którym przedtem nie było mowy. Kiedy nadeszła pora popołudniowej lekcji, zbiegła do pokoju muzycznego przed Delwarem i zaczęła głośną, bezładną improwizację z rodzaju tych, na jakie sobie pozwalała, zanim nauczyła się czytać nuty. Po paru minutach zjawił się Delwar.

- Co tak bębniysz? - zapytał głośno, żeby przekrzyczeć hałas.

Nie patrząc wyczuła uśmiech na jego ustach, więc zaczęła bębnić jeszcze głośniej, aż huczały wszystkie struny. Delwar podszedł i stanął koło fortepianu, ale uparcie unikała jego wzroku, koncentrując się na niepoohamowanej gonitwie palców po klawiszach. Coś znowu krzyknął, ale nie słyszała jego słów. Nie przestawała grać. Dopiero kiedy położył dłoń na klawiaturze, jakby chciał dorzucić do jej kakofonii własny akord, urwała raptownie i szybko zamknęła pokrywę, o mało nie przytrzaszkując mu palców. Wstała, zerknęła na niego i odwróciła się, żeby uciec z pokoju. Złapał ją jednak za przegub.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał łagodnie.

Nigdy nie widział jej w takim stanie. Kopnęła teraz stołek od fortepianu i chciała mu wyrwać rękę, ale Delwar jej nie puścił.

- Coś mi się zdaje - zaczął powoli, bo myśl zaświtała mu dopiero w głowie - że jesteś zazdrosna.

Ada zaczęła się rozpaczliwie wyrywać.

- Zdaję się, moja panno, że jesteś zazdrosna o pannę Judytę McDougall.

Łyknęła spazmatycznie powietrze i spojrzała na niego, cała w pąsach. Delwar Haussler pochylił się i pocałował ją w usta. Pocałunek był delikatny mimo gwałtowności sytuacji. Delwar zwolnił teraz uścisk i Ada opadła bezsilnie na ławeczkę przed fortepianem. Delwar usiadł obok niej. Nigdy nie siedzieli na ławeczce razem, z ledwością mieściła ich oboje. Zaczął cicho grać melodię, którą dobrze знаła. Kiedy Ada wyciągnęła dłonie, żeby się włączyć w wyższej tonacji, otarł się o nią ręką. Nie przesunęła się, żeby mu zrobić więcej miejsca.

Ada McGrath siedziała z Delwarem Hausslerem na jednej ławeczce i grała z nim razem.

- Adagio - powiedział cicho. - Powoli, powoli.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy Baines przyszedł się wykapać i wyprać rzeczy, zastał nad rzeką dwie Maoryski. Ich dzieci bawiły się w łódce, a na konarze wystającym nad wodą leżał wyciągnięty młody Maorys, Tahu. Przyglądając się, jak Baines pierze, rzucali od czasu do czasu uwagi, niekiedy wesołe, niekiedy nader poważne. Jedną z kobiet, czarnowłosa Hira z długim warkoczem i moko na dolnej wardze, przycupnęła na gałęzi zwisającej nad wodą, postanawiając udzielić Bainesowi nieco macierzyńskich rad.

- Potrzebujesz żony - oświadczyła. - Nie wyjdzie ci to na zdrowie, jak ci tak będzie zwisało smętnie między nogami do końca życia.

Baines skwitował to uśmiechem, dzieci zachichotały. Zawtórowała także druga z kobiet, ubrana w zgrzebną koszulę Waimara.

- Nic się nie martw, Peini - wtrącił krygując się Tahu. Użył maoryskiego przezwiska Bainesa. - Ja ci służę.

Spuścił uwodzicielsko nogę nad wodę. Na piersi nosił naszyjnik z muszli, biodra obwiązywał kolorową przepaską.

- Ja już mam żonę - odparł Baines.

Rozmowa toczyła się częściowo po angielsku, częściowo po maorysku.

- To świetnie - powiedział Tahu, bawiąc się kosmykiem. - Jej też służę.

- Siedź cicho! - skarciła go Hira. - Czy ty w ogóle masz jaja, Peini?

- Ty to chyba powinnaś wiedzieć - skomentował bezczelnie Tahu.

Baines roześmiał się. Hira pochyliła się w jego stronę.

- A gdzie jest ta twoja żona?

- Moja żona? - powtórzył Baines. - No, ona prowadzi własne życie. W Hull, w Anglii.

- Jest pewnie wyjątkowo szpetna? - spytała Hira. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła: - Inaczej byś od niej nie uciekł. Potrzebujesz nowej żony. Taki skarb - zrobiła gest w stronę jego przyrodzenia - nie powinien spać na twoim brzuchu przez całą noc.

Kobiety gruchnęły śmiechem. Baines z dyskretnym uśmiezkiem popatrzył na swoje pranie.

Tego popołudnia, ledwo Ada zaczęła grać, Baines, pchany niecierpliwością, zażądał:

- Zdejmij żakiet.

Ada McGrath podniosła na niego wzrok z taką furją, że się przeląkł, czy nie przeholował.

- Chcę zobaczyć twoje ramiona - wyjaśnił rzeczowo, jakby to było codzienne żądanie.

Ada kiwnęła z rezygnacją głową. Rozchyliła wargi, jakby chciała powiedzieć, że mogła się tego spodziewać. Baines siedział w ciemnym kącie izby, tak że nie widziała dobrze jego twarzy, z wymuszoną uległością - umowa jest w końcu umową - ściągnęła z szyi srebrne puzderko i ołówek. Wstała od fortepianu i zaczęła rozpinąć krótki żakiet. Zdjąwszy go, odwróciła się, żeby go powiesić. Pod spodem, na sztywnym gorsecie, miała miękki biały stanik o krótkich rękawach. Obnażona skóra jej szyi i ramion, niemal przezroczysta, czyniła ją dziwnie bezbronną. Kiedy się obróciła z powrotem do fortepianu, oczom Bainesa ukazały się jej plecy w staniku wyciętym na szczupłych białych łopatkach.

- Graj - zakomenderował George Baines.

Wstał i ściągnął koszulę. Miał pod nią szary podkoszulek o długich rękawach. Skóra Ady wydawała mu się blada, prawie przezroczysta. Na miękkiej wewnętrznej stronie jej rąk dostrzegł subtelną siatkę niebieskozielonych żyłek. W zestawieniu z tym wierzchy jej dłoni, jedyna część ciała

wystawiona na słońce, były prawie brązowe. Kontrast zafascynował Bainesa.

Ada zaczęła grać. Usłyszała, jak George Baines podchodzi, deski podłogi zaskrzypiały pod jego nogami. Poczła na szyi jego oddech. Pochylił się i dotknął jej, przeciągając kanciastymi, zrogowaciałymi palcami po wrażliwej wewnętrznej stronie jej ręki. Przestała grać, uniosła dłonie do obnażonej szyi.

- Dwa klawisze - szepnął jej w ucho, podnosząc cenę.

Ledwo Ada zdążyła zagrać parę kulejących nut, kiedy Baines ujął jej przegub - taki cienki, taki kruchy. Grała dalej, a jego dłoń sunęła po jej ciele, od nadgarstka do ciepłego zagłębienia pod ramieniem. Potem się odsunął i Ada usłyszała, jak ściaga podkoszulek, rzuca go na podłogę. Siedziała wpatrzona przed siebie, pragnąc nie słyszeć, nie widzieć, nie czuć, gdy podszedł i jął wodzić wolno, delikatnie palcami po jej szyi i ramionach, gołych, wystawionych na jego wzrok.

Ada zmuszała się, by nie przerwać gry, aż poczuła, że nie zniesie dłużej jego dotyku. Wzburzona intensywnością jego pieśczoły, przeszła nagle w drwiącą gige, szybką, niemal parodystyczną. Baines poczuł się nagle śmieszny. Nastrój prysł, ona go zniweczyła. Oderwał dłoń od jej ciała i z rękami na biodrach wycofał się w ciemny kąt.

Ada zagrała tryumfalnie dalej. Wywalczyła moratorium.

Flora stała cierpliwie na krześle, poddając się zabiegom ciotki Morag i Nessie, mocujących do jej stanika druciane anielskie skrzydła, w których miała wystąpić w przedstawieniu gwiazdkowym. Dwie kobiety próbowały się od niej nauczyć niektórych znaków języka migowego, którym się porozumiewała z matką. Demonstrując, Flora równocześnie wyjaśniała.

- Uważam bardzo na próbach, bo mieszkam za daleko, żeby często przychodzić.

- Nessie starała się naśladować szybkie ruchy rąk Flory.

- Który gest oznacza próbę? - zapytała ciotka Morag. Flora pokazała, a dwie kobiety starały się powtarzać układy jej dłoni. W chwili gdy dziewczynka podrapała się, natychmiast się pogubiły.

- Och! - Ciotka Morag dała za wygraną. - Nie wyobrażam sobie losu gorszego od niemoty.

- A głuchota? - spytała Nessie przybierając tragiczną minę.

- No, tak, to też jest... okropne. - Ciotkę Morag przeszedł dreszcz. - Straszne.

Obie kobiety powróciły do mocowania skrzydeł.

- Prawdę mówiąc - oznajmiła Flora - mamusia uważa, że większość ludzi wygaduje straszne głupstwa i szkoda czasu na ich słuchanie.

Morag i Nessie wymieniły spojrzenia.

- No - o - odrzekła sztywno Morag - to bardzo śmiała opinia.

- Ta - ak - potwierdziła Flora. - Bezczelna.

Kobiety milczały skonsternowane. Przeraziły je takie zuchwałe wypowiedzi w ustach dziecka, i to wygłaszane z taką wyższością.

Znalazłszy się w towarzystwie Bainesa przed obliczem wodza Nihe i jego ludzi, Alisdair Stewart stał sztywno, z napiętą twarzą. Chcąc kupić od Maorysów ziemię, musiał wziąć do pomocy w negocjacjach Bainesa. Baines podjął się roli pośrednika, chociaż nie pochwalał jego manii skupowania ziemi. Stewart wiedział, że nigdy nie nabędzie swobody Bainesa w obcowaniu z tymi ludźmi i nigdy nie nauczy się ich okropnego języka. Zresztą wcale się do tego nie kwapił,

choć irytowało go, że musi używać pośrednika i zdradzać swoje transakcje.

Wódz Maorysów miał twarz przyozdobioną symetrycznymi wzorami moko, rozchodzącymi się koncentrycznie od ust i oczu, ubrany był jednak na modłę europejską w tweedowy garnitur i melonik.

- Tędy płyną nasze rzeki, tutaj są pogrzebani nasi przodkowie - powiedział po maorysku Nihe z nieśpiesznym dostojeństwem wodza. Zatoczył ramieniem szerokie koło. - Powtórz mu to, Peini.

Wycelował palec w Stewarta. Stewart mamrotał cały czas do Bainesa.

- Co on mówi? Sprzedadzą?

- Żądasz - podjął stary wódz - żebyśmy ci sprzedali kości naszych przodków.

- Zaproponuj pedy za połowę tej ziemi. - szepnął Stewart.

Baines kiwnął głową.

- Nie sprzedamy za żadną cenę - odparł wódz, nim Baines miał czas przetłumaczyć.

- Cały tuzin.

Stewart, z nerwowym uśmiechem, obrócił się do Maorysa, pokazując liczbę na palcach.

- Te, kaumarua paraikete mo te tabi hawhe o te whe nua nei (Daje ci dwanaście pedy za połowę tej ziemi) - wyjaśnił Baines.

Do przodu wysunął się syn wodza Hons, i splunął przed Stewartem.

- Zaproponuj strzelby, Baines, zaproponuj strzelby - przynaglił Stewart z rosnącą nerwowością.

Kiedy Baines tłumaczył, Stewart podniósł pled okrywający strzelby i wziął jedną z nich. Opartą kolbą o ziemię, obrócił ją zachęcająco, z przymilnym uśmiechem na

twarży. Wódz Nihe wygłosił krótką, gwałtowną przemowę, której Baines nie przetłumaczył. Następnie on i jego ludzie wstali jak jeden mąż i odeszli pozostawiając dwóch pakeha samych.

Stewart i Baines, obładowani wzgardzonymi pledami i strzelbami, wracali skrajem terenu, który Stewart kupił za fortepian.

- Po co im ta ziemia? - utyskiwał na Maorysów Stewart. - Nie karczują jej, nie uprawiają, nic na niej nie robią. Skąd w ogóle wiedzą, że jest ich?

Baines zatrzymał się koło nowo postawionego słupka ogrodzeniowego. Stewart zamilkł obserwując go z lekkim zakłopotaniem. Baines podszedł do następnego słupka, dotknął świeżo ociosanego drewna. Myślał o ziemi, którą oddał za fortepian.

- Uważam, że trzeba oznaczyć mój teren - wyjaśnił niepewnie Stewart.

- Ta - ak - odparł Baines. - Jasne. Ruszyli dalej pod górę.

- Ada mówi, że robisz postępy w grze. Przyjdę cię posłuchać. Co grasz?

- Na razie nic.

- Nic? - powtórzył zdziwiony Stewart.

Nie rozumiał tego, wystraszył się, że Ada nie dotrzymuje umowy. Nie był pewien, czy może jej ufać. A przecież musi.

Resztę drogi przebyli pogrążeni każdy w swoich myślach.

Ada zdjęła krótki żakiet, żeby grać w staniku z krótkimi rękawkami, tak jak poprzednio. Zdawało się rzeczą oczywistą, że nie ma odwrotu od kroku, który został podjęty. Powiesiła żakiet na oparciu krzesła. Prawdę mówiąc, bez żakietu grało jej się lepiej, bo miała większą swobodę ruchów. Nigdy by się jednak nie przyznała do tego przed George'em Bainesem.

Baines nie odezwał się słowem na powitanie. Ada uważała, że mówi bardzo mało jak na człowieka nie

pozbawionego daru mowy, ale zdążyła już przywyknąć do jego milkliwości. Świadoma, że za każdą wizytą będzie zmuszona do nowych ustępstw, nie mogła się doczekać chwili, kiedy fortepian stanie się znów jej własnością. To było dla niej rzeczą najważniejszą, jedynie ważną.

Grała pochylona nad klawiaturą, niepomna świata, gdy Baines wstał i podszedł do krzesła, na którym wisiał jej żakiet. Zdjął go i głaszcząc wziął ze sobą na miejsce, które sobie dziś obrał dokładnie za jej plecami. Przysunął żakiet bliżej - materiał zachował jeszcze ciepło jej ciała. Z zamkniętymi oczami wtulił w niego twarz i powąchał. Potem go rozpostarł - rękawy zdawały się tak wąskie, tak krótkie. Ten materiał dotyka jej skóry. Przesunął palcem po szwach, pomacał guziki. Oczy miał wciąż zamknięte. Podniósł żakiet, chowając w nim ponownie twarz. Jak fortepian, materiał był przesiąknięty wonią Ady.

Ada grając wyczuła jego ruchy, obróciła lekko głowę. Widząc, co George Baines robi, urwała raptownie, zgorszona zmysłowością jego zachowania. Tulić żakiet do twarzy, jakby był żywą istotą! Co za cudaczne postępowanie u mężczyzny! Tego już za wiele! Z surową, karcącą miną, Ada obróciła się porywczo, wyciągając rękę po żakiet. Baines jej nie widział. Z zamkniętymi oczami, nieobecną twarzą, nie zauważył nawet, że muzyka ucichła. Ada podeszła, wyrwała mu żakiet. Podniósł wzrok, zaskoczony. Ada się zawahała, czekając, jak zareaguje.

Kiedy się odwróciła, wstał i ruszył za nią. Chwycił ją z nienacka za ramię, obrócił do siebie. Ujął jej stanik nad rękawkami, szarpnął. Materiał się rozdarł, obnażając jej blade ramiona i piersi. Baines wpił w desperackim pocałunku usta w jej szyję tuż pod brodą. Ada uczyniła gwałtowny wdech, tłumiąc krzyk, żeby nie zaalarmować Flory. Baines zaczął ją ciągnąć w kąt izby - stawało się przerażająco jasne, że ją

ciągnie do swego łóżka. Zapierała się, szarpała w przeciwną stronę. Usiadłszy na łóżku, Baines ją puścił. Podciągnęła stanik, odwróciła się w stronę niepewnej przystani fortepianu, chwyciła żakiet.

- Ado! - odezwał się Baines. Wypowiedział jej imię cichym i spokojnym głosem, ale pełnym powściągliwej desperacji. - Cztery klawisze.

Ada, nie puszczając stanika, uniosła dłoń z szeroko rozpostartymi palcami; wargami sformułowała niemo słowo: "Pięć".

- Czemu pięć? - spytał Baines. - Chcę tylko, żebyś ze mną poleżała.

Ada, z dudnieniem serca, zmierzyła go twardym spojrzeniem. Nie odstąpi od swoich warunków.

- Dobrze, niech będzie pięć - ustąpił George Baines podnosząc ręce gestem rezygnacji.

Położył się z uśmiechem na łóżku, poklepał miejsce koło siebie. Na szerokiej twarzy miał szczery, figlarny wyraz, jakby to była najzwyklejsza rzecz w świecie.

Ada McGrath mierzyła George Bainesa przez chwilę surowym wzrokiem. Nie mieściło się jej w głowie, że zawarta umowa doprowadzi ją do tego. Zrobiwszy głęboki wdech, podciągnęła ponownie stanik i położyła się na brzuchu obok Bainesa.

Baines trwał chwilę bez ruchu. Potem zsunął z powrotem rozdarty stanik i jął pieścić jej ramiona. Ada wstrzymała dech, zamknęła oczy. Otworzyła je, czując wargi muskające jej ciało. Baines całował jej plecy, przytulił lekko twarz do jej szyi, wszystko to delikatnie, tkliwie. Ada leżała bez ruchu, z pałającymi policzkami. Uświadomiwszy sobie raptem jej bezruch, George Baines zamarł również. Trwając tak, słyszeli śpiew ptaków i własny oddech. Niezwykle, oszłamiające doznania, jakie przenikały jej ciało, wprawiały Adę w

popłoch. Ogarnął ją lęk i wstyd, że może coś takiego odczuwać.

Baines odsunął się nieco, ciekaw, czy twarz Ady odzwierciedla jej uczucia. Skorzystała z tego, żeby się poderwać. Uwolniwszy rękę z jego uścisku, uciekła do fortepianu. Baines przyglądał się z łóżka, jak Ada przeciąga bezgłośnie palcami po klawiszach z kości słoniowej. Była w tym czułość, jakiej nigdy nie okazała jemu. Podbiegł i zatrzasnął gestem posiadacza pokrywę klawiatury, zmuszając Adę do cofnięcia ręki. Bliska łez z powodu nieoczekiwanej brutalnego zachowania i własnej dwuznacznej sytuacji, Ada naciągnęła żakiet.

Przez całą długą drogę powrotną do domu Stewarta, w głowie kłębiły jej się myśli. Co się z nią dzieje? Przez wszystkie te lata nigdy nie odczuwała pragnienia, żeby odzyskać dar mowy. Wszystko tak nagle się zmieniło, ogarnęło ją raptem pragnienie, żeby przeniknąć milczenie George'a Bainesa. Pochlebiała jej jego adoracja, ale rozumiała także jej niebezpieczeństwa. Jednakże posunąwszy się tak daleko, była zdecydowana prowadzić grę do końca. Musi za wszelką cenę odzyskać fortepian. Żadna poniesiona ofiara nie dotknie jej tak jak jego utrata.

Zajęta swoimi myślami, Ada nie słuchała Flory, która przez całą drogę opowiadała o widowisku gwiazdkowym, mającym się odbyć już za parę dni. Flora wiedziała, że Ada nie słucha, lecz mimo to paplała bez przerwy. Nie podobała jej się zmiana, która zaszła ostatnio w matce.

- Wiesz, mamusiu, w przyszłym roku mam być Dzieciątkiem Jezus i wszyscy będą mnie musieli słuchać - spróbowała raz jeszcze. Ada była nieobecna.

George Baines samotny w swojej chacie, trwał w stanie słodkiej udręki. Zdawało mu się, że w powietrzu unosi się wciąż zapach Ady. Oczyma wyobraźni widział ją wracającą

przez las, oddalając się z każdym krokiem. Czuł, że otwiera się przed nim czarna otchłań rozpacz. Dlaczego z nim nie pozostała, nie leży nadal ciepła w jego ramionach?

Kiedy w końcu nadszedł dzień spektaklu, Flora nie mogła opanować podniecenia. Ada czyniła ostatnie zabiegi przy jej kostiumie, który ciotka Morag wykończyła dopiero tego ranka. Podczas gdy Ada rozwiązywała paski materiału przytrzymujące loczki, z których Flora była taka dumna, dziewczynka śpiewała swoją ulubioną kolędę "Ostrokrzew i bluszcz". Dziwnie było obchodzić Boże Narodzenie przy tak ciepłej pogodzie, ale Flora szybko przestała się dziwić surowym kontrastom i niedogodnościom nowego życia. Zachwyciły ją anielskie skrzydła u jej ramion, nie mogła się doczekać debiutu scenicznego.

Był złoty zachód, kiedy Stewart, w najlepszej koszuli, surducie i spodniach, zaprzęgnął konia i wsadził rodzinę do bryczki. Przed budynkiem misji stało bajoro błota, przez które przybyłych przewożono w taczkach, dzieci zaś, już w kostiumach, podawano sobie z rąk do rąk jak wiadra z wodą przy pożarze. Wszystko to odbywało się przy biciu dzwonu.

Wewnątrz panował chaos. Aby pomieścić wszystkich wnoszono dodatkowe krzesła. Za kulisami zbierała dzieci nauczycielka szkółki niedzielnej. Przypominała im kolejność kolęd, poprawiała włosy, sprawdzała, czy wszystkie były na stronie. Niektóre z dzieci zerkały na gromadzącą się publiczność przez otwory wycięte w strategicznych miejscach kurtyny. Parę pomagających kobiet nakładało odrobinę różu na niewinne policzki aniołków. Dwa z nich oberwały klapsy za umaczanie palców białych rękawiczek w wiadrze ze sceniczną krwią, tak starannie przygotowaną przez wielebnego Campbella. Dookoła kręcili się członkowie kółka teatralnego biorący udział w widowisku pastora.

W sali misji zgromadziło się około czterdziestu osób, wśród nich wódz Nihe i tuzin jego współplemieńców, wszyscy w swoich najlepszych strojach europejskich. Biali wesoło gawędzili, natomiast Maorysi czekali na rozpoczęcie widowiska w uroczystym milczeniu, niepewni, czego się spodziewać. Ciotka Morag nadzorowała rozstawienie doniesionych krzeseł. Przy wejściu witało wchodzących kilku mężczyzn. Zjawił się George Baines, dziwnie odmieniony w cylindrze wydobytym z jakichś czeluści chaty. Uczestnictwo w takim zgromadzeniu było dla Bainesa całkowitą nowością, więc czuł się nad wyraz niezręcznie.

- Patrzcie, kto przyszedł - odezwał się jeden z mężczyzn. - Nasz "fortepianista", pan Baines.

- Co nam dzisiaj zagrasz, George? - spytał drugi.

- Może tirli, tirli?

- A może pirli, pirli, co, George?

Baines zamrugał, zdjął cylinder. Nie reagując na zaczepki, minął mężczyzn bez pozdrowienia. Wśród nieustających dowcipów jał się rozglądać za Adą. Przydreptała do niego ciotka Stewarta, z odświeżonymi czerwonymi wstążeczkami w wymyślnej koafiurze. Ujęła go pod ramię i poprowadziła w stronę fortepianu.

- Może miałby pan ochotę odwracać Nessie nuty?

- zapytała. - Będzie akompaniowała dzieciom.

- Ten strój to kostium - wyjaśniła Nessie spuszczać skromnie oczy.

Miała na sobie białą suknię z welonem ślubnym.

- Jestem zbudowana, że podjął pan naukę gry na fortepianie - pochwaliła Bainesa Morag, jakby to była jej zasługa. Zaczęła kartkować nuty. - Gdzie są te kolędy? W tym momencie Baines zobaczył wchodzącą Adę McGrath, wspartą na ramieniu Alisdaira Stewarta. Wyglądała oszalamiająco w czerwonych jedwabkach, jej naga szyja wydawała się

światlista. Nieziemska uroda Ady zaparła Bainesowi dech. Idąc między krzesłami ku swemu miejscu, Ada zatrzymała się nagle, poczuwszy na sobie palący wzrok Bainesa. Wstrząsem było dla niej ujście go w tym zgromadzeniu, zdjął ją bowiem gniew, że ważył się tu przyjść. W samotności ciemnej drewnianej chaty ich spotkania miały w sobie coś nierealnego, należały do innego świata. Jego pojawienie się tutaj zadawało temu kłam. Baines nabierał realności, realności nabierała jego dziwna obsesja. I boleśnie realne stawały się jej własne wstydlive kompromisy.

Baines się odwrócił, porzucając bez słowa ciotkę Morag i Nessie, które go odprowadziły szeroko otwartymi oczami, zdumione takim brakiem manier. Przepychał się do rzędu za Adą i Stewartem i usiadł na drugim krześle od niej, za rudymi bliźniaczkami we wspaniałych kostiumach jasełkowych. Ada zdawała się go zupełnie nie zauważać, tak jak on nie zauważył podkpiwających z niego mężczyzn.

- Przepraszam, George - rzucił jeden z nich. - Może byś tak zagrał "Miała Maria Panna maleńkie jagniątko"? Umpa, umpa.

- Albo polkę. Nie daj się prosić, zagraj coś - przyłączył się drugi.

Stewart odwrócił się do dowcipnisiów.

- Głupcy - mruknął pod nosem. - Chodź, George, przysiądź się do nas.

Baines wstał, żeby przejść i usiąść koło Ady, kiedy ta obróciła się nagle i zdecydowanym ruchem położyła dłoń na krześle obok siebie, przyszpilając równocześnie Bainesa zabójczym spojrzeniem. Tak osadzony, George Baines opadł na dawne miejsce. Dotknęło go do żywego takie bezpośrednie i jawne odepchnięcie.

- Panie i panowie, proszę zajmować miejsca - zaanonsował ze sceny pastor. - Zaraz zaczynamy.

Rozsunęła się kurtyna i na scenę wysypały się wystraszone dzieci, przebrane za chmurki i aniołki, trzymające w zaciśniętych piąstkach świece i różdżki z zawieszonymi gwiazdkami i księżycami. Na widok ich wdzięcznej niewinności po sali przeszedł jednomyślny szmer. Dzieci ustawiły się w grupkę i zaczęły z przejęciem śpiewać. Paraliżowane treścią, śpiewały jednak tak cicho, że ledwo je było słychać.

Kiedy na przód sceny wysunęła się Flora, Alisdair Stewart ujął dłoń Ady, a ona jej nie cofnęła. Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz Stewarta. Ada popatrzyła na ich splecione dłonie i również się uśmiechnęła. Zerknąwszy w tył, stwierdziła, że Baines zauważył ten przejaw czułości. Jego ból, którego się domyślała, liznął ją przelotnym płomykiem satysfakcji. Mąż ścisnął mocniej jej dłoń. Baines, ze wściekłym błyskiem w oku, tracąc nagle panowanie nad sobą, poderwał się i wyszedł. Ada, z uczuciem mściwego tryumfu, odprowadziła go wzrokiem.

W następnym punkcie programu, na scenę wyszedł pastor w trykotach arlekina, z wielką plisowaną kryzą u szyi, niosąc tacę pełną zapalonych świec, które dramatycznie oświetlały jego wyraziście ucharakteryzowaną twarz. Widowisko miało przedstawiać historię Sinobrodego, wciąż przerażającą, choć dobrze znaną europejskiej części publiczności.

- Tak oto młoda oblubienica natyka się na wszystkie zaginione żony Sinobrodego, których głowy ciągle broczą krwią, a oczy toczą łzy.

W trakcie opowiadania pastora ukazała się Nessie grająca pannę młodą. Przez otwory w prześcieradle służącym za kurtynę wystawały głowy wszystkich poprzednich żon Sinobrodego. Nessie sunęła po proscenium oświetlając świecami niesionymi na tacy każdą po kolei głowę. Za kulisami ciotka Morag posuwała się z chochlą, polewając

karki żon krwią, która ściekała po prześcieradle. Łypiąc przez otwór w kurtynie, syknęła:

- Wolniej, Nessie, wolniej.

- Lecz słyszycie! - zaintonował pastor. - Któż to nadchodzi?

Nessie zastygła w miejscu, uczyniła głęboki wdech i zdmuchnęła ostentacyjnie świece. Równocześnie dało się słyszeć wyolbrzymione skrzypienie drzwi i rozległy się ciężkie kroki, aż echo poszło po sali. Nessie trwała bez ruchu, wywracając wściekle oczami. Na białym płótnie kurtyny zarysował się wielki brodaty cień Sinobrodego.

- Wróciłem wcześniej, żono - huknęła nadnaturalnych rozmiarów postać.

Miała wielki brzuch, groźnie wywijiała rękami. Towarzyszyło temu złowróżbne skrzeczenie skrzypiec.

- Gdzieżeś, żono?

Nessie, ściskając ogromny klucz, weszła za kurtynę, zamieniając się sama w olbrzymi cień.

- Cóż za siurpryza, mężu - pisnęła.

- Zaiste siurpryza, żono - przytaknął Sinobrody wyjmując jej z ręki klucz. - A więc poznałaś moją tajemnicę!

Wyciągnęły się ku niej długie zakrzywione palce. Dzieci na widowni, siedzące z coraz szerzej otwartymi oczami, wciąż w swoich kostiumach, wydały chóralne westchnienie. Ada przygarnęła mocniej Flore.

- Nie, nie! - piszczała Nessie.

- Teraz ty, najmłodsza... najśłodsza... ze wszystkich moich żon... ty musisz się gotować... na śmierć!

Głos Sinobrodego wznosił się wraz z toporem zawieszonym w powietrzu nad głową Nessie, która się kuliała wyciągając błagalnie ręce. Na sali rozległ się szmer autentycznego przerażenia. Dwóch młodych wojowników z klanu Nihego, Hone i Mana, uniosło się na krzesłach.

- Aue! Ha aha ra tenei? (Hejże! Co to, mord?) - syknął Hone.

- Nie, nie, czekaj! - lamentowała na scenie Nessie. Teraz uniosła się cała grupa Maorysów.

- Nie myślę czekać! - obwieścił Sinobrody.

- Nie - e! - wrzasnęła Nessie.

- Obnaż kark! - warknął Sinobrody.

Widząc, jak czarny charakter ponownie wznosi topór, Maorysi poderwali się z miejsc. Wszystkie martwe żony Sinobrodego otworzyły oczy i zaczęły pisać.

- Pkokohua! (Tchórze!) - zawrzasnął Mana. - Posmakujesz mojej maczugi!

Z tymi słowy puścił się biegiem przez salę, a za nim inni wojownicy. Wymachując maczugą, wskoczył na scenę.

- Będziesz miał się z pyszna, jak ci to wsadzę w tyłek! Biali rozstąpili się przezornie pod ściany, a na scenie zrobił się teraz prawdziwy tumult. Sinobrody, osaczony przez wojowników, kwilił osłaniając się parasolem. Wódz Nihe, z częścią Maorysów i z córkami, pozostał na miejscu. Zastukał teraz laską o podłogę i huknął wielkim głosem:

- Hoki mai! (Dosyć! Wracajcie!)

Wódz Nihe i jego współplemieńcy, z zapalczywymi wojownikami włącznie, zostali po spektaklu zaproszeni za kulisy, gdzie im zademonstrowano akcesoria teatralne - wiadro z krwią, tekturowy topór, otwory w kurtynie. Następnie ciotka Morag przedstawiła im po kolei wszystkie martwe żony Sinobrodego.

To jest pani Williams, to pani Parsons, to pani Reid, a to... - uczyniła pauzę, przystępując do prezentacji niezamężnych ofiar - ... to panna Palmer i panna Kerr.

Maorysi kłaniali się i ściskali z atencją dłonie pań.

- Wszystko pięknie - podsumowała ciotka Morag, nie wiadomo co mając na myśli.

ROZDZIAŁ 8

Po przedwczesnym opuszczeniu misji George Baines spędził długie, męczące godziny na rozmyślaniu o Adzie McGrath. Teraz siedział w swojej izbie milczący, ponury. Adą grająca o trzynasty klawisz, skończyła pierwszą kompozycję i obróciła się do niego po instrukcje. Z głową opartą na pięści, wydał się jej wcieleniem rozpacz. Był zupełnie odmieniony, daleki, przybity. Kiedy podniósł wzrok, Ada skinęła głową i uczyniła gest oczekiwania.

- Rób, co chcesz - powiedział głosem skrajnego zmęczenia. - Graj, co ci się podoba.

Westchnął, czując, że nigdy nie przeniknie niemego świata tej niepokornej, zameżnej kobiety. Że nie powinien nawet próbować.

Adę zastanawiała dziwna zmiana, jaka w nim zaszła. Czy mógł to sprawić ów uścisk dłoni, na który pozwoliła Alisdairowi Stewartowi podczas przedstawienia? Byłoby zdumiewające, gdyby jej chwilowy kaprys wywarł taki efekt. Nieco niepewnie powróciła do gry. Grała kompozycję, którą rozwijała i szlifowała od paru tygodni, wznosząc się i opadając melodię, w której próbowała zawrzeć cały zamęt, całe zagubienie swego umysłu i serca. Pochylona nad klawiaturą, grała ją dzisiaj szybciej, w nerwowym tempie czterech czwartych. Po jakimś czasie zerknęła za siebie. Coś było nie w porządku. Jej palce błędziły jeszcze chwilę po klawiszach, nim się upewniła, że Baines znikł.

Zaskoczona wstała, pełna nagłego niepokoju, wystraszona, że Baines może zerwać umowę, teraz kiedy do odzyskania pozostała już niecała połowa klawiszów. Deski podłogi zaskrzypiały w nagłej ciszy, gdy zrobiła parę ostrożnych kroków, starając się zorientować, gdzie mógł się podziać, nasłuchując jego oddechu. Jedynym dźwiękiem był szelest jej spódnic, kiedy podchodziła na palcach do czerwonej

koronkowej zasłony, za którą stało łóżko. Zajrzała za nią. Nic. Przeszła więc przez szerokość izby do drugiej zasłony. Uchyliła ją z wahaniem i natychmiast puściła, zaszokowana tym, co zobaczyła.

George Baines odciągnął teraz zasłonę. Był nagi. Ada nigdy nie widziała rozebranego mężczyzny. Baines stał w wąskim paśmie wpadającego światła. Ciało miał szerokie, krępe, silne, mięśnie na grubym kośćcu wyraźnie zarysowane. Wpatrywał się w Adę bez zmruczenia oka.

- Chcę, żebyś się ze mną położyła nago - oznajmił. Ada nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Zakryła dłonią usta.

- Ile chcesz za to klawiszy? - zapytał głosem pewnym, przekonującym.

Ada wpatrywała się chwilę w podłogę, potem spojrzała prosto na Bainesa. Była w rozterce między chęcią odrzucenia jego bezczelnego żądania, a okazją do odzyskania kilku bezcennych klawiszy. Bez dłuższego zastanowienia podniosła dwukrotnie wszystkie palce jednej ręki.

- Dobrze - odparł zdecydowanie Baines. - Dziesięć klawiszy.

Ada podniosła obie dłonie, rozczapierzając wszystkie dziesięć palców, jakby dla ostatecznego potwierdzenia ceny, po czym zrobiła głęboki wdech, zdumiona własną zgodą.

George Baines odsunął zasłonę nad łóżkiem i usiadł. Z łokciem opartym na kolanie, patrzył jak Ada się rozbiera.

W lesie Flora, zatopiona w świecie wyobraźni, jechała konno na konarze drzewa. Uplótlszy z gałązek uzdę i lejce, kłusowała po damsku na swoim kucyku Gabrielu. Unoszona przez kuca, nuciła melodię, której się nauczyła do przedstawienia Mając swego Gabriela, Flora nie czuła się taka samotna.

Ada ściągnęła przez głowę spódnice, odsłaniając stanik i gorset, długie majtki i pończochy, a na tym wszystkim

nieporęczne rusztowanie krynoliny. Przystąpiła do zdejmowania obręczy i do rozpinania gorsetu.

Uderzona przeciągającym się milczeniem fortepianu, Flora zsunęła się z siodła i jęła wspinać po stromym zboczu ku chacie.

Wewnątrz, Ada zrzuciła już całą skorupę swego ubioru i została naga. Wygładziwszy pościel na łóżku George'a Bainesa, rozłożyła na niej halkę, wdrapała się i usiadła oparta o czerwoną poduszkę, z kolanami przezornie podciągniętymi pod brodę. Pozbawiona ochronnego pancerza sztywnych warstw odzieży, goła, zdawała się jeszcze mniejsza, jeszcze bardziej bezbronna. Baines nieskończenie delikatnie wyprostował jej nogi i przyciągnął jej ciało do swego.

Flora wspięła się po stopniach werandy, żeby zbadać przyczynę zagadkowej ciszy. Przerwawszy śpiew, zaczęła zaglądać do wnętrza przez liczne szpary i otwory w nieszczelnych ścianach. Pole widzenia miała ograniczone, ale dojrzała przebłyski nagich ciał, bladą skórę jaśniejącą w półmroku. Wyglądało na to, że pan Baines leżał na mamusi. Dociekliwa, z rozpaloną ciekawością, wyszukała inny otwór w ścianie. Słyszała cichy głos pana Bainesa, szepczącego mamusi sekrety, sekrety, do których - wiedziała to - nie zostanie nigdy dopuszczona.

Ada nie mogła się poruszyć, ale George Baines nie czynił nic, co by ją do tego popychało. Jego dotknięcia były delikatne i przyjemne, pocałunki tkliwe. Czuła się jak sparaliżowana, a mimo to rozluźniona. Ciało miał ciepłe, sprężyste, żywe, w niczym nie przypominające zimnej kości słoniowej klawiszy. Pozwoliła swojej ręce spoczywać bezwolnie tam, gdzie ją ułożył. Po jakimś czasie Baines zsunął się z niej. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, jakby każde z nich próbowało zgłębić, co czuje drugie. W końcu Ada wstała i zaczęła się ubierać.

Następnego dnia Flora bawiła się z trojgiem małych Maorysów, z którymi się zaprzyjaźniła w słonecznym sosnowym zagajniku. Obok w cieniu, paląc fajki, plotkowały trzy Maoryski; jedna trzymała na kolanach małe, hołubione prosiątko. Zabawa dzieci polegała na ocieraniu się o korę sosen, na ściskaniu i całowaniu pni. Kiedy któreś z dzieci wołało "następny!", wszystkie zamieniały się drzewami. Zabawa miała pewien erotyczny posmak, szczególnie, że przemieszczając się od drzewa do drzewa, niekiedy więcej niż jedno dziecko obejmowało i całowało ten sam pień.

Nie zauważony przez nikogo, wynurzył się z lasu Alisdair Stewart. Połapawszy się w charakterze zabawy, chwycił Florę i oderwał ją od drzewa, na którym właśnie wycisnęła entuzjastyczny pocałunek.

- Nie baw się tak nigdy - zganił ostro pasierbicę. - Nigdy, nigdzie.

W obliczu Maorysek, jawnie ironicznych wobec jego obaw, Stewart starał się powściągnąć gniew.

- Powinnaś się wstydić. Hańbisz drzewa. Cmokając i kręcąc głowami, kobiety przyglądały się jak Stewart wlecze dziewczynkę do domu. Flora poczerwieniała z upokorzenia. Niczym, cokolwiek robi, nie może zadowolić ani mamusi ani tego człowieka.

Parę godzin później Stewart przyprowadził Florę z powrotem do zagajnika i kazał jej wyszorować mydlinami każdą kłębioną część ze zhańbionych drzew. Z początku tylko trochę popłakiwała, powoli zaczął w niej jednak wzbierać bunt. Kiedy Stewart wrócił, oznajmiła rozpierana wiedzą, której wartości przetargowej się domyślała:

- A ja wiem, dlaczego pan Baines nie umie grać.

- Opuściłaś to drzewo - powiedział Stewart wskazując jeden z pni.

- Bo ona nigdy go nie dopuszcza do fortepianu. Gra cały czas sama, co jej się podoba. A chwilami w ogóle nie gra.

Stewart zmierzył ją równym wzrokiem. Flora miała cały mokry od mydlin fartuszek.

- Kiedy jest następna lekcja?

- Jutro - poinformowała dziewczynka.

Nazajutrz było bardzo wietrznie. W lesie panował ogłuszający szum, czubki drzew szamotały się w porywach wiatru, łamane mniejsze gałązki spadały na paprocie tańczące jak derwisze. Matka z córką przedzierały się w nawałnicy trzasków i łomów. Długie palto Ady trzepotało krnąbrnie, krótsze Flory, stawało dęba. Ptaki fruwały załamującymi się torami, raz unoszone wiatrem w górę, kiedy indziej spychane w dół.

Zbliżając się do chaty Bainesa, Ada i Flora ujrzały grupkę Maorysów wynoszących fortepian. Przystępowali właśnie z chóralnym przyśpiewem do znoszenia ciężkiego instrumentu ze stopni werandy. Jeden z Maorysów, w meloniku na głowie, zamiast pomagać, szedł obok odkrytej klawiatury, akompaniując bębnieniem śpiewowi, który stawał się z każdym dźwignięciem głośniejszy. Ada, spłoszona nieoczekiwanym obrotem sprawy, wpadła do chaty, z Florą depczącą jej po piętach.

Wewnątrz stała przy kuchni Hira, gotująca coś siedzącemu obok George'owi Bainesowi. Hira przerwała swoje czynności i oboje, ona i Baines, skierowali wzrok na Adę, która całkowicie wytracona z równowagi, czyniła serię naglących gestów, domagając się wyjaśnienia. Ruchy jej dłoni były znacznie gwałtowniejsze niż zazwyczaj. W takim poruszeniu widywała ją niekiedy tylko Flora.

Ada przerwała gestykulację i zaczęła krążyć po izbie, usiłując ochłonać. Przelewała się przez nią fala zadziwiających emocji, które nie pozwalały jej się uspokoić. Z

zaskoczeniem uświadomiła sobie, że to co sprawia jej największą przykrość to porażające poczucie odrzucenia. Eksmisja fortepianu z chaty George'a Bainesa to zarazem wyrzucenie i jej osoby, co wcale nie ucieszyło jej tak, jak oczekiwała. Z dworu dochodziło wciąż podśpiewywanie Maorysów dźwigających instrument.

- Postanowiłem zwrócić ci fortepian - oznajmił George Baines.

Wstał, zbliżył się do niej o krok. Na jego twarzy malowało się napięcie i ból. Ada przyjrzała mu się badawczo. Co to może znaczyć?

- Znudziło mi się.

Wydała zduszony dźwięk, w którym wyrażało się jej całe cierpienie i zagubienie. Oddychała szybko. Znudziło mu się co? Fortepian czy ona? Jej obecność, jej gra? A więc postanowił zerwać umowę. Zakręciło jej się w głowie od tego nieprzewidzianego załamania fortuny.

Baines podszedł i odciągnął ją na stronę, tak by nie słyszały jego słów Flora i Hira. Z bliska Ada zobaczyła wyraźnie, jaki jest blady i udreńczony.

- Ta umowa czyni z ciebie dziwkę, a ze mnie ruinę człowieka - szepnął. - Chciałem, żebyś mnie polubiła, ale ty nie możesz.

Ada stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Baines wrócił na miejsce przy kuchni, koło Hiry.

- Fortepian jest twój. Możesz iść.

Ada podniosła na niego wzrok. Serce ścisnęła jej gorycz i rozpacz.

- Idź już, idź! - syknął George Baines.

Ada McGrath poprawiła czepek, uniosła spódnicę i uciekła.

Maorysi niosący fortepian posuwali się nadspodziewanie szybko, rozmawiając przy tym z ożywieniem, opowiadając

rubaszne kawały dla zapomnienia o wysiłku. Flora i Ada, wysunawszy się przed nich, zaczęły nadzorować transport. Maorysi okryli fortepian pledami i mimo dość szybkiego marszu zdawali się bardzo uważni. Ada, popadając z jednej skrajności w drugą, doznała raptem przyływu szczęścia z odzyskania instrumentu. Jest z powrotem jej.

Alisdair Stewart dostrzegł z daleka zbliżającą się grupkę. Wybrał się żeby dokonać nie zapowiedzianej inspekcji nauki udzielanej George'owi Bainesowi przez Adę. Stał jak wryty na widok Maorysów dźwigających fortepian leśną ścieżką.

- Stójcie! - krzyknął. Niemal biegiem przemierzył ostatni kawałek nierównego terenu. - Fortepian nie jest wasz - ofuknął Adę i Florę, jakby były niesfornymi dziećmi. - Co to ma znaczyć?

Ada i Flora wymieniły spojrzenia. Ada nie wiedziała, co odpowiedzieć, wyręczyła ją Flora.

- Pan Baines nam go oddał.

Patrzyła szczerze zdumiona, że Stewart nie podziela ich radości. W przeciwieństwie do niej, Ada przybrała kamienny wyraz twarzy. Starając się nie zdradzić swoich uczuć, patrzyła na Stewarta martwym wzrokiem, z którego nie można było nic wyczytać. Stewart podskoczył do Maorysów.

- Postawcie to! - zakomenderował. Podbiegł do żony, zniżył głos. - Bardzo sprytnie to sobie umyśliłaś - powiedział mierząc w Adę oskarżycielsko palcem. - Ale ja cię przejrzałem. Nie mam zamiaru tracić ziemi.

Nie pojmował, dlaczego ta kobieta musi go tak dręczyć. Fortepian jawił mu się znów jako klątwa ciążyąca na ich małżeństwie.

- Czekaście tu! - zawołał i pogalopował ścieżką.

Na stopniach werandy Bainesa siedziała Hira broniąc dostępu.

- George nie chce nikogo widzieć - oznajmiła. - On chory.

Stewart, zdyszany, oparł się o drewnianą poręcz. Hira kiwnęła, żeby się zbliżył.

- Masz tupelka dla Hira? - zapytała.

Stewart wiedział, że prosi o tytoń.

- Nie - rzucił ostro i przepchnął się koło niej do okna. Wsunął rękę przez otwór bez szyby, odchylił firankę. - Baines! - zawołał.

Baines leżał na wznak na łóżku, z oczami zasłoniętymi ramieniem.

- Posłuchaj, Baines - powiedział Stewart. - Uważam, że nie powinieneś oddawać fortepianu. Ja sam teraz dopilnuję, żebyś miał lekcje jak się patrzy. Z czytaniem nut i ze wszystkim, rozumiesz?

Chciał za wszelką cenę naprawić szkodę spowodowaną nieodpowiedzialnym postępowaniem żony.

- Kiedy ja się nie chcę uczyć - odparł Baines. Uniósł się na łóżku. Nie wyglądał dobrze.

- Nie chcesz się uczyć? - powtórzył Stewart.

- Nie. Stewart zastanowił się chwilę.

- A co z naszą umową? Nie stać mnie na fortepian, jeśli liczysz, że ci za niego zapłacę.

- Nie chcę zapłaty. Po prostu go oddaję.

- Co - o? Ale ja nie wiem, czy go chcę - powiedział Stewart bez owijania w bawełnę.

- Oddaję go bardziej twojej żonie niż tobie - odparł Baines.

Wstał i poszedł do kuchni.

- A - a, rozumiem - wykrztusił Stewart. Zrobiło mu się głupio w obliczu wielkoduszności Bainesa. - No, na pewno będzie ci wdzięczna.

Nie mając nic więcej do powiedzenia, Alisdair Stewart ruszył w drogę powrotną do domu. Co do rewelacji Flory, to wziął ją najwidoczniej zbyt serio. Wielką ulgą było to, że

ziemia nabyta od Bainesa pozostaje jego własnością. Osiemdziesiąt akrów może nie majątek, ale bezcenna jest rzeczka, która przez nie przepływa. Potrzebował właśnie tego kawałka, żeby nawodnić niżej położone pastwiska. Cała transakcja zakończyła się wielkim sukcesem, skoro fortepian wraca do Ady bez żadnych kosztów ani zachodów z jego strony. Tak więc żona będzie miała swój fortepian, on zaś nie okazał żadnej słabości, nie ugiął się przed jej histerią.

Może teraz, mając fortepian, Ada stanie się dla niego bardziej czuła. Wspomnienie jak w czasie przedstawienia trzymał jej dłoń, wracało mu w różnych nieoczekiwanych sytuacjach - podczas odpoczynku po pracy, albo układania się do snu. Kochana, mała kobieca rączka, miękka i ciepła, drżąca w jego dłoni jak pisklę. Wszystko się w nim rwało, żeby wziąć żonę w ramiona, ale wydawało się to jeszcze marzeniem odległym o nieprzebyte mile, więc spychał je w niebyt. Wystarczy, że trzymał jej dłoń, to była chwila szczęścia, a teraz pragnął tylko, żeby się powtórzyła.

Fortepian dotarł na miejsce cało, jednakże Stewart, który niedawno wrócił z wyprawy po zapasy, nie miał w domu pieniędzy, żeby zapłacić Maorysom za transport. Rozporządzał jedynie słojem guzików, które w latach jego pierwszych transakcji handlowych przyjmowali oni jako walutę. Teraz propozycja Stewarta wprowadziła ich jednak we wściekłość.

- Wetknij sobie swoje guziki w tyłek, sukinsynu - krzyknął jeden z nich, czego oczywiście Stewart nie mógł zrozumieć. - Nie jesteśmy dziećmi.

Wszyscy zaczęli teraz krzyczeć jeden przez drugiego.

- Kiedy ja tylko to mam - tłumaczył się speszony Stewart.

Nim mógł przeszkodzić, jeden z młodych Maorysów, Tahu, złapał słoje z guzikami i uciekł trzymając go nad głową.

- Oddaj to - zawołał za nim bezradnie Stewart. Starsi Maorysi, mrużąc gniewnie, ruszyli statecznie za Tahu. Ada, nie zważając na harmider, który się przeniósł na dwór, otworzyła fortepian i zagrała parę akordów, sprawdzając, czy nie ucierpiał w czasie transportu. Wszedł Stewart, zamykając za sobą drzwi.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Może coś zagrasz?

Ada odsunęła się od fortepianu. Nie miała ochoty grać dla człowieka, który sprzedał jej instrument. Dała znak Florze, która usiadła przy klawiaturze, rada, że będzie się mogła popisać.

- Co mam zagrać? - spytała.

Stewart popatrzył na Adę, która z nieodgadnioną miną stała przy oknie.

- Może zagrasz jakąś gigę? - zaproponował. Flora spojrzała na matkę.

- Czy ja znam jakąś gigę?

Ada, pochłonięta własnymi myślami, nie zwracała uwagi na córkę.

- To zagraj piosenkę - rozstrzygnął Stewart.

Flora zaczęła śpiewać i grać melancholijną piosenkę szkocką. Po kilku pierwszych taktach Ada odwróciła się i wyszła na dwór. Musiała uciec od wszystkiego, co jej przypominał fortepian - Bainesa, jego nieoczekiwane odtrącenie, to całe chybione małżeństwo... Czowała się zagubiona, a fortepian stanowił jakby klucz do jej rozterki.

Stewart, stukając do taktu w wieko instrumentu, odprowadził Adę wzrokiem. Kiedy wyszła, przysunął się do okna i przyglądał, jak spaceruje między widmowymi kikutami wypalonych drzew. Flora przestała grać. Doprowadzony do rozpacz przez tę zimną zagadkową kobietę, Stewart wybuchnął:

- Czemu ona nie chce grać? Ma z powrotem swój fortepian i ucieka!

Flora nie odpowiedziała, pytanie wydawało się skierowane nie do niej. Zresztą sama była zaskoczona i urażona niezrozumiałym zachowaniem matki.

- No, czemu nie grasz? - spytał Stewart i klepnął ponuro wieko fortepianu.

Flora powróciła do swojej smętnej melodii.

Ada krążyła z mroczną, zaaferowaną twarzą. Zatrzymała się, obejrzała na dom. Z okna przyglądał jej się Alisdair Stewart. Bez zastanowienia odwróciła wzrok. Nieodparta siła ciągnęła ją w stronę chaty George'a Bainesa. Skierowała spojrzenie w głąb lasu, tak jakby w jego cieniach kryła się przyczyna niepokoju jej serca. Obróciła się z powrotem ku wypalonym drzewom mężowskiego obejścia i jęła krążyć dalej.

Wiedziała, że jej myśl wyrywa się w niewłaściwym kierunku. George Baines nie jest jej mężem; nie jest już nawet jej uczniem. Nie ma teraz pretekstu do odwiedzania go. Chociaż starała się odpychać podobne myśli, łapała się ostatnio często na porównywaniu obu mężczyzn. Chwilami czuła się bardziej służącą Alisdaira Stewarta niż jego żoną. Wciąż utrzymywał się między nimi sztywny, formalny dystans. Czy teraz, kiedy odzyskała fortepian, a sekretna transakcja z George'em Bainesem została zerwana, będzie w stanie wybaczyć Stewartowi? Zawróciła i ruszyła z powrotem, starając się trzymać z dala od ścieżki prowadzącej do chaty Bainesa. Miotaly ją niepewność i niepokój, nie wiedziała, jak się od nich uwolnić. Z założonymi smętnie rękami, spacerowała tam i z powrotem po cmentarnym terenie przed domem męża.

Od stołu kuchennego, przy którym jadła śniadanie, Ada spoglądała na fortepian. Kładło się na nim pasmo porannego

słońca wydobywając całą urodę politurowanego drzewa różanego. Ada podeszła do instrumentu, przetrzała go sukniem, po czym ruchem codziennej intymnej, pieszczoty przesunęła wierzchem dłoni po klawiszach. Fortepian był skarbonką jej uczuć, musiała go dotknąć, żeby się w nich rozeznąć. Uniosła palcem jeden z klawiszy. Na jego boku widniał pamiątkowy napis, inicjał A i D rozdzielony sercem przebitym strzałą. Dawno, dawno temu sama ten napis wyryła. Pozwoliła klawiszowi opaść i zaczęła grać.

Z zamkniętymi oczami wędrowała palcami po klawiaturze, wyzwalając melodię. Płynąca z głębi serca muzyka wypełniła dom Alisdaira Stewarta. Raptem Ada urwała, obejrzała się przez ramię. W półmroku nikt nie siedział, nikt nie słuchał jej gry. Spróbowała zacząć od nowa, dźwiękami wypełnić pustkę duszy. Przebiegła dłonią po klawiszach - i nie mogła grać dalej. Zastygła z jedną ręką na klawiaturze, drugą na pokrywie fortepianu, rozdarła, niezdolna ani grać, ani wstać. Ada McGrath znalazła się w punkcie zwrotnym swego życia. Przed nią był mroczny zakręt, który musiała pokonać.

Minał jakiś czas, nie wiedziała jak długi, kiedy do pokoju wpadła Flora, wołając, żeby Ada wyszła popatrzeć na kurczęta. Nagle w Adę wstąpiło życie, porwała palto i czepek. Musi iść do George'a Bainesa. Wybiegła z domu, przykazując Florze, żeby za nią nie szła. Puściła się biegiem wąską ścieżką, w wietrze ciągle targającym drzewami. Flora, bojąc się zostać sama, biegła z tyłu. Uczepiwszy się piąstkami spódnicy matki, wstrzymywała ją z całych sił, wołając "czekaj, czekaj", jakby wiedziała, dokąd i po co jej matka się udaje. Ada obróciła się do niej, wyrywając spódnicę. Ruchami rąk nakazała:

- Wracaj natychmiast, nie waż się za mną iść.

Nad ich głowami śpiewały w drzewach ptaki. Zdawało się, że nic, co się dzieje na ziemi, nie jest w stanie powstrzymać ich muzykowania.

- Dlaczego? Dlaczego nie mogę z tobą iść? - lamentowała Flora.

- Wracaj i zabieraj się do lekcji - zasygnalizowała Ada.

Stewart szedł lasem razem z najętym do pracy na ten dzień Tahu. Słyszając krzyki dziewczynki, skierował się w tę stronę i zobaczył, jak Ada odsyła Florę, wrzeszczącą co sił:

- Do niczego się nie zabiorę. Nie będę się uczyć. Stewart widział to dokładnie. Widział jak Ada ruszyła

dalej, nie zważając na protesty córki. Flora puściła się w przeciwnym kierunku, wymachując wściekle rękami i mamrocząc:

- Niech ją diabli! Niech ją cholera weźmie! Żeby się zaryła nosem w błoto! Żeby ją rozerwały wściekle psy! Cholera cholera...

Tuż przed nią wynurzył się z zarośli Stewart, aż mała drgnęła przerażona. Popatrzyła na niego oczami okrągłymi ze strachu.

- Gdzie mamusia? - spytał Stewart. - Dokąd poszła?

Ze złością wykrzywiającą jej słodką zazwyczaj twarzyczkę, Flora rzuciła: "Do diabła!" - i popędziła przez las w kierunku domu, pewna, że nie ujdzie jej na sucho taka bezczelność.

Stewart jednak popędził w stronę, w której znikła Ada. Od czasu do czasu migwały mu w oddali powiewające spódnice. Wiatr szarpał wierzchołkami drzew, aż pnie stękały a konary ocierały się o siebie. Stewart biegł za żoną, nie słysząc w wielkim szumie niczego.

Ada, dysząc ciężko, wpadła bez pukania do chaty Bainesa. George leżał w odrętwieniu na łóżku.

Poderwał się na jej widok. Ada zatrzymała się w progu, niezdolna postąpić kroku dalej. Zbliżył się, mrugając zaspanymi oczami, nieufny, jakby nieco wrogi.

- A co ciebie tu sprowadza? - spytał chłodno. Ada nie poruszyła się, twarz jej pozostała bez zmian.

- Czyżbyś czegoś zapomniała? - zaczął wtykać koszulę w spodnie. - Nic nie znalazłem.

Ada stała wciąż bez ruchu. W wyrazie twarzy miała nie znaną mu miękkość i bezbronność, która Bainesa zastanowiła.

- Stewart się czegoś dowiedział?

Kręcąc głową, Ada podeszła do miejsca, gdzie stał do niedawna fortepian. Rozejrzała się, jakby szukając jego śladów. Atmosfera w izbie była ciężka, z dworu wdzierał się wilgotny zapach drzew i mchów.

- Fortepian dotarł cały? Nic mu się nie stało? Ada skinęła głową. Żadne z nich nie wiedziało, co dalej.

- Może usiądziesz? - zapytał Baines. - Ja w każdym razie usiądę.

Usiadł, pociągnął łyk ze szklanki stojącej na niskim stoliku przed nim.

Ada nie usiadła. Stała jak skamieniała. Wyczuwała w Bainesie jakąś wielką powagę, od której ścisnęło jej się serce. Wpatrywał się w nią, szukając słów, oszołomiony jej niespodziewanym przyjściem, a jeszcze bardziej jej zaskakującą odmianą.

- Ado! - odezwał się takim tonem, jakby ją strofował. - Jestem nieszczęśliwy. - Zrobił pauzę. - Nieszczęśliwy, bo cię pragnę. Zawładnęłaś moją duszą, nie mogę myśleć o niczym innym. Dlatego cierpię. - Rozpostarł ramiona, twarz wykrzywił mu bezradny grymas. - Jestem chory z tęsknoty, nie jem, nie śpię.

Popatrzył na nią tak, że Ada nie miała wątpliwości co do głębi jego cierpienia.

- Więc jeśli przyszedł nie czując nic do mnie, to odejź.

Powiedzenie tego wymagało od niego bezmiernego wysiłku. Wydało mu się, że nie dostrzega na twarzy Ady żadnego odzewu, i jego własna twarz przybrała nieustępliwy wyraz.

- Idź - powtórzył wskazując głową drzwi. - Idź. Wstał i podszedł otworzyć je sam.

Lecz Ada nie poruszyła się. Wyznanie Bainesa odebrało jej dech, obezwładniło ciało. Nigdy nie słyszała takich słów. Wstrząsał nią dreszcz, w piersiach czuła ogień, musiała oddychać bardzo wolno, żeby nie strawiły jej płomienie. Czemu on nie dostrzega, tego co się z nią dzieje? Dlaczego każe jej odejść? Nienawidziła go za jego ślepotę. Za to, co z nią uczynił, za tę władzę, jaką nad nią umacniał dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Za nowe doznania, nowe pragnienia, jakie wyzwolił w jej ciele, tak że przestało być jej własnością, że ją aż tu przywiodło wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Wbrew jej dumie, jej woli, wbrew jej własnej córce.

Baines jednak nie dostrzegł, co się z nią dzieje. Był pewien, że Ada igra jego uczuciami, sama nic nie czując. Wprawilo go to w gniew.

- Idź sobie, zostaw mnie! - powiedział głosem chrapliwym z przejęcia. - Wynoś się! - krzyknął.

Dotknięta do żywego, Ada zbliżyła się do niego z furją w oczach i uderzyła go z rozmachem w twarz. Baines, wstrząśnięty, patrzył na nią osłupiały. Ada okładała go teraz pięściami, po twarzy, po ramionach. Baines podniósł ręce, żeby osłonić się przed jej ciosami, i twarz raptem mu się rozjaśniła, jakby usłyszał głos miłości. Ada stała, oszołomiona własnym wybuchem. Patrzyli na siebie, świadomi swojej bliskości, byli sobie wreszcie równi. Trwali wpatrzeni w siebie i, sekunda po sekundzie, oddech po oddechu, obietnica intymnego zbliżenia stawała się coraz bardziej nieunikniona,

coraz oczywistsza, aż w końcu, niczym somnabulicy, którzy nie wiedzą, jak się znaleźli tam, gdzie są, ocknęli się spleceni ramionami.

Ada drżała, po policzkach spływały jej łzy. George złożył delikatny pocałunek na jej szyi, a gdy podniósł głowę, ich wargi się spotkały. Całowali się, dotykali ustami, ocierali policzkami, nosami, włosami. W ich czułościach nie było nic wyuczonego, kierował nimi instynkt. Na twarzy George'a malowało się graniczące z bólem uniesienie, Ada ścisnęła go jakby w obawie, że się rozplynie w jej ramionach. Jak na komendę zaczęli ściągać z siebie ubranie, pchani niecierpliwością, by przywrzeć do siebie całym ciałem, niepomni świata.

Alisdair Stewart podejrzliwie lustrował z odległości chatę George'a Bainesa. Nie bacząc na szczekanie Flynna, podszedł bliżej, obok schodków rzucił swój roboczy worek. Z wnętrza prymitywnej budowli doszło go głębokie westchnienie. Instynkt podszeptał mu, żeby nie pukać. Zaczaił się z boku chaty, zdjął kapelusz. Z drzeniem zajrzał przez szparę między deskami. W środku ujrzał... George'a Bainesa ze swoją żoną, Adą McGrath.

George i Ada szarpali wstążki i koronki jej sukien; pryskały guziki, puszczały haftki, odskakiwały fiszbiny. Złączyli się znów w pocałunku, który wyzwolił w nich nową falę pożądania; byli we władaniu szaleństwa, jakiego żadne z nich dotąd nie zaznało. Ściągnąwszy z Ady zakiet, George osunął się na kolana, podniósł jej halkę i krynolinę, zatopił twarz w jej zapachu. Ada z zamkniętymi oczami, dyszała i pojękiwała cicho. George zaczął jej powoli ściągać pończochy, poczuła na skórze ciepło jego dłoni. Ich gorączka wzmagała się z każdym dotknięciem.

Stewartowi brakowało tchu, myśl mu się mąciła. Zatoczył się jak pijany od szpary w ścianie. W uszach miał wciąż

przyśpieszony oddech mężczyzny i kobiety w izbie. Zdumiony, kipiący gniewem, zamiast wpaść do środka i rozdzielić ich, pochylił się, żeby spojrzeć jeszcze raz. To fatalne drugie spojrzenie go zgubiło, spojrzenie ciekawości. Zastygł przykuty do szpary, osłupiały, samotny.

Ada ściągnęła spódnicę przez głowę. W miarę jak zdejmowała kolejne części garderoby, jej skórę w zetknięciu z chłodną pieśczołą powietrza przechodził jak gdyby prąd. Zatopiła palce we włosach klęczącego przed nią George'a. Na jej ustach wykwitł uśmiech, w chwili gdy poczuła na udach jego szorstką twarz, jego wargi i język szukający jej słodczy. Przyciągnęła go ciaśniej. Ogrom niezwykłych, nieznanych dotąd doznań, zdawał się ponad jej siły. Z promienną twarzą poddawała się rozkoszy tak dojmującej, że nogi się pod nią ugiwały.

Stewart wpijał się w ścianę chaty, był teraz więźniem własnej ciekawości. Nie zauważył, kiedy kundel Flynn zaczął mu lizać rękę. Widział, jak Baines ściąga Adzie majtki, widział jej gołe nogi. Cofnął raptem rękę, popatrzył nieprzytomnie na psa; dłoń miał całą w ślinie. Otarł ją o deski i przypadł znowu do szpary, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, niezdolny do czegokolwiek.

W małej izbie, matowa biel skóry Ady i George'a odbijała od ciemnych surowych desek podłogi i ścian. Tuląc w ramionach jej drobne ciało, George zaniósł ją i położył na łóżku. W chacie panował półmrok, ich drogę znaczyło światło sącące się przez szpary. Oddychali wspólnym rytmem, oboje w niewoli tego samego odurzenia. Ada miała wrażenie, jakby śniła, przepelniona błogością, nieprzytomną ekstazą, jaką przynosił jej każdy dotyk. Długie czarne pasma rozpuszczonych włosów lepiły jej się do policzków, oplatały wokół szyi. Twarz miała zaróżowioną, oczy jej błyszczały, gdy George sunął ustami po jej piersiach, wolno, delikatnie,

sycąc się miodowym smakiem jej ciała. Głaskała jego szerokie ramiona, tuliła go z całych sił. Trwali tak pijani szczęściem, kołysząc się jak na falach. W trakcie pocałunku tchnienie Ady przeszło w lekki szmer, cichy pomruk, który poruszył George'a tak, że aż zakreśliło mu się w głowie.

- Co? Co chcesz powiedzieć?. - spytał. - Szepnij...

Alisdair Stewart nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu, zafascynowany świetlistym pięknem ciała żony i aktem miłosnego spełnienia, jakiego nigdy nie zaznał, ani nie był świadkiem.

Ciężar George'a, spoczywającego teraz na Adzie, był dla niej samą słodyczą. Poruszali się jednym rytmem, owładnięci wspólnym duchem nieprzytomnej miłości i radości. W półmroku ciało George'a było tyleż zwaliste, co Ady drobne, tyleż kanciaste i żyłaste, co jej krągłe i gładkie, tak że George bał się ją zgnieść, lecz ona tuliła go silnym wyzbytym wstydu uściskiem, pełnym napiętności i pożądania. Tak ciasno spojeni, ciało przy ciele, skóra przy skórze, zmierzali do spełnienia. Kochali się raz po raz, początkowo bez opamiętania, śpiesznie przelewając w siebie nawzajem miłość. Istniał tylko jego członek i jej srom, przechodzili od najgwałtowniejszych pchnięć do chwil błęgiego wytchnienia, aż się zmęczeni i ich kochanie stało się powolne jak nieskończenie długi pocałunek. Baines śmiał się i płakał, serce miał przepełnione miłością i uwielbieniem dla tej kruchej istoty, która go spychała na dno rozpaczony by za chwilę wynieść na szczyty upojenia.

George siedział na łóżku, patrząc, jak Ada się ubiera. Nie mógł się opędzić melancholijnym myślom, nieszczęśliwy w poczuciu stygnącej tkliwości, zrozpaczony, że ich sielanka nie może trwać wiecznie.

- Oszaleję jeśli odejdziesz - powiedział. - Czy tak być musi?

Ada podeszła bliżej, żeby jej pomógł zapiąć guziki na rękawach; drobny intymny gest, od którego serce ścisnęło się George'owi jeszcze bardziej.

- Ado, muszę wiedzieć, co dalej? Przyjdiesz znowu?

Ada naciągnęła żakiet, zaczęła zbierać poobrywane guziki. Była przejęta nieuchronnością powrotu do rzeczywistości, przerażona ogromem czasu, który upłynął, pochłonięta koniecznością ubrania się i spotkania z Florą. Nie chciała słyszeć pytań George'a, nie miała na nie odpowiedzi. Schyliła się po ostatni guzik, ale wysunął jej się z ręki i wpadł w szparę między nieszczęelnymi deskami podłogi.

Guzik wpadł przez szparę pod dom Bainesa, w to samo ciemne, pachnące stęchlizną miejsce, gdzie przed swoją dręczycielką, Florą, chował się pies Flynn, a teraz wpełzł Stewart. Guzik spadł Stewartowi na szyję, tuż koło brody, i stoczył się za kołnierzyk jego koszuli. Z trudem zdusił jęk, żeby nie zdradzić swojej obecności.

- Poczekaj - powiedział George. - Nie wiem, co myślisz.

Ada w pośpiechu poprawiała włosy, upinała spirale warkoczyków, starając się powrócić na twardy grunt rzeczywistości.

- Czy to coś dla ciebie znaczy? - spytał George. - Ja już za tobą tęsknię, Ado. - Objął ją w pól. - Czy ty mnie kochasz?

Ada zastygła, rozważając jego pytanie. Popatrzyła w lustro, na swoją twarz, która zdawała się nie zmieniona, chociaż Ada na w pól się spodziewała, że to przeżycie ją odmieni. Nie знаła odpowiedzi na pytanie George'a. Co ona właściwie czuje oprócz niejednoznacznej satysfakcji, mrocznego sekretu rozbudzenia? Obróciła się powoli do George'a, uniosła jego koszulę i ją okrywać mu pocałunkami pierś, jakby zamiast odpowiedzi chciała go w siebie wchłonać. George nie wiedział, co myśleć. Czyż nie jest to swego rodzaju odpowiedź? A jednak pieszczota kochanki

pozostawiała go zimnym. Odsunął Adę, żeby jej zajrzeć w twarz.

- Przyjdź jutro - powiedział nieszczęśliwym tonem. - Jeśli odpowiedź brzmi tak, to przyjdź jutro.

Ada ponownie przywarła ustami do jego piersi, jakby nie mogła nasycić się smakiem jego ciała, jakby jej wargi nigdy nie dotykały niczyjej skóry.

ROZDZIAŁ 9

Pewna, że jej tajemnica jest bezpieczna, Ada poczuła się wieczorem szczęśliwa i wyzwolona. Gotując się do snu, pozwoliła Florze wyszczotkować sobie włosy. Zamiast jednak siedzieć cierpliwie jak zazwyczaj, zerwała się i jęła tańczyć, wirować, śmiejąc się i chichocząc bezgłośnie, upojona własną tajemnicą. Flora, stojąc na łóżku, roześmiana w głos, piszczała:

- Mamo, mamó, usiądź spokojnie.

W drugim pokoju Stewart słuchał ich chichotów i pisków z zaciśniętymi zębami i sztywno wyprostowanym karkiem. Z mokrymi włosami, starannie zaczesanymi po kąpieli, siedział nad zielnikiem okazów botanicznych, które zbierał od lat. Pograżony w ponurych myślach, wpatrywał się w zeszyt, nic nie widząc. W końcu wstał i podszedł do drzwi sypialni, w której Flora i Ada baraszkowały na łóżku - dwie małe postacie, niemal nie do odróżnienia, z rozpuszczonymi czarnymi włosami i w białych koszulach nocnych. Stewart z ledwością powściągał furję, która go rozsadzała. Co może po tym, co widział, powiedzieć żonie? Milczenie Ady zdawało się zamykać i jemu usta. Pozostawił matkę i córkę ich zabawie, sam zaś wyszedł na dwór i zaczął w ciemności rąbać drzewo. Nie ustał, dopóki w ich pokoju nie zgasło światło.

Następnego dnia, kiedy Stewart wyszedł do niekończącej się pracy grodzenia swoich terenów, Ada wymknęła się z domu, pozostawiając Florę bawiącą się gdzieś opodal. Z sercem wezbranym miłością, popędziła ścieżką prowadzącą do chaty George'a. Niebo było ciemne, wiatr targał wściekle wierzchołkami drzew. Las wydał się Adzie raptem wrogi, nieprzebyty.

Łapiąc dech, obejrzała się, czy ktoś za nią nie idzie - myślała oczywiście o Florze - gdy tuż przed nią wyrósł na ścieżce Alisdair Stewart. Na twarzy miał wyraz, jakiego

jeszcze u niego nie widziała. Jego oczy nie patrzyły na nią, lecz biegały wkoło, bardziej zwierzęce niż ludzkie, zranione, nie rozumiejące, rozjuszone. Najwyraźniej wiedział, dokąd ona zmierza, a z jego twarzy Ada wyczytała, że jakimś cudem odgadł, co się wczoraj wydarzyło.

Spuściwszy wzrok, Ada minęła go równym krokiem i poszła dalej, jakby jej nigdy nie zagroził drogi. Kroczyła z wyprostowanymi plecami i zaciętą twarzą, lecz Stewart podbiegł, złapał ją za rękę, obrócił i, uwieczoną w ramionach, jął gwałtownie całować. Ada broniła się, odpychała go, aż w końcu, gdy jego uścisk na chwilę zelżał, schyliła się i wyslizgnęła. Zaczęła biec, ale nie mogła przed nim uciec, nie miała dokąd się schronić. Kiedy dopadł ją po chwili, uczepiła się kurczowo pnia, lecz Stewart zaczął ją bezlitośnie tarmosić, aż w końcu nie mogła się dłużej opierać. Pchnął ją w listowie i błoto, i przypadł do niej, z czerwoną, drapiącą twarzą tuż koło jej twarzy, z której uciekła cała krew. Ich oczy się spotkały i w krótkiej chwili wahania Ada zdołała go znów odepchnąć. Chciała usiąść, ale zadarł jej spódnicę, wepchnął rękę między nogi i zaczął na niej szarpać bieliznę. Ada rzucała się to w jedną, to w drugą stronę, podrywała się i opadała postępując z wysiłku, odtrącała i kopała męża, obciągała halki, odpychała jego rękę od miejsca, gdzie jej dotykał. Udało jej się przewrócić na brzuch i próbowała się wczołgać w gąszcz, ale Stewart złapał ją za spódnicę i jął ciągnąć z powrotem, chwyt za chwyt jak marynarz wybierający linę. Grube pędy przed jej twarzą zdawały się po nią sięgać jak macki, oplatać jak węże, w zmowie z mężczyzną, który ją sprowadził do tego kraju.

Aż znowu opadł na nią, jego krzepkie dłonie zacisnęły się na jej kibici.

- Mamusiu, mamusiu! - doszło z oddali wołanie Flory, która nadbiegała ścieżką, cała zapłakana, z przekrzywionymi

anielskimi skrzydłami u ramion. - Oni bębnią na twoim fortepianie.

Na dźwięk jej głosu Stewart zwolnił uścisk, pozwalając się Adzie poderwać. Otrzepując suknię, posłała mu spojrzenie tak pełne wyrzutu, że na chwilę zwiesił głowę, jakby to on był grzesznikiem. Ada przybrała pozory spokoju i ruszyła na spotkanie córki.

Okazało się, że do domu Stewarta przyszła grupa Maorysów i córka wodza Nihe próbuje grać na fortepianie. Ada, przytrzymując czepek i ubłoconą spódnicę, popędziła do domu, a Flora za nią. Głośne, bezładne bębnienie słychać było z daleka, ale nim dotarły na miejsce, Maorysi wyszli.

Wkrótce pojawił się Stewart. Nie mówiąc słowa do żony ani pasierbicy, skierował się do sterty drewna i zabrał się do przycinania desek. Ada siedziała w pokoju z zatkanymi uszami, drżąc na myśl o tym, do czego doprowadziła. Stewart tymczasem przystąpił do zabijania deskami okien, odcinając tę odrobinę światła, jaka przenikała do środka. Flora, wciąż z obwisłymi anielskimi skrzydłami u ramion, traktując to jako zabawę, rzucała mu z wnętrza wskazówki.

- Tutaj, tato - wołała pokazując, gdzie jeszcze pozostała szpara.

Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła go nazywać tatą. Zerkała teraz na reakcję matki, lecz ta była jakby nieobecna. Przez całą resztę dnia Ada leżała na łóżku z lusterkiem w ręce, wypatrując na swojej twarzy jakiegoś znamienia czy piętna. George nosi na twarzy znaki, więc czyż nie powinna teraz i ona być napiętnowana? Nie odwracając oczu od lusterka, obróciła się na bok, dotknęła policzka. Po chwili przysunęła lusterko i nagłym, zmysłowym gestem złożyła na swoim odbiciu przeciągły pocałunek.

Praca Stewarta posuwała się szybko naprzód. Zakończył ją zamocowaniem drewnianej zasuwki po zewnętrznej stronie drzwi od werandy. Ada była więźniem we własnym domu.

Później Flora podeszła do łóżka matki.

- Nie powinnaś była tam chodzić, wiesz? - powiedziała z naganą w głosie. Okrążyła łóżko, usiadła koło Ady. - Tacie się to nie spodobało, mnie też.

Otworzyła szkatułkę ze swoimi skarbami, wyjęła talię kart. Zaczęła je wykładać na biodro matki.

- Ale możemy pograć w karty, jeśli chcesz.

Lecz Ada odwróciła się tyłem. Zamknawszy oczy, wtuliła twarz w poduszkę, jakby układała się do snu. Flora się przyglądała, jej buzia z napięcia i konsternacji przybrała nieoczekiwane dorosły wygląd. Niepotrzebne karty rozsypały się po łóżku.

Tak oto zostały obie więźniarkami w zabitym deskami domu. Stewart postanowił dać Adzie nauczkę, a miała to być twarda nauczka. W miarę jak zabijał okna, jedno po drugim Ada odcinała się coraz bardziej od chwili obecnej, zamykała coraz szczelniej w sobie, kryła coraz głębiej w przepastnych korytarzach pamięci.

Po owym wieczorze zakończonym pocałunkiem, Ada McGrath nie widziała Delwara Hausslera przez tydzień. Potrzebowała siedmiu dni dla odzyskania dostatecznej równowagi, by mieć pewność, że rumieniec nie zdradzi jej uczuć. Nie miała pojęcia, czy Delwar coś do niej czuje, ale nie zamierzała też wyjawiać, co ona czuje do niego.

Delwar Haussler nie próbował szukać Ady. Rozumiał, że nie licuje to z jego pozycją, a ponadto bał się, że nagabywanie jej, może ją jedynie odstręczyć. Kiedy owego wieczora wstała od fortepianu i ruszyła do drzwi, odprowadził ją wzrokiem, ale się nie odezwał. Ów pocałunek jakoś ją odmienił; patrząc na

nią, Delwar nie widział w niej już dziecka. Była inna, nie taka, jaką mu się dotąd jawiła. I stwierdził, że jest niezwykła.

W pokoju muzycznym panowała przez siedem dni cisza. Wyston McGrath nie spostrzegł przez cały ten czas, że coś nie jest w porządku. Przechodząc któregoś popołudnia zauważył, że w pokoju nie ma ani Delwara, ani Ady, lecz ledwo się oddalił o kilka kroków, jego myśl powędrowała z powrotem ku ważniejszym sprawom. Adwokat Beadsley wystosował do niego na początku owego tygodnia surowe ostrzeżenie.

- Musi pan uporządkować swoje interesy, nim będzie za późno - oświadczył złowróźnie.

Wyston skwitował to westchnieniem, po czym odrzekł głosem ociekającym jak zwykle ironią, że przecież dla pilnowania swoich interesów opłaca adwokata i buchaltera.

Ada spędziła lwią część tego tygodnia w swoim pokoju. Domowników, którzy pytali, czy jej coś nie dolega, odprawiała z nadąsaną miną, bardziej pasującą dziecku niż dorosłej pannie, jaką się nagle poczuła. Znudzona po paru godzinach narzuconego sobie odosobnienia, zabrała się do znieawidzonego wyszywania. Skończy tę makatkę dla papy, może wyhaftuje również coś dla Delwara.

Wkrótce odłożyła jednak igłę i nici. Przyjemniej było leżeć na łóżku, patrzeć w otwarte okno i o niczym nie myśleć, tylko snuć romantyczne rojenia o sobie i o Delwarze.

Po tygodniu Ada uznała, że odzyskała wystarczającą równowagę, i o zwykłej porze zeszła do pokoju muzycznego. Delwar siedział na krześle koło fortepianu, jak codziennie po południu pod jej nieobecność. Przez cały tydzień ani razu nie wyszedł wieczorem, unikał kolegów, unikał nawet imprez muzycznych. A już najbardziej unikał panny Judyty McDougall, której niepospolite wdzięki dziwnie zbladły w jego wspomnieniach.

Na widok wchodzącej Ady, Delwar poderwał się niezręcznie. Ada posłała mu uśmiech, uprzejmy, choć może nieco chłodny. Delwar poruszony, zrobił krok, chcąc jej uścisnąć rękę, ale się powstrzymał. Ada skinęła głową i dała mu znak, żeby jej coś zagrał.

Delwar grał tego popołudnia źle, palce ześlizgiwały mu się z klawiszów, tony zlewały. Ada nie słyszała go nigdy grającego tak nieporadnie, słychać przecież z nienagannej techniki. Jeżeli ją to zaskoczyło, nie dała tego po sobie poznać. Pochlebilo jej jednak jego skrepowanie, dostrzegła jego zaczerwienioną szyję i policzki. Dotknęła dłonią własnego policzka - był chłodny.

Delwar poprosił, żeby coś zagrała, ale nie chciała. Pragnął do niej przemówić, zapytać, jak się czuje, przeprosić za tamtą swoją śmiałość, dotknąć dłonią jej twarzy. Ale nie uczynił żadnej z tych rzeczy, grał tylko zbyt skocznie Chopina. Po godzinie nie był w stanie znieść dłużej napięcia. Czuł, że musi coś zrobić - wziąć ją w ramiona albo uciec z pokoju. Wstał, potknął się o ławeczkę, na której siedział, po czym wyszedł bez słowa.

Ada widziała przez okno, jak sady wielkimi krokami przez murawę w kierunku strumienia. Kiedy była pewna, że nie może jej już usłyszeć, usiadła i zaczęła grać. Improvizowała czerpiąc ze skarbnicy tego, czego się nauczyła od Delwara. Fortepian wyśpiewywał jej najtajniejsze myśli i uczucia.

Od tej pory Delwar i Ada spotykali się jak poprzednio codziennie po południu w pokoju muzycznym. Przez pierwszy miesiąc Delwar grał, a Ada słuchała. Grał nadal niedobrze, bo myśli miał wciąż rozbiegane, niespokojne, nigdy nie skupione na muzyce. W ciągu jednej i tej samej frazy potrafił przejść od rozpacz do uniesienia, od ożywienia do apatii, od nadziei do rezygnacji. Zdarzały się dni, kiedy nie był w stanie rozróżnić

nut, znaki muzyczne skakały mu przed oczami, melodia nie pozwalała się odczytać. Próbował wówczas grać z pamięci, bo w przeciwieństwie do Ady nie należał do muzyków, którzy umieją improwizować.

Aż któregoś popołudnia Ada zgodziła się zagrać. Zasiadła do fortepianu i zagrała bez nut kompozycję, której Delwar dotąd nie słyszał.

- Co to było? - zapytał, kiedy skończyła. - Jakiego to kompozytora?

Wstydził się własnej ignorancji, chciał wiedzieć. Czyżby Ada ćwiczyła pod jego nieobecność? Lecz Ada mu nie odpowiadała. Zamiast sięgnąć do notesika i ołówka, wiszących jak zawsze u jej szyi, powróciła do gry. Była to jej własna kompozycja, sama ułożyła jej się ostatniej nocy w głowie. Odegrała ją ponownie w całym jeszcze nie wygładzonym kształcie. Nieśmiałość nie pozwalała jej się przyznać przed Delwarem, jednakże jego konsternacja sprawiła jej pewną satysfakcję. Siedział zamieniony w słuch.

Ich popołudnia potoczyły się teraz dawnym trybem. Delwar wybierał kompozycję i pierwszy ją odgrywał. Ada słuchała, potem powtarzała ją sama. Ich stosunki stały się znów bardzo formalne, byli dla siebie uprzejmi i kurtuazyjni, zgadywali swoje życzenia. Delwar rozpaczliwie pragnął przełamać barierę, jaka między nimi wyrosła. Ada widziała jego rozterkę, ale tego, czego pragnął, nie mogła mu ofiarować.

Nie miała zamiaru wychodzić za Delwara Hausslera, tak jak przed owym pamiętnym pocałunkiem nie myślała w ogóle o zamążpójściu. Nie zastanawiała się, co o Delwarze może sądzić ojciec, o Delwarze czy też o niej. Nie interesowało jej w ogóle, co ludzie o nich myślą. Nie chciała dopuścić do sytuacji, w której panowanie może jej się wymknąć z rąk. Chciała, by wszystko powróciło do stanu takiego, jak przed

pojawieniem się panny McDougall i tamtym wieczorem, by świat znowu ograniczał się do niej, Delwara i fortepianu.

Tak sobie przynajmniej wmawiała, siłąc się, by zachować trzeźwy umysł, bo oczywiście w jej wyobraźni jawiły się także inne pragnienia. W nocy śniła, że się znajduje w objęciach Delwara, że czuje jego gorące wargi. Cóż, nie miała przecież władzy nad tym, co nawiedzało ją w nadrannych marzeniach.

A Delwarowi zdawało się chwilami, że popada w szaleństwo. Czy tamten pocałunek to złudzenie, wytwór jego wyobraźni, coś, co mu się przywidziało? Przyjaciele przychodzili się do niego na rozmowy, próbowali rozbudzić w nim na nowo zapał do koncertów, recitali i występów, ale nie baczył na ich perswazje. Rankiem, oczekując popołudnia, wypuszczał się na długie spacery. Pisał do Ady listy, których nie wysyłał; wygłaszał przemówienia, których nie miała nigdy usłyszeć.

Delwar nie był jednak człowiekiem praktycznym, wprost przeciwnie, był romantykiem. Nie spędzał dni na układaniu zawiłych planów, jak to pewnego razu podbije serce Ady, uczyni ją swoją narzeczoną. Nie przygotowywał argumentów dla pozyskania Wystona McGratha, nie pisał do sióstr o pieniądze na założenie rodziny. Podobnie jak Ada nie myślał o małżeństwie. Ona była jego uczennicą, on jej nauczycielem. Stanowiło to przepaść nie do przebycia, ich wzajemny stosunek nie mógł ulec zmianie.

Aż pewnego dnia wpadła Delwarowi do głowy nowa myśl. Zamówił pocztą w Londynie nuty, a gdy nadeszły pewnego pięknego poranka wręczył rachunek Wystonowi. Po południu rozłożył pachnące farbą drukarską arkusze na fortepianie i, spacerując niecierpliwie po pokoju muzycznym, czekał na zjawienie się Ady.

- Mam dla ciebie coś nowego do nauki - oznajmił, gdy weszła, spokojna i opanowana jak zwykle. - "Fantazja F moll" Schuberta.

Ada zmierzyła go badawczym wzrokiem. Delwar często sprowadzał nowe nuty, ale nigdy nie anonsował ich w taki sposób. Kiedy usiadła na ławeczce przed fortepianem, Delwar zamaszystym ruchem otworzył nuty. Ada przyjrzała się zapisowi. Był odmienny od tego, do czego przywykła. Sądziła, że posiada już tajniki czytania nut, szczyciła się swoim rosnącym opanowaniem teorii. A tu nagle coś nowego.

- To duet! - oznajmił tryumfalnie Delwar.

Ada popatrzyła na niego. Oczy jej się rozszerzyły, wyraz twarzy zmienił.

- Utwór na cztery ręce. Do grania na jednym fortepianie.

Ada skierowała ponownie wzrok na nuty, które nagle zaczęły układać się jej w czytelną melodię.

- Czy to nie wspaniałe? - spytał Delwar, dumny ze swego pomysłu. - Będziesz się uczyła grać razem ze mną. Gra na cztery ręce to wyzwanie, które winien podjąć każdy dobry pianista. Muzyka staje się w takim wykonaniu pełniejsza, doskonalsza.

Z tymi słowy Delwar podszedł do ławeczki, usiadł obok niej. Ławeczka z trudem mieściła ich oboje. Ada posunęła się, jak mogła najdalej, ale Delwar zaraz wypełnił przestrzeń, którą zwolniła. Dotykał jej ramieniem i udem. Ada nie mogła posunąć się już dalej. Wstała i sięgnęła po krzesło, ale Delwar przewidział i to.

- Za niskie - oświadczył i poklepał puste miejsce obok siebie. - I byłabyś za daleko, nie sięgałabyś do wszystkich klawiszy.

Tak więc Ada usiadła obok Delwara, ulegając jego kaprysowi, ale była w stanie myśleć jedynie o jego udzie przywierającym do jej uda. Kiedy naciskał pedał, dotykał jej

całą długością nogi. Czuła, jak krew nabiega jej do twarzy; potrzebowała całej siły woli, żeby zachować spokój.

Pierwszy utwór był przyjemny, jak wiele duetów nieco melancholijny i romantyczny, obliczony na wydobycie złożoności dźwięków nieosiągalnej dla pojedynczego wykonawcy. Z początku Delwar i Ada grali powoli, nie mogąc utrzymać wspólnego tempa. Konieczne okazało się użycie metronomu. W miarę jednak jak mijały godziny i dni, ich zgranie rosło. Delwar wprowadzał dalsze duety, przez tydzień codziennie nowy - marsze, walce, symfonie Beethovena i Mozarta rozpisane na cztery ręce - aż w końcu nie grali na dobrą sprawę nic innego. Służba zwietrzyła szybko, że coś się dzieje, i rozpoczęły się nie kończące chichoty i podglądanie muzykującej pary. Trudno było jednak zaprzeczyć, że dźwięki wychodzące spod ich palców brzmią bogato i słodko, a Wyston McGrath wyraził nawet publiczne uznanie dla zgrania nauczyciela i uczennicy.

Ada była początkowo wściekła na Delwara Hausslera za jego podstęp. Uważała, że instrument nie jest skonstruowany dla dwóch wykonawców, a wspólna gra jest absurdem. Zawsze ceniła niezależność, jaką jej dawał fortepian. Z drugiej jednak strony zbyt kochała muzykę, by nie czuć, że musi podjąć to nowe wyzwanie, tym bardziej, że niektóre z nowych kompozycji były naprawdę czarujące. W ten sposób, po jakimś czasie dała, się znowu porwać muzyce. Granie z kimś w duecie okazało się na dłuższą metę wspaniałym doświadczeniem. Jak powiedział Delwar, cztery ręce są istotnie w stanie wydobyć bogatszą harmonię niż dwie. W rezultacie Ada poczuła, że jej bunt się stopniowo rozplywa jak sole w gorącej kąpieli, by ustąpić miejsca błogiej przyjemności. Czuła się również bliższa Delwarowi Hausslerowi w tej nowej wspólnocie nie tylko muzyki, lecz także bezpośredniego kontaktu ciał. Zdawało jej się, że

doznaje objawienia czegoś nie przeczuwalnego. Zawsze cechowała ją rzadka i osobliwa ciekawość, a strach nigdy jej nie paraliżował. Była niezwykłą dziewczyną, nie ze swojej epoki, czego Delwar nie dostrzegął. Widział w niej jedynie delikatną, filigranową młodą kobietę o wyrazistych czarnych oczach i niepospolitym umiłowaniu muzyki.

Pewnej nocy, kiedy cały dom pogrążył się we śnie, Ada zeszła po cichu do pokoju muzycznego. Otworzyła wieko fortepianu i wysunęła jeden z klawiszy. Usiadła z igłą i świecą, które przyniosła, i wyryła w kości słoniowej, na bocznej ścianie klawisza, sekretny znak swoich panieńskich uczuć. Dokonawszy dzieła, wsunęła klawisz na miejsce. Czując z Delwarem osobliwą więź, chwilami zdawało jej się, że potrafi on czytać w jej myślach. I w pewnym sensie Delwar czytał w tych myślach, ale jego intuicja ograniczała się do spraw muzycznych i była daleka od wyjątkowości i pełni, jaką jej przypisywała w swoich rojeniach Ada.

Parę miesięcy później Delwar Haussler został zaproszony wraz z McGrathami na specjalny koncert świąteczny w wigilię Bożego Narodzenia. Po chwilowym wahaniu Delwar zdecydował się pójść i poprosił, żeby Ada z ojcem mu towarzyszyli. Adzie, która miała Delwara tak długo na wyłączność, nie bardzo się uśmiechało oglądanie go teraz w otoczeniu jego przyjaciół. Wyston jednak od razu zaproszenie przyjął, nie chciała się więc wyłamywać. Jej ojciec niedomagał ostatnio i miała nadzieję, że wieczór poza domem dobrze mu zrobi. Prawdę mówiąc, nie życzyła sobie również, by Delwar wybrał się bez niej.

Jednakże w Wigilię Wyston poczuł się zbyt słabo, by gdziekolwiek iść, i przed kolacją zaszył się w swoim pokoju dla podreperowania sił. W rezultacie Delwar i Ada poszli sami, z błogosławieństwem ojca, lecz bez przyzwoitki.

Koncert był uroczy, uświetniła go swoją obecnością cała socjeta Aberdeen. Po zakończeniu, Delwar i Ada wyszli niemal natychmiast. Delwar, choć nie zdradził tego Adzie, nie miał ochoty wpaść w ramiona kolegów. Chciał wyjść w zimne nocne powietrze, z Adą u swego ramienia. Wymknęli się, nim ktokolwiek mógł ich zatrzymać, i powędrowali oblodzoną, brukowaną kocimi łbami ulicą.

We dworze panowała niczym nie zmacona cisza. Wyston spał na drugim końcu domu, służbę zwolniono, by mogła spędzić ten wieczór z rodziną. W sieni Delwar uczynił ruch, jakby chciał życzyć Adzie dobrej nocy, lecz nim zdążył wyrzec słowo, ujęła go pod ramię i poprowadziła do pokoju muzycznego. Wyszukała w stosie nut kompozycję, którą - jak Delwar wiedział - szczególnie sobie upodobała, i dała mu znak, żeby zagrał.

Usiadła koło fortepianu i czekała z zamkniętymi oczami, aż Delwar zacznie grać. W świetle świec wyglądała ślicznie, refleksy odbite od okien, dekoracji gwiazdkowych i różanego drzewa fortepianu ozłacały bladą karnację jej spokojnej twarzy. Delwar przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, nim wziął pierwszy akord.

Muzyka przeniosła Adę w inny świat, w którym wszystko miało miękkość jedwabiu i ciepło przytulnych komnat w blasku kominka. Przepęłniała jej serce śpiewem, przyśpieszała oddech, przenikała ją tęsknotą do czegoś nienazwanego. Delwar grając obserwował ją.

Kiedy skończył, otworzyła oczy i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Teraz ja wybieram - powiedział i wyszukał w stosie nut najdłuższy, najbardziej romantyczny z duetów, które grywali.

Ada zajęła swoje miejsce na ławeczce obok niego. Kiedy usiadła, Delwar wciągnął głęboko powietrze i jej woń oładnęła jego myśli. Zaczęli grać. Nigdy przedtem nie grali z

taką doskonałością - w tempie, z siłą, z uczuciem. Kiedy skończyli i zastygli w bezruchu, muzyka zdawała się nadal wypełniać pokój. Raptem obrócili się do siebie i padli sobie w ramiona. Wstali, wciąż objęci, i Delwar nogą odepchnął ławeczkę.

W domu Alisdaira Stewarta, Ada wstała we śnie, usiadła do fortepianu i zaczęła grać. Obudzona Flora wybiegła za nią z sypialni. Rozpuszczone włosy opadały Adzie na ramiona, koszula nocna zdawała się cienka, niematerialna. Ada grała głośno, nagłoco, powtarzała jeden ciąg akordów, nieharmonijny, pozbawiony wyraźnej linii melodycznej. Ze spuszczoną głową, pochylonymi ramionami, ledwo oddychając, grała nieprzerwanie, biegając palcami po klawiaturze równie pewnie jak na jawie.

Muzyka obudziła Stewarta. Wszedłszy ze świecą do bawialni, ujrzał grającą Adę i stojącą przy fortepianie Florę.

- Ona śpi. Popatrz.

Flora przesunęła dłoń przed twarzą matki, jakby ta była niewidoma. Ada grała dalej, nieco teraz mniej gwałtownie, może ukojona głosem córki.

- Pewnej nocy - zaczęła opowiadać Flora upajając się przekazywaną rewelacją - znaleziono ją w koszuli nocnej na trakcie londyńskim. Dziadek mówił, że nie mogła chodzić przez tydzień, takie miała poranione nogi.

Stewart, postawiwszy świecę na fortepianie, pochylił się, żeby zajrzeć w nieprzeniknioną twarz swojej lunatycznej żony, w nadziei, że senna peregrynacja rzuci światło na jej dziwne zachowanie na jawie. Oboje z Florą wpatrywali się w Adę, zahipnotyzowani jej obsesyjną grą, aż raptem jej palce znieruchomiały na klawiaturze. Ada wstała, popatrzyła wielkimi oczami, jakby ujrzała przed sobą ducha, po czym pozwoliła się Florze odprowadzić do łóżka.

Później tej samej nocy śnił się Adzie George. We śnie znajdowała się w jego ramionach, czuła jego pocałunki, jego pieśczoły. Przywarła do niego, objęła jego plecy, ukryła twarz na jego piersi. Słyszała jego jęk, czuła jego poruszenia.

Raptem się obudziła i ze zgrozą stwierdziła, że osobą, którą tak czule ściska jest Flora. Pod wpływem impulsu wstała i poszła do pokoju męża. Nie budząc go, usiadła obok jego wyciągniętej postaci. Stewart zasnął nie zgasiwszy świecy i pokój spowijała miękka żółta poświata. Ada nie widziała go nigdy śpiącego i wydał jej się we śnie spokojniejszy, nie taki napięty jak za dnia. Wyciągnęła rękę i trzymała ją chwilę nad jego głową, nim dotknęła jego policzka. Przesunęła palcami po skórze, gładkiej, potem zarośniętej, potem znowu gładkiej. Stewart się ocknął, otworzył oczy. Popatrzył na żonę, zaskoczony jej nieoczekiwaną wizytą. A ona sunęła dłonią dalej, po jego szyi, gardle, obojczyku, sięgnęła jego ciepłej piersi pod koszulą.

- Ado - szepnął Stewart i zamknął z powrotem oczy.

Co ona tu robi po tym, czego był świadkiem w chacie George'a Bainesa? Oto jeszcze jeden dowód, że Ada McGrath nie przestanie go nigdy zadziwiać. Nie rozumuje, nie zachowuje się tak, jak nieliczne inne kobiety, które znał. Jest istotą szczególnego pokroju, chwilami zdaje się prawie nieziemską. Kiedy go teraz tak dotykała, Alisdaiem miotały sprzeczne uczucia. Chciał, żeby nie przerywała, żeby mu ofiarowała to, co George'owi Bainesowi, lecz równoległe z pożądaniem przejmował go wstręt.

Ada McGrath nie wiedziała, jaka siła popchnęła ją tej nocy do łóżka męża. Uwięziona w domu, z którego nie mogła wyjść bez jego pozwolenia, musiała coś uczynić dla uśmierzenia narastającego w niej niepokoju, jakiejś nieokreślonej tęsknoty, potrzeby dotykania drugiego ciała, rozbudzonej przez George'a Bainesa.

Nie chcąc zakłócić uroku chwili, Stewart nie otwierał oczu. Ada zsunęła z niego pled i uniosła koszulę, wystawiając jego pierś i brzuch na nocny chłód. Stewart wciągnął głośno powietrze. Unikając jego wzroku, ze skupioną twarzą, błędziła dłońmi po jego piersi, jak gdyby pożądanie, raz rozbudzone, domagało się dalszych doświadczeń.

Stewart otworzył oczy, nagle pełne łez, i spojrzał Adzie w twarz wzrokiem dziecka, które obudzone ze złego snu, pozostaje zawieszona między trwogą a ufnością. Ada nie przestawała wodzić dłońmi po jego ciele jak zielarka wcierająca balsam w ranę. Schodziła coraz niżej w dół brzucha, który się teraz pokrył gęsią skórą. Stewartem wstrząsnął dreszcz. Nie mogąc dłużej znieść napięcia, uniósł się na łóżku, wyciągnął ramiona do żony, lecz ta odskoczyła z irytacją, jakby zawiedziona. Odwróciła się i wyszła z pokoju Alisdaira Stewarta, nie dając mu niczym poznać, co myśli i czuje.

Ciotka Morag i Nessie, które w asyście Heni i Mary przyszły z wizytą, złapały się za głowy widząc, że Stewart zamienił dom w twierdzę. Ada i Flora siedziały przy stole kuchennym grając apatycznie w karty. Stewart nie wypuścił ich tego dnia na dwór, więc wegetowały w domu jak rośliny pozbawione słońca.

- Alisdair, czy to z powodu naszego przedstawienia? - spytała zafrasowana Morag. - Napastują cię tubylcy?

Stewart niósł polana na ogień, zdecydowany jakoś przetrwać ten dzień. Morag ruszyła za nim do wejścia.

- Muszę przyznać, że niemądrze to zrobiłeś, mój drogi - zwróciła uwagę. - Założyłeś zasuwkę od zewnątrz. Nie widzisz - zamknęła zasuwkę - że to nie ty się zamkniesz przed Maorysami, ale oni cię zamkną w domu. Znajdziesz się jak w potrzasku.

- ... jak w potrzasku - zawtórowała kiwając głową Nessie.

Kiedy Morag rozwijała swoją teorię, Heni i Mary przycupnęły w kącie, żeby obejrzeć jedną z lalek Flory. Zafascynowane, nie zwracały uwagi na cudaczne roztrząsania pakeha. Stewart stanął za Adą i Florą nie przeszkadzając ciotce w jej fantazjowaniu. Nie przestając mówić, Morag jęła wypakowywać na stół ubrania i wiktuały, które przyniosła w podarunku dla domu.

- Idziemy od George'a Bainesa. Maorysi zawładnęli zupełnie jego chatą.

Słyszając to, Ada uniosła głowę. Jej włosy nie były zaplecione w warkoczyki tak schludnie jak zwykle. Prawdę mówiąc, Morag uważała, że jest nieprzystojnie zaniedbana.

- Właściwie nie dziw, że wyjeżdża. Spoufalił się za bardzo z tubylcami. Panoszą się w całej chacie, leżą na podłodze bez cienia obyczajności.

- ... bez cienia obyczajności - powtórzyła Nessie.

- Jest odmieniony nie do poznania. - ciągnęła Morag - zupełnie jakby rzucili na niego urok. Cóż, jutro albo pojutrze go tu nie będzie.

Wypakowawszy biskwity i ciasteczka, Morag zaczęła je układać na talerzach. Ada, raptem bardzo pobladła, wstała i ruszyła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy w stronę fortepianu.

- A więc Baines się pakuje - podsumował sucho Stewart, kierując brzemienne słowa do Ady, która zamarła w pół kroku.

- Nie bardzo ma co pakować, ale w każdym razie wyjeżdża.

Kiedy Morag to mówiła, Nessie wyjęła chusteczkę i zaczęła chlipać.

- I dobrze, że wyjeżdża - podjęła Morag. - Nessie zadurzyła się w nim, głupia, i teraz nic, tylko beczy.

Nessie skrzywiła twarz i załkała jak na komendę.

- Przestań! - fuknęła Morag na swoją młodą towarzyszkę. Nessie nadal szlochała.

- Przestań, rozumiesz! Przestań! Nieoczekiwanie Nessie usłuchała komendy. Mrugając, otarła oczy.

Ada tymczasem zasiadła bezszelestnie do fortepianu, w nadziei, że gra uśmierzy jej emocje i pokryje wzburzenie. Kiedy zaczęła grać, Morag zwróciła się do Stewarta:

- Boję się drogi powrotnej. Myślisz, że dotrzemy bezpiecznie, jeśli wyruszymy wcześniej?

Z początku gra nie bardzo szła Adzie, ale niebawem muzyka ją porwała. Fortepian wyzwolił ją z zabitego deskami domu, przeniósł do chaty George'a Bainesa.

- Och, jeśli teraz wyruszyacie, na pewno dotrzecie bezpiecznie - zapewnił Stewart, chcąc się jak najprędzej pozbyć ciotki i jej towarzyszek.

Zamilkli wszyscy na chwilę, słuchając gry Ady. Pochylona nad klawiaturą, całkowicie pochłonięta muzyką, zdawała się nie widzieć świata. Wpatrywali się w nią, zafascynowani melodią i osobliwą koncentracją Ady. Choć nieco już przywykli do jej nieortodoksyjnych obyczajów, zawsze ich czymś na nowo zdumiewała. Stewart, patrząc na żonę, rozpamiętywał wydarzenia minionej nocy. Wprawiało go to w zakłopotanie, a zarazem budziło w nim tęsknotę.

Przez całą drogę powrotną ciotka Morag mówiła tylko o dziwnej sytuacji, jaką zastały w domu jej bratanka.

- Alisdair zmienił się nie do poznania od czasu ich przyjazdu. Nie do poznania.

Pokręciła frasobliwie głową. Ada McGrath nie przypomina w niczym innych sprowadzanych ze starego kraju żon. Jest zbyt niezwykła, to fakt. Ta jej niemota, ten jej fortepian, no, i oczywiście ta jej córka. Wbrew całemu swemu chrześcijańskiemu miłosierdziu, ciotka Morag miała wątpliwości, czy jej bratanek mądrze postąpił biorąc za żonę

kobietę z dzieckiem, którego nie jest ojcem, które w oczach Boga nie ma ojca. Liczyła, że taki wielkoduszny uczynek doda Alisdairowi skrzydeł, tymczasem cała rodzina zdaje się ze wszech miar nieszczęśliwa.

W połowie drogi Morag stwierdziła, że musi zrobić dyskretny przystanek. Nessie, Heni i Mary osłoniły ją pledami i płaszczami, żeby jej zapewnić nieco osobności. Dzień był wietrzny, pledy się wydymały i trzepotały. Ukucnąwszy pod obfitymi spódnicami, Morag nie przestawała monologować.

- Wiecie, myślę o tym fortepianie. Ona nie gra tak jak my, Nessie.

Przysłuchujące się dziewczęta zniżyły osłonę.

- Wyżej! - syknęła Morag, po czym ciągnęła - Nie ma co, dziwna z niej kobieta i dziwne to jej granie.

Pledy znów opadły.

- Wyżej! Twoja gra, Nessie jest zwyczajna, prosta, i to mi się podoba.

Nessie, rozpromieniona, pokiwała głową.

- Ale żeby muzyka targała człowieka za serce, to wcale nie jest przyjemne.

W tym momencie rozległ się w górze głośny trzepot.

- Co to? - szepnęła Morag.

Nessie z piskiem zadarła głowę. Nie czekając, aż Morag się podniesie, porwała pled i zaczęła uciekać.

- To tylko gołąb, ciociu - uspokoiła Heni.

- A - a! - wysapała Morag i popędziła wzburzona za Nessie. - Powinnam była doczekać do domu.

Stewart nie spał, kiedy Ada McGrath przyszła tej nocy do jego pokoju.

- Czekam na ciebie - wyszeptał.

Światło jej świecy rzucało ciepły blask. Ada odgarnęła mężowi włosy opadające na poduszkę i jęła mu pieścić szyję. Jego twarz wyglądała przyjemnie. Błądząc lekko dłońmi, w

głowie miała pustkę, jej doznania ograniczały się do koniuszków palców. Stewart leżał z napiętymi mięśniami, żeby jej nie spłoszyć niebacznym ruchem, nie spowodować jak wczoraj jej ucieczki. Ada podciągnęła mu koszulę i jąta głaskać plecy. Jej śmiałe pieszczoty przyprawiły Stewarta zarazem o dreszcze i o mękę. Po chwili poczuł, że Ada obciąga dolną część jego garderoby, obnażając pośladki. Wstrzymał oddech, i oszołomiony, i podniecony jej nieskromnością, gdy kolistymi ruchami gładziła mu obie półkule, jakby koła niespokojne niemowlę. Raptem Stewart porwał się i podciągnął nerwowo garderobę, zakrywając obnażone pośladki. Ada odczekała chwilę, pozwalając mu się odprężyć, po czym wznowiła eksperyment. Rozluźniła jego palce zaciśnięte na materiale po czym znów konsekwentnie ściągnęła z niego ubranie. I właśnie to wprawiało go w największe wzburzenie - fakt, że zdaje się go dotykać jedynie dla własnej przyjemności.

Ada tymczasem pieściła jego pośladki, przesuwając delikatnie palce między półkulami. Jej dotyk doprowadzał Stewarta do szaleństwa. Poczł się bezwolny, bezradny, obdarty z nadziei. Wstrząsnęła nim na nowo mieszanina gniewu, wstydu i żądy. Podciągnął na sobie ubranie i, odskoczywszy od Ady, usiadł na przeciwnym brzegu łóżka, tyłem do niej. Ada śledziła spokojnie jego odwrót.

- Pragnę cię dotykać - powiedział cichym, zdławionym głosem. - Dlaczego nie pozwalasz mi się dotknąć? Nie lubisz mnie?

Ada przyglądała mu się przez szerokość łóżka, jakby patrzyła z wielkiej, nieprzebytej odległości. Współczuła mu w jego beznadziejnym cierpieniu, budziło ono nawet w niej pewne emocje, ale jakby jej nie dotyczyło.

Rozdzierająca fala zawodu i palącego wstydu przeląła się przez ciało Stewarta, kiedy Ada McGrath wstała i odeszła do swego pokoju.

ROZDZIAŁ 10

Adę i Florę obudził hałas odrywanych desek i słońce wpadające przez okno. Stewart zaś obudził się z niespokojnego snu z wyrzutami sumienia, że więzi kobietę i dziecko - i że jakkolwiek nieszczęśliwe jest to jego małżeństwo, nie ma do czegoś takiego prawa. Flora naciągnęła na koszulę nocną swoje anielskie skrzydła i wybiegła z domu w wysokich kaloszach. Jęła uganiać się za kurami, szczęśliwa, że jest znów na dworze. W obejściu piałą tryumfalnie koguty, podczas gdy Ada ubierała się i plotła włosy w warkoczyki, które następnie upinała na głowie.

Skończywszy odbijanie okien, Stewart wszedł do domu.

- Musimy powrócić do normalnego życia - oznajmił Adzie. Głowę miał spuszczoną. - Postanowiłem ci zaufać. Nie będziesz się więcej widywać z Bainesem.

Ostatnie zdanie nie było pytaniem, nie było też rozkazem. Stewart, zdecydowany uznać nocne wizyty Ady za pomyślny znak, obserwował ją uważnie. Ada odpowiedziała mu pewnym spojrzeniem, twierdząco skinęła głową.

- Więc dobrze - powiedział siadając obok niej. Chwilę milczał. - Może z czasem mnie polubisz.

Ada już na niego nie patrzyła, nie dała po sobie poznać, co o tym myśli. Sięgnęła po lusterko, żeby sprawdzić fryzurę.

Stewart wyszedł do roboty, zabierając ze sobą paliki i narzędzia do gradzenia pól oraz jedzenie na cały dzień. Ada przyglądała mu się przez okno i gdy tylko zniknął jej z oczu, podeszła do fortepianu i podniosła wieko.

Sięgnęła do miejsca, gdzie klawisze dotykały strun, i zręcznie wyjęła jeden. Usiadła przy stole, na którym długie tygodnie temu wyłobiła nożem imitację klawiatury, wzięła igłę, rozgrzała ją w płomieniu świecy i przystąpiła do powtórzenia operacji, jakiej już raz dokonała wiele lat temu. Na boku słupka kości słoniowej wyryła zdanie: "George, masz

moje serce". Sekretne posłanie kobiety, która nie mówi, do mężczyzny, kiedy nie umie czytać. Podpisała się: "Ada McGrath", po czym zawinęła cenną przesyłkę w lnianą szmatkę i przewiązała zieloną jedwabną wstążką. Wierzyła, że George Baines zrozumie jej deklarację.

Z zawiniątkiem w dłoni wyszła na dwór, do bawiącej się Flory. Dziewczynka rozciągnęła miniaturowy sznur na bieliznę i prała ubranie lalek w kubie zimnej wody. Piorąc przemawiała do zabawek.

- Bądźcie cicho. Musicie być gołe, dopóki nie wypiorę i nie wysuszę waszych ubrań.

Ada podeszła, uklękła koło córki i pokazała jej schludne zawiniątko.

- Odnieś to panu Bainesowi - poleciła ruchami rąk. - To jego własność.

Flora pokręciła głową, nieufna wobec matki.

- Nie wolno nam do niego chodzić.

- Masz to zanieść - powtórzyła nieustępliwie Ada.

Nie chcąc złamać danego Stewartowi przyrzeczenia, nie mogła iść sama, ale zakaz nie dotyczył Flory. Dziewczynka, nie zważając na polecenia matki, zabrała się z powrotem do prania. Ada z nagłą gwałtownością poderwała ją na nogi. Wcisnęła jej zawiniątko w ręce i popchnęła ją w kierunku ścieżki.

Urażona i zagniewana na matkę Flora ruszyła w drogę, podśpiewując buntowniczo. Dotarłszy do rozwidlenia - w lewo do pana Bainesa, w prawo do miejsca, gdzie pracuje tato - przeszła kawałek w stronę pana Bainesa, po czym zawróciła i skierowała się w prawo. Wiedziała, że postępuje właściwie, tato zabronił im chodzić do pana Bainesa. Mamusia zrobiła coś złego i zostały za to obie ukarane. Wobec tego ona nie ma obowiązku słuchać matki. Flora chciała, żeby Ada siedziała w domu i żeby ją kochała jak dawniej. W chacie pana Baines

wydarzyło się coś, co odciągnęło od niej mamusię. Jasne, że on jest wszystkiemu winien.

Ścieżką biegnącą wzdłuż palików granicznych Stewarta, Flora wspięła się na wzgórze, szła kawałek grzbietem, po czym zaczęła schodzić.

- Stary książę Yorku, on tysiąc ma żołnierza - śpiewała podskakując. - Wiedzie ich w górę, wiedzie w dół, wiedzie ich zawsze, kędy zmierza.

Linia palików granicznych zdawała się ciągnąć bez końca, ostatecznie jednak, wspiąwszy się na kolejne wzgórze, Flora ujrzała Stewarta pracującego w połowie następnego zbocza.

- Kiedy są w górze, to są w górze, kiedy są w dole, to są w dole, tylko drogi przejdą pół, ni góra to jest, ani dół...

Stewart wbijał palik po paliku, pod okiem Many, Tahu i trzeciego Maorysa, z których żaden nie kwapił się z pomocą. Wszyscy natomiast służyli radami, które Stewart ignorował.

- Krzywo, panie Stewart - krytykował wbity palik Tahu - krzywo.

Na widok zdyszanej i zgrzanej pasierbicy Stewart przerwał robotę.

- Mamusia kazała mi to odnieść panu Bainesowi - oznajmiła Flora machając zawiniątkiem. - Mam odpakować?

Zabrała się do rozwiązywania wstążki, ale Stewart ją powstrzymał.

- Nie, daj mi to - polecił pochylając się, żeby wziąć od Flory zawiniątko.

Niepewny, co się znajduje w środku, niechętnie rozwijał płótno pod okiem dziewczynki. Wydobywszy klawisz, obrócił go w palcach i znalazł słowa wyryte na boku. Serce zmroził mu chłód, w dołku poczuł ucisk. Nogi miał miękkie, oddychał szybko. Zacisnąwszy klawisz w pięści, spojrział w niebo. W tym momencie świat utracił dla niego sens. Co się z nim, na Boga, dzieje?

Maorysi, siedzący na ziemi, zauważyli, że coś jest nie w porządku. Tahu się podniósł, żeby lepiej widzieć. Stewart upuścił klawisz, porwał siekierę i pogalopował w dół. Mana za nim wołał, ale Stewart nie odpowiedział. Młody Maorys wstał, podniósł klawisz.

- Kaare e Waiata. Kaare e Waiata (Utracił głos. Nie będzie już śpiewał) - oświadczył.

Alisdair Stewart, nieprzytomny z zazdrości, gnany furją, pędził, nic nie widząc. Niebo zasnuły nieoczekiwane chmury, pociemniało. Zadudnił grzmot, na widnokregu złowieszczo majaczyła burza. Flora puściła się za Stewartem, nieświadoma jego stanu. Sadząc wielkimi krokami w deszczu, Stewart wkrótce zostawił ją daleko w tyle.

Kiedy wpadł do domu, Ada uniosła głowę znad książki. Mokre włosy przywarły Stewartowi do czoła, z twarzy odpłynęła mu cała krew. Ada wiedziała od razu, co się stało. Poderwała się od stołu, kiedy w blat ugodziła siekiera, odcinając róg książki. Uskoczyła pod ścianę, widząc, jak Stewart, ze straszliwym wyrazem twarzy, z nabrzmiałymi żyłami, wyciąga wbitą siekierę.

- Czemu? - syknął przez zaciśnięte zęby. - Zaufałem ci.

Zamachnął się, celując tym razem w fortepian, który wydał basowy jęk, gdy siekiera utkwiała w wieku. Ada rzuciła się ku mężowi, chcąc ratować instrument. Stewart obrócił się, złapał ją za ramiona.

- Zaufałem ci - krzyknął, aż zadudniły ściany, i pchnął ją w drugi koniec pokoju. - Zaufałem ci, rozumiesz? - Przyciągnął ją do stołu i jął targać jej drobnym ciałem, aż posypały się na ziemię igły i nici. - Do czego ty mnie doprowadzasz?

Przywarł do niej, wycisnął na jej policzku gwałtowny pocałunek. Potem podniósł i pchnął na ścianę.

- Moglibyśmy być szczęśliwi - warknął tłukąc jej ciałem o deski.

Ada osunęła się w jego rękach. Nie na jej siły było opieranie się szaleńczym atakom męża.

- Doprowadzasz mnie do rozpaczyny! Odezwiń się! Złapawszy siekiere, wyciągnął Adę na dwór, w burzę i błoto, na oczach nadbiegającej Flory, która stanęła jak skamieniała w siekącym deszczu. Chmury wisiały nisko, niebo zdawało się nabrzmiałe grozą.

- Odpowiesz mi za to! - wrzasnął Stewart szarpiąc za ramię Adę, która uczepiła się rozpaczliwie prześcieradła wiszącego na sznurze do bielizny. - Odezwiś się czy nie, ale mi za to odpowiesz!

Flora patrzyła, zbyt przerażona, by próbować bronić matkę, kiedy Stewart włókł Adę po błocie w stronę pieńka do rąbania drzewa. Deszcz lał strumieniami.

Widząc, dokąd ją ciągnie, Ada wyrywała się i zapierała nogami, ale była wobec niego bezsilna. Koło pieńka wyrwała się i jęła się czołgać po wiórach i błocie w kierunku domu. Stewart, z siekiere w ręku, dopadł jej szybko, chwycił za kark sukni, potem za włosy i pociągnął z powrotem, z szyją uwięzioną w kleszczach jego ramienia. Złapał jej prawą dłoń i przygniótł rozpostartą na pieńku.

- Kochasz go? - krzyknął. - Kochasz? To jego kochasz?

Podniósł siekiere. Flora pisnęła: "Mówi, że nie!" - ale jej słowa, jeśli w ogóle słyssał, nie powstrzymały Stewarta. Ciął z rozmachem. Przed Adą otworzyła się nicość. Nie jęknęła ani nie krzyknęła, uczepiła się tylko kurczowo nogi Stewarta, wpatrzona nie widzącymi oczyma w piszczącą histerycznie córkę. Tryskająca krew obryzgała biały fartuszek Flory, jej anielskie skrzydła zwisały teraz utaplane w błocie.

Minęła chwila - nabrzmiała grozą chwila ciszy, w której zamilkli wszyscy i wszystko - nawet ptaki - po czym twarz

Ady zapadła się z bólu. Stewart zwolnił uścisk i Ada się podniosła. Uczyniła kilka chwiejnych kroków, nim się obróciła, żeby zobaczyć, co pozostało na pieńku. Była blada, ścisnęła pulsującą rękę, starając się powstrzymać upływ krwi. Zobaczyła, co Stewart zrobił - na pieńku leżał odrąbany jej palec wskazujący. Popatrzyła w niebo, zadając sobie pytanie, jak trafiła w to miejsce. Cała w błocie i krwi, zwróciła się instynktownie ku ścieżce prowadzącej do chaty George'a Bainesa. Zaczęła iść, jakby od tego zależało jej życie. Flora kwiląc dreptała koło niej. Ada, z twarzą koloru popiołu, przywołując wszystkie siły i całą godność, szła zataczając się, nie widząc. Potknęła się, upadła na kolana, zatopiła dłonie w szlamie, niepomna bólu. Spróbowała się podnieść, nim ostatecznie, jak tonący statek, osunęła się w błoto. Tylko jej wzdęte suknie unosiły się nad grzęzawiskiem.

- Mamusiu! - pisnęła Flora.

Stewart, z nieustającym łomotem serca w uszach, zawinął odcięty palec w białą chusteczkę. Wcisnął ją w dłoń pasierbicy, która cofnęła się ze zgrozą w oczach.

- Zaniesiesz to Bainesowi - polecił cichym, bezosobowym głosem. - Powiedz mu, że za każdym razem, jak spróbuje się zobaczyć z twoją mamusią, będę jej odcinał kolejny palec.

Flora puściła się pędem, ale zatrzymała się na moment koło leżącej matki.

- Biegnij! - krzyknął Stewart i dziewczynka pomknęła ścieżką.

Przez pierwsze dni George Baines z nadzieją czekał powrotu Ady, jednakże w miarę mijania długich godzin jego radosne uniesienie ustępowało miejsca gorzkiej pewności, że Ada nie przyjdzie. Baines nie jadł, nie spał i nie mógł sobie znaleźć miejsca. W końcu zrozumiał, że musi wyjechać.

W ramach smutnego rozstania z miejscem, gdzie tak długo i szczęśliwie żył, George Baines wyprawił się konno do Pa,

miasteczka Maorysów. U bramy otoczonego murem Pa, wybudowanego na brzegu szerokiej, leniwie płynącej rzeki, powitała go Hira. Nad wodą zwisały gałęzie zakorzenionych w żyznym mule drzew mangrowych, za nimi widniał rząd łodzi. Hira oznajmiła, że wszyscy przyjechali pożegnać Peiniego. Pa istniało od dawien dawna, stale odnawiane i odmładzane. Baines, zapraszany tu często, cenił sobie wielce przywilej bywania w tym świecie tak osobnym i odmiennym od jego świata. Zdjąwszy kapelusz, ruszył za Hirą.

Kiedy Baines dopełnił przyjacielskiego maoryskiego ceremoniału ściskania dłoni i pocierania nosów, Hira ujęła go pod ramię. W odpowiedzi Baines wsunął jej czule na głowę swój kapelusz, po czym zatopił rękę w jednej ze swoich głębokich kieszeni i wydobyl puszkę tytoniu, którą jej wręczył. Uśmiechnęła się.

- Będzie mi ciebie brakowało, Peini - powiedziała. - Jesteś jak my człowiekiem. - Westchnęła melancholijnie. - Pakeha nie mają serc, myślą tylko o ziemi.

Kiedy mówiła te słowa, zaczął kropić drobny deszczyk. Baines poczuł na twarzy jego dotyk. Przeszedł go dreszcz, jakby przeczucie. Otrząsnął się. W towarzystwie Hiry dotarł koło domu spotkań i niskich domów sypialnych do bramy Pa, gdzie przywiązany czekał cierpliwie jego koń.

- Nasi wrogowie sprzedają dzisiaj ziemię za karabiny. I my też musimy kupować karabiny. Musimy sprzedawać ziemię, żeby mieć się czym bronić.

Pokręciła głową nad niesprawiedliwością spotykającą jej lud. Baines przytaknął. Wiedział, że Hira mówi prawdę - myślał to samo. Otoczony przez grupkę żegnających, wspiał się na obładowanego konia. Mana, młodzieniec, który asystował Stewartowi przy groźeniu, jał się bezskutecznie przepychać do przodu, żeby ucisnąć Bainesowi dłoń. Baines spojrział na niego z wysokości konia i zobaczył w jego uchu

klawisz, z którego Mana zrobił sobie kolczyk. Biała kość słoniowa odbijała od jego czarnych włosów.

Baines klepnął konia, który wjechał między rozstępujących się niechętnie ludzi, zaskoczonych dziwnym zachowaniem Peiniego. Dotarłszy do Man, Baines wyciągnął rękę po klawisz, ale młody Maorys się cofnął.

- To moje - zaprotestował. - Znalazłem to. Baines pochylił się nisko z konia i zdjął delikatnie klawisz z ucha Man. Obróciwszy go w dłoniach, zobaczył napis.

- Homai ki au (Chcę to mieć) - rzucił z przejęciem. Wiedział, że podobnie jak on żaden z Maorysów nie umie czytać.

- To moje - wykrzyknął Mana, rozgniewany na Bainesa. - Znalazłem to.

- Co za to chcesz? - spytał Baines. - Mów. Tupeka?

Z grupki jęto wykrzykiwać rady, czego Mana ma żądać. Pasa Baines, jego butów, jego strzelby. Wkrótce przyłączyły się dzieci, wymieniając wszystkie przedmioty będące własnością Bainesa. Sam Baines czekał z niespokojnym uśmiechem.

Odjechał spod murów Pa bez kapelusza i strzelby, ze spodniami przewiązanymi kawałkiem konopnego sznura. W deszczu, który rozpadał się teraz na dobre, Baines tulił do piersi klawisz z napisem wyrytym przez Adę. Potarł kciukiem litery, wcisnął w wyżłobienia poduszeczkę palca, jakby w ten sposób, przez skórę, chciał wchłonąć ich sens. Skierował się prosto do jednoklasowej szkoły na skraju osiedla. Deszcz ustał, kiedy dojeżdżał do ogrodzenia dla koni.

Z izby szkolnej dochodził chór cienkich głosików, recytujących rozkład zajęć. Zajrzawszy do środka przez szparę w ścianie, Baines zobaczył rząd dziecięcych nóg, majtających się pod drewnianymi ławkami.

Wkrótce drzwi się otworzyły i po schodach wysypały się dzieci. Dziewczynki były w poplamionych fartuszkach, wszystkie dzieci miały za duże buty, z wyjątkiem jednego chłopca, którego brudne palce wystawały przez wycięte czubki za małych pantofli. Baines stał obserwując cztery dziewczynki, które zaczęły się spokojnie bawić skakanką zrobioną z pędów leśnej winorośli.

Zastanawiał się, do której z nich się zwrócić, kiedy na schodkach ukazała się mała dziewczynka, ściskająca wielką książkę. Odeszła na bok i usiadła nad krętym potokiem, przepływającym koło szkoły. Baines przysiadł koło niej. U ich stóp bulgotała woda.

- Umiesz czytać? - spytał.

Dziewczynka, o włosach zaplecionych w sztywne warkoczyki, podniosła się i odeszła bez słowa. Baines wstał i odprowadził ją wzrokiem. Mała zatrzymała się w bezpiecznej odległości, spojrzała na niego. Z drzewa, pod którym siedział, spuściła się jeszcze mniejsza dziewczynka.

- Ja umiem czytać - obwieściła piskliwym, wyraźnym głosem.

- Ty? - zapytał z powątpiewaniem Baines, bo dziewczynka wydała mu się bardzo mała.

- Tak... umiem czytać mnóstwo rzeczy.

Bawiące się dziewczynki porzuciły skakanie i otoczyły ich kołem.

- Ona nie umie czytać - oznajmiła pogardliwie jedna ze starszych dziewczynek. - To moja siostra, więc chyba wiem. - Wpatrywała się w otwarty słoik, który Baines trzymał w ręku. - To karmelki? - spytała.

- A właśnie, że umiem czytać! - upierała się z oburzeniem najmniejsza dziewczynka.

- Nie umiesz - zaprzeczyła jej starsza siostra. Baines wyciągnął słoik do małej.

- Pan jej nie daje, ona nie umie czytać - obstawała przy swoim starsza.

Baines pozwolił małej sięgnąć do słoika. Wsadzivszy przysmak do ust, dziewczynka rzuciła papierek na ziemię. Podniosła go natychmiast inna dziewczynka i powąchała.

- Mm, karmelki - oznajmiła podając papierek koleżankom.

- A ty umiesz czytać? - spytał Baines starszej siostry. Z coraz większym trudem powściągał niecierpliwość.

Podał klawisz starszej dziewczynce, która go wzięła z dumną miną. Pozostałe dziewczęta otoczyły ją ciasnym kołem, żeby lepiej widzieć. Dziewczynka, ze zmarszczonym czołem, obróciła klawisz na wszystkie strony.

- Łączone litery - zauważyła. - Jeszcze tego nie przerabialiśmy.

- Myrtle umiałaby to przeczytać - wtrąciła się inna dziewczynka. - Uczy ją mamusia.

Wyrwała klawisz starszej siostrze i wręczyła dziewczynce z książką, do której Baines się zwrócił jako pierwszej. Wszyscy przyglądali się urzeczeni, kiedy Myrtle zaczęła się biedzić nad tekstem.

- George...

Zatrzymała się. Wszystkie oczy skierowały się pytająco na Bainesa, który pokiwał zachęcająco głową.

- ... masz... - Do Myrtle przyłączyły się dwie inne dziewczynki. - masz...

- ...moje... - wtrąciła się starsza siostra.

- Nieprawda, to nie jest m.

- Owszem, m.

Dwie dziewczynki powtórzyły chórem:

- George, masz moje... Urwały.

- ... serce? - odczytała niepewnie Myrtle. Zrobiła zdziwioną minę, po czym dokończyła: - Ada McGrath.

- To bez sensu - oświadczyła największa z dziewcząt.

Mniejsze dziewczynki odczytały ponownie chórem napis. Myrtle obróciła klawisz na wszystkie strony, jakby spodziewając się znaleźć coś więcej.

- To wszystko - powiedziała spoglądając na Bainesa.

- Powtórz to jeszcze raz - poprosił Baines. - Ty sama.

Oczy zwróciły się ponownie ku Myrtle.

- George, masz moje serce. Ada McGrath. - odczytała dziewczynka i wzruszyła ramionami.

- Teraz ty - wskazał największą z dziewcząt Baines.

- George - jąła sylabizować dobitnie - masz moje serce. Ada McGrath.

Sama z siebie wyrecytowała napis następną z dziewcząt. Potem następną. Potem jeszcze następną. Przez cały ten czas Baines siedział z pochyloną głową, drżąc z niedowierzania i porażającego szczęścia. W końcu wybuchnął głośnym śmiechem ulgi i radości. Dziewczynki przyłączyły się, uznając, że napis jest dowcipem. Powtarzały zdanie raz po raz, a każde powtórzenie przejmowało Bainesa nowym paroksyzmem szczęścia. Korzystając z ogólnego zamieszania, najmniejsza z dziewcząt raczyła się spokojnie karmelkami.

W tym czasie Alisdair Stewart, ciotka Morag i Nessie dźwigali przez bajoro, między wypalonymi kikutami drzew, nieprzytomną Adę w sukniach ciężkich od błota i krwi. W domu kobiety ściągnęły z niej odzież, po uprzednim rozcięciu nożyczkami rękawów. Obie miały twarze i suknie umazane niewiele mniej niż Ada, obie były do głębi wstrząśnięte.

- Mój Boże - lamentowała ciotka Morag - co za wypadek!

Obnażone ręce Ady wydawały się takie cienkie i kruche, bladospiny kolor jej skóry był zatrważający.

- I pomyśleć, że wcale nie musiała rąbać tego drzewa.. Jeśli nie umrze z upływu krwi, to na pewno dostanie

pneumonii. Ciepłej wody! - zawołała ciotka Morag do Stewarta. - Jest cała w błocie. - mruknęła mrocznie.

- Biedaczka - dorzuciła Nessie, która ledwo widziała przez łzy. - Biedaczka!

Do sypialni wszedł Stewart z gorącą wodą. Był wyciszony, trwożny, przyglądał się bezradnie, niezdolny do pomocy.

- Jazda stąd! - powiedziała ciotka Morag wypychając go z pokoju. - Ta ponura mina na pewno jej nie uzdrowi.

Stewart wyszedł, zamknął za sobą drzwi. Ciotce powiedział, że Ada się poślizgnęła rąbiąc drzewo. On pracował gdzie indziej, znalazł ją leżącą w błocie i bez zastanowienia pobiegł po pomoc. Kłamstwo stało mu kością w gardle, nie był go w stanie przełknąć. Wszystko to zrobiło się nie do zniesienia.

Podczas gdy Morag przemywała ciepłą wodą ranę Ady, Nessie darła płótno na bandaż. Ada była teraz półprzytomna, powieki jej drgały, wargi się poruszały, jakby chciała coś powiedzieć.

- Popatrz na jej usta - zauważyła nagle Morag. - Zupełnie jak gdyby opowiadała jakąś historię.

Nessie z wielką ostrożnością i czułością zaczęła rozczesywać Adzie włosy. Głaskała ją jak małą dziewczynkę. Adą wstrząsnął deszcz.

- Może ją otulić pledem? - spytała Nessie. - Przemarzła na tym deszczu.

- Tak, tak, otul ją koniecznie - odparła Morag. Nessie opatulila Adę. Dwie kobiety wpatrzyły się w jej białą udreńczoną twarz, naznaczoną cierpieniem. Nessie ponownie pogłaskała jej czarne włosy.

- Takie miękkie. Takie delikatne.

- Jedno z trudnych dzieci bożych - zawyrokowała Morag.
- Ale czuje się w niej Jego obecność. To przerażające jak burza.

O zmierzchu George wracał do chaty, pijany szczęściem. Powtarzał na głos miłosne przesłanie Ady, jej słowa dźwięczały mu w uszach jak słodki refren. Na ustach miał uśmiech, kiedy koń wspinał się krótkim kłusem po ostatnim zboczach. W tym momencie ujrzał biegnącą mu naprzeciw Hirę ze zmienioną twarzą.

- Peini, Peini, ta mała Flora! Przyleciała tutaj z płaczem!

George zsunął się z siodła i ruszył biegiem.

- Jest cała we krwi, wygląda strasznie. Strasznie - powtórzyła Hira.

Drzwi chaty stały otworem. George wbiegł po schodach, Hira za nim. W kącie izby kulila się Flora. Twarz miała kredowo białą, zapłakaną, umazaną błotem, była przemoknięta do suchej nitki. George podbiegł do miejsca, gdzie siedziała skulona pod ścianą.

- Co się stało? - Odgarnął jej włosy z twarzy. - Ci! - Powiedz! Co?

Flora podała mu makabryczne zawiniątko. George wziął przesiąkniętą krwią chusteczkę, rozwinął ją i ujrzał odrąbany, drobny palec Ady.

- Jak pan się z nią jeszcze raz zobaczy, to on ją porąbie na kawałki! - wykrztusiła Flora między jednym szlochem a drugim, zasłaniając oczy przed widokiem zawartości chusteczki.

- Jak to się stało? - zawołał z furią George, unosząc dziewczynkę za ramiona.

Flora próbowała się oswobodzić, ale jego uścisk był mocny. Drąc się wniebogłosy, wyrwała się w końcu i zaczęła uciekać.

- Odpowiadaj! - krzyknął George biegnąc za nią. Dopadłszy jej, zaczął nią potrząsać. - Gdzie ona jest, gdzie ona jest? - powtarzał. Podniósł do góry dziewczynkę, która zanosila się teraz cienkim, urywanym szlochem. - Ci - i! - Potrząsnął nią ponownie. - Uspokój się! Gdzie mamusia?

- Odrąbał jej palec! - pisnęła wśród szlochów Flora.

- Co mu powiedziała? - wciąż krzyczał George. - Co mu powiedziała?

Podeszła Hira i uwolniła Florę z rąk Bainesa.

- Przecież to dziecko! - napomniała go i jęła tulić dziewczynkę, szeptać jej kojące słowa, odgarniać mokre włosy z wystraszonej buzi.

- Rozwałę mu głowę! - wykrzyknął George głosem pełnym rozpacz i gorzkości.

- Nie, nie! - jęła szlochać na nowo Flora. - On ją porąbie!

George, jęcząc, zaczął z bezsilnej wściekłości tłuc pięściami w pień pobliskiego drzewa.

Tej nocy las szemrał cicho, przekrzykiwały się cykady i ptaki nocne. Alisdair Stewart wszedł do pokoju Ady McGrath, postawił świecę na stoliku nocnym. W migotliwym świetle zapatrzył się w połyskującą kropelkami potu twarz żony. Włosy miała przyklejone do policzków i szyi, wargi suche, spękane.

- Przebrała się miarka - powiedział cicho. - Nie pozwolę, żebyś mu posyłała wyznania miłosne, nie pozwolę. - Pogroził jej palcem. - Sama myśl o tym doprowadza mnie do szału. - Szukał przez chwilę słów, próbując opanować wzburzenie. - Chcę cię kochać - wyznał śpiącej żonie. Podciąłem ci tylko trochę skrzydła.

Stewart jął głaskać czoło, policzki żony. Gdzieś z głębi jego pamięci wypłynęły słowa ballady miłosnej.

- Będziemy na wieki ze sobą, szczęśliwi, ty ze mną, ja z tobą - zanucił półgłosem.

Ada poruszyła się we śnie, odsunęła jego dłoń z twarzy. Czoło miała rozpalone, drgnęła niespokojnie pod przykryciem.

- Gorąco ci? - spytał. - Moja słodka gołąbeczko!

Uchylił pledu, żeby jej było chłodniej. Koszula nocna, mokra do potu, przywarła jej do ciała, obandażowana prawa ręka leżała na brzuchu. Ściągając niżej okrycie, chcąc jej ulżyć, Stewart ujrzał górną część jej nogi, obnażone mleczone wnętrza uda. Odchylił delikatnie nogę, wsunął dłoń i zaczął gładzić jej skórę. Zelektryzowało go rozchodzące się spod palców uczucie błogości. Pochylił się, zatopił twarz między jej nogami, wciągnął głęboko powietrze, przysunął wargi.

Ada poruszyła się znów przez sen. Patrząc jej w twarz, Stewart sięgnął dłonią coraz głębiej pod koszulę. W głowie zaświtała mu straszliwa myśl, którą próbował odepchnąć, ale której, raz zrodzonej, nie mógł się oprzeć. Przyjrzał się uważniej twarzy Ady, wciąż nieprzytomnej, rozgorączkowanej. Ukradkiem rozpiął sprzączkę paska i ostrożnie rozchylił nogi żony. Kiedy pochłonięty swoim zadaniem, chciał się na niej położyć, spojrzał jeszcze raz w jej twarz, i ku swemu wstydnemu i zgrozie, stwierdził, że ma oczy otwarte i przygląda mu się doskonale trzeźwym wzrokiem. Bez słowa, oddychając szybko, Stewart się cofnął, spieszenie obciągając na Adzie koszulę.

- Czujesz się lepiej? - spytał jakby nigdy nic.

Wargi Ady się poruszyły. Raptem pewien, że coś słyszy, Stewart wpatrzył się z napięciem w jej twarz, przysunął ucho do jej warg. Ich oczy się zwały.

- C - co?...

Zamrugnął od dźwięku własnego głosu. Wpatrzony w nią, miał wrażenie, że docierają do niego jej słowa, tak dalekie i słabe, że trzeba mu niezmiernego skupienia i wysiłku, żeby je dosłyszeć. I kiedy tak na nią patrzył, jego własna twarz się

odmieniła. Oczy napełniły się łzami, zacięte wargi rozluźniły, rysy ułożyły na dokładne podobieństwo rysów Ady.

Świeca falowała, rzucając na ich twarze pulsujący blask. Stewart przysunął się bliżej warg Ady. Wiatr dudnił teraz na dworze, tarł gałęzią o gałąź, naśladując skrzypienie piły. Stewart przywarł jeszcze bliżej, cały zamieniony w słuch.

Po chwili wstał, naciągnął płaszcz, wziął latarnię i strzelbę. Minąwszy widmowe kikuty wypalonych drzew, ruszył przez las ścieżką prowadzącą do chaty George'a Bainesa. Na jego werandzie przestąpił przez skuloną postać śpiącej Hiry i wkroczył do izby, gdzie jeszcze palił się ogień. Nad blachą suszyło się wyprane, ociekające wodą ubranie Flory. Podszedłszy do łóżka, zobaczył owiniętą w pled Florę, a obok niej Bainesa z siekierą w dłoni. George i dziecko głęboko spali.

Obudził Bainesa szturchnięciem kolby pod brodę. Baines poderwał się i zastygł na widok Stewarta ze strzelbą. Stewart przyglądał się rywalowi, lustrując go w migotliwym blasku ognia.

- Odłóż to - polecił wskazując siekierę. - Na podłogę.

Powiedział to cicho i spokojnie, ale wyraz jego twarzy oscylował między trzeźwością a szaleństwem. Baines usłuchał. Trwało chwilę, nim Stewart zaczął wolno mówić.

- Patrzę tak na ciebie. Twoja twarz stała mi długo przed oczami, nienawidziłem jej. A teraz na nią patrzę i ... nic. - Stewart przesunął strzelbę spod brody Bainesa na jego skroń. - Masz ten sam tatuaż na twarzy, patrzysz na mnie tymi samymi oczami i, - tak, - tak, nawet mnie się trochę boisz. - Stewart roześmiał się, zabrzmiało to groźnie. - Sam widzisz! - powiedział. - Wstawaj!

Baines podniósł się, ostrożnie, żeby nie obudzić Flory, która wciąż spała. Nie czuł strachu. Klawisz z cudownym wyznaniem Ady był bezpieczny pod poduszką.

- Czy Ada do ciebie kiedyś mówiła?
- Językiem migowym? Stewart pokręcił głową.
- Nie, słowami. Słyszałeś od niej kiedyś słowa? Baines popatrzył podejrzliwie.
- Nie, słów nie.
- Nigdy ci się nie wydawało, że słyszysz słowa? Baines potrząsnął głową. Stewart podniósł dłoń do czoła
- Do mnie przemówiła. Słyszałem ją tutaj. - Położył dłoń między brwiami. Oczy miał szeroko otwarte. - Słyszałem jej głos w swojej głowie. Śledziłem jej wargi, nie wypowiedziała słowa. A jednak... im pilniej słuchałem, tym wyraźniej ją słyszałem. Równie wyraźnie jak teraz własny głos.
- Słyszałeś wymawiane słowa?
- Nie, ale jej słowa przenikały mi do mózgu. - Stewart milczał chwilę. - Wiem, co powiesz, że to jakaś sztuczka, że wszystko zmyślam. Ale nie! To, co słyszałem, to były jej słowa.
- Jakie słowa?
Baines nie wiedział, czy przez Stewarta przemawia cierpienie, czy szaleństwo, ale tak czy inaczej, chciał to usłyszeć. Nigdy nie spodziewał się ujrzeć Stewarta, w stanie w jakim miał go w tej chwili przed sobą. W tym sztywnym mężczyźnie o szeroko otwartych oczach dostrzegł kogoś takiego jak on sam - bezbronego, wyzbytego nadziei, złamanego nieszczęśliwą miłością. W tej chwili Baines go niemal kochał.
Steward podniósł wzrok, jakby zbierał myśli dla dokładnego powtórzenia czegoś, czego się wyuczył na pamięć.
- Powiedziała: "Boję się własnej woli, tego, do czego może doprowadzić. Jest taka silna i nieobliczalna".
Powiedziała: - Stewart zawahał się, pokiwał głową - "Muszę

stąd odejść. Pozwól mi odejść. Pozwól Bainesowi mnie zabrać".

- Ukaraleś ją niesłusznie - wybuchnął Baines. - To wszystko była moja wina.

Stewart nie odpowiedział.

Flora poruszyła się we śnie, westchnęła. Czoło jej się zmarszczyło, potem rozpogodziło, powieki zatrzepotały, oczy błysnęły w jedną, w drugą stronę. Coś jej się śniło.

Stewart, z oczami pełnymi łez, zaczął mówić dalej:

- Zrozum mnie, przyszedłem tu dla niej, dla niej... Nie wiem, czy się za chwilę nie obudzę, czy to nie sen, że tu z tobą rozmawiam. Kocham ją. Ale co z tego? Jestem jej obojętny. Chcę, żeby zniknęła. Chcę, żebyście oboje zniknęli. Pragnę się przebudzić i stwierdzić, że wszystko to był sen. Oto czego pragnę. - Stewart pokiwał głową, jakby dla przypieczętowania swoich słów. - Chcę czuć, że nie jestem tym człowiekiem, który tutaj stoi. Chcę być tym, kim byłem dawniej.

Ada nie spała. Wiedziała, że Alisdair Stewart poszedł do George'a Bainesa. Utraciła dużo krwi i miała świadomość, że w obecnym stanie jest bezsilna. Dławił ją strach, czy Stewart nie zabije George'a. Na myśl o tym chłód zmroził jej duszę.

ROZDZIAŁ 11

Wówczas, w domu ojcowskim, Ada wiedziała od razu, że jest brzemienna. Rozpoznała nieomylnie oznaki, chociaż nikt jej nigdy o tych sprawach nie mówił. Wychowana bez matki, doszedłszy do wieku pokwitania, została jedynie uspokojona przez rzeczową służącą, że nie ma obaw, i że na pewno nie wykrwawi się na śmierć. Teraz, z niewzruszoną pewnością, odgadła, co te zmiany zwiastują.

Po owej nocy w pokoju muzycznym Delwar Haussler zrejterował z domu McGrathów. Kiedy Ada go pożegnała pocałunkiem wczesnym rankiem w dzień Bożego Narodzenia. Delwar wrócił do siebie, i spacerował po pokoju, dopóki nie usłyszał, że dom się zaczyna budzić. Odczekał, aż dobiegł go z kuchni głos Wystona McGratha wydającego dyspozycje świąteczne. Naciągnął surdut i aksamitną czapkę, w której przybył przed dwoma laty bez mała, i zszedł na dół, ze starannie wykaligrafowanym listem rezygnacyjnym w dłoni.

- Co to? - huknął Wyston przyjmując Delwara w swoim gabinecie.

Pomacał palcami zalakowane pismo, które nauczyciel mu wręczył.

- Proszę odpieczętować - odrzekł Delwar. - To mój list rezygnacyjny.

Wyston nachmurzył się. Pomyślał o małej Adzie. Serce jej pęknie z żalu bez tych lekcji.

- Źle panu u nas?

- Pragnę wrócić do rodziny - Delwar urwał w poszukiwaniu przekonującej wymówki. Chciałbym się też ożenić.

Wciągnął głęboko powietrze, zaskoczony swoim kłamstwem i zdumiony własną bezczelnością. Wiedział, że ożenek z Adą nie wchodzi w rachubę, a zarazem był w tej

chwili przekonany, że myśl o żeniaczce z kimś innym nie powstanie mu nigdy w głowie.

- A - a - wymamrotał Wyston. Byle co wprawiało go w zakłopotanie. No, w takim razie ... Kiedy zamierza pan wyjechać?

- Dzisiaj, proszę pana.

- A - a - powtórzył ojciec Ady, znów zbity z tropu. Po czym przypomniało mu się. - Przecież dzisiaj jest Boże Narodzenie. Nie znajdzie pan żadnego środka lokomocji.

- Podejdę kawalek piechotą.

- W dzień Narodzenia Pańskiego? Kiedy się zbiera na śnieg?

Wyston wstał, uznał, że nauczyciel oszalał.

- Tak.

- Jak pan sobie życzy. - Nie jego rzeczą jest odwodzenie młodego człowieka od szaleństwa. - Dobrze się pan u nas zapisał. Niech pan poczeka, wystawię panu rewers na bank. Wyston zdecydował, że jeśli chłopak oszalał, to lepiej będzie się go pozbyć. - Może chciałby pan pożegnać się z Adą. Każę ją obudzić.

Podniósł rękę, żeby zadzwonić na pokojową.

- Nie, nie - zaprotestował śpiesznie Delwar. - Z pewnością jeszcze śpi. Nie chciałbym zakłócać jej spoczynku taką wiadomością.

- Wobec tego ja mam ją o tym powiadomić, tak? Hm, hm. Bardzo zmyślnie pan to sobie wykalkulował. Delwar oblał się rumieńcem na oskarżenie pryncypała.

- Pójdę zebrać rzeczy. Po resztę przyślę najbliższą okazją.

- Niech tak będzie - burknął Wyston. - Niech tak będzie.

Zostawię panu rewers na stoliku w sieni.

- Dziękuję panu - powiedział Delwar wycofując się z gabinetu. - Pańska córka obdarzona jest znakomitym talentem.

- Mrocznym talentem - odrzekł Wyston. - Tak ja to przynajmniej widzę.

Jednakże Ada nie spała. Wróciwszy do siebie, nie mogła zasnąć, podekscytowana koncertem wigilijnym i pieszczotami Delwara Hausslera. I ona spacerowała po pokoju, ściskając ramionami ciało i rozpamiętując wszystko, co się wydarzyło. Rano ubrała się wcześniej i zeszła do kuchni, gdzie ją poinformowano, że ojciec jest w gabinecie. Ruszyła na palcach korytarzem. Rozpierające ją szczęście potęgowało rumieniec zdrowia na jej policzkach. Szła z podniesioną głową, wyprostowanymi plecami, ściągniętymi łopatkami.

Zatrzymała się słysząc w kancelarii głosy. Tknęło ją złe przeczucie. Zamiast wejść z życzeniami, w nastroju świątecznej radości, ukryła się za uchylonymi drzwiami. Słyszała tu każdziutkie słowo niegodnego pożegnania Delwara Hausslera. Postanowiła nie przerywać tej straszliwej rozmowy tak jak w wieku sześciu lat narzuciła sobie niemówienie. Zaciskając zęby, żeby nie wyrwał się jej jęk, stała za drzwiami nieruchomo jak posąg. Prawie nie oddychała, serce biło zwolnionym rytmem w jej drobnym ciele. Pozostała ukryta za drzwiami, gdy Delwar Haussler poszedł na górę zabrać rzeczy. Trwała bez ruchu, gdy jej ojciec wynurzył się z gabinetu i położył na stoliku przy wyjściu rewers na pobory preceptora. Nie ruszyła się, dopóki Delwar Haussler nie zbiegł po schodach, nie wziął ze stolika koperty i nie zamknął za sobą drzwi wyjściowych.

Ciąża przebiegła normalnym trybem. Sylwetka Ady zmieniała się proporcjonalnie do jej wzrostu i wagi.

Pierwsza zauważyła zmianę służąca, która piorąc jej rzeczy, stwierdziła, że pewne części garderoby puszczają w szwach. Przypomniała sobie od razu, że Ada McGrath nie miała ostatnio swojego krwawienia. Kiedy służba roztrząsała to już przez wiele dni w kuchni i w ogrodzie, Ada, jeśli nawet

była tego świadoma, nie dawała nic po sobie poznać. Miała złamane serce, lecz tego także nikt nie potrafił zauważyć. Nadal spędzała popołudnia w pokoju muzycznym. Przez pewien czas grywała w pojedynkę duety, gdyż jakoś opowiadały jej nastrojowi, w końcu jednak, znużona ich kalekim brzmieniem, powróciła do dawnego sposobu muzykowania i jak dawniej spędzała długie godziny na improwizacjach nieskończenie teraz wzbogaconych dzięki długim miesiącom nauki.

Zadanie powiadomienia pana domu o odmiennym stanie jego córki wzięła na siebie ostatecznie stara służąca. Z samą Adą nikt nie miał odwagi tematu poruszyć. Panienska zrobiła się jeszcze bardziej wyniosła i nieprzystępna niż zazwyczaj.

- Co? - wykrzyknął Wyston, aż echo poszło po całym domu.

Ada, która grała w pokoju muzycznym, zrobiła pauzę między frazami, domyśliwszy się, co to oznacza. Po chwili podjęła przerwana melodię.

Wyston był zbyt stropiony rewelacją, by porozmawiać bezpośrednio z córką. Zlecił to adwokatowi Beadsleyowi. Beadsley udał się do Ady z zamiarem palnięcia jej kazania i udzielenia ojcowskiej reprimendy. Liczył, że ujawni ona osobę sprawcy i coś będzie można zaradzić, zaaranżować małżeństwo albo w najgorszym przypadku uzyskać zadośćuczynienie. Oczywiście jednak Ada nic nie zdradziła. Odpychała za każdym razem kartkę, którą Beadsley jej podsuwał i ostatecznie nie napisała ani słowa. Zdesperowany Beadsley wrócił do Wystona McGratha z wieścią, że nie udało mu się nic wskórać. Dziewczyna zacięła się w milczeniu i żadne perswazje nie są w stanie przełamać jej uporu. Mężczyźni postanowili, że Ada nie będzie opuszczała domu do końca ciąży. Nikomu nie będzie się nic mówiło, chociaż oczywiście wszyscy i tak będą wiedzieli. Nie podejmie się

dalszych usiłowań ustalenia tożsamości ojca. Może - wyraził nadzieję Beadsley - nikczemnika ruszy sumienie i sam się w końcu zgłosi.

Od tej pory Wyston McGrath zachował całkowite milczenie o sprawie. Przyglądał się tylko niemo, jak córka robi się coraz grubsza. Niektóre starsze osoby ze służby utrzymywały nawet, że chwilami córka myli mu się ze zmarłą żoną, że jego zmacony umysł cofa się do lat, gdy Cecylia nosiła nie narodzoną Adę. W mieście znaleźli się ludzie, którzy się posuwali do szeptanych półgębkiem insynuacji, że to sam Wyston zmaistrował Adzie dziecko. Większość domyślała się jednak trafnie, kto jest ojcem, i plotki o nagłym zniknięciu preceptora krążyły po ulicach Aberdeen. Niektórych gorszył widomy brak reakcji McGratha - czemu nie czynił on nic dla odnalezienia młodego człowieka i przyparcia go do muru? Inni uważali, że McGrath nie chce się zniżyć do przyznania, iż jego córka miała romans z nauczycielem, w dodatku zwykłym muzykantem i to miernego talentu.

Sami McGrathowie trwali w milczeniu głuchym i uporczywym. Wyston traktował córkę z rosnącą czułością. Przestał boleć nad jej panieńskim stanem i czasami bawił się myślą, że poczęła aktem woli, której moc była mu dobrze znana. Kiedy nadeszła jej pora, zamknął się w gabinecie i krążył przez całą długą noc. Poród wymęczył Adę; obawiano się, że jej miednica może się okazać zbyt wąska, żeby dziecko narodziło się normalnie. Jednakże po przybyciu lekarza rozwiązanie nastąpiło szybko. Niezwłocznie przekazano Wystonowi wieść o przyjściu na świat wnuczki. Dziewczynka! Och, jakże przypominało mu to Cecylię! Drżał, czy jego córkę nie spotka ten sam los, co jego żonę, ale lekarz, stary przyjaciel, zapewnił go o mocnej konstrukcji Ady.

Wystonowi nie sprawiło trudności przyjęcie z otwartym sercem wnuczki, natomiast Aberdeen okazało się mniej wielkoduszne, zmuszając Adę do przejścia na prawie pustelniczy tryb życia. Początkowe parę próbnych wizyt z dzieckiem w kościele zostało powitane ironicznymi spojrzeniami i ogólnymi szeptami, tak, że Ada przestała na dobrą sprawę opuszczać majątek. Pastor oświadczył, że nie może ochrzcić niemowlęcia, w rezultacie czego McGrathowie zerwali więzi z parafią. Wystonowi, człowiekowi konwencjonalnej wiary, przysporzyło to wielkiego bólu, na Adzie natomiast nie zrobiło to specjalnego wrażenia. Pochłaniało ją dziecko, śliczne z maciupkami rączkami i nóżkami. Leżało w plecionej kołysce pod fortepianem, kiedy grała, zazwyczaj naciskając pedał jedną nogą, a kołyskę bujając drugą.

Śledzenie, jak dziecko rośnie, sprawiało jej wielką radość. Sama szybko wróciła do sił i nie odczuwała w nowym życiu pustki. Czasami jednak cierpiała nocami na bezsenność, nie związaną z potrzebami niemowlęcia. Myślała wówczas o Delwarze Hausslerze, rozpamiętywała jego pieszczoty. Ucieczką wykazał, że jest tchórzem. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni w obliczu niepożądanych konsekwencji zachowują się podobnie. Nie miała mu za złe, że nie poprosił o jej rękę, nie bolało jej już nawet, że do niej nie napisał czy choćby nie zostawił liściku z wyjaśnieniem, dlaczego odchodzi. Nadal tęskniła jednak do jego gry, pragnęła móc znów siedzieć obok niego i móc go słuchać.

Mijały lata, Flora rosła, Ada osiągnęła pełną dojrzałość. Wyston ponownie odwlekał z miesiąca na miesiąc nieuniknioną wizytę swoich niezamężnych siostr, Patrycji i Ethel, bojąc się ich dociekań i niechybnego potępienia. W Aberdeen, jak w każdym mieście, nadal strzepiono sobie języki. Brak wiarygodnych informacji wzmagił fantastyczne

plotki, jak wiatr podsycy żarłoczny ogień. Pewnego razu, gdy Flora miała siedem lat, Ada wybrała się z nią do miasta w poszukiwaniu prezentu urodzinowego dla Wystona. Ni stąd, ni zowąd zastąpiła im z obłudnym okrzykiem drogę jakąś jejmość i w chrześcijańskim oburzeniu splunęła przed nie na trotuar.

Usłyszawszy o tym, Wyston powziął myśl, by umieścić w prasie kolonialnej inserat matrymonialny dotyczący córki i wnuczki. Ta właśnie notatka wpadła w oko Alisdairowi Stewartowi o wiele tysięcy mil od Aberdeen, w Nowej Zelandii, tropikalnym zwierciadle Wielkiej Brytanii, i doprowadziła do wyprawienia Ady McGrath w daleką drogę na spotkanie z nim.

Ada, ubrana do drogi, lecz jakby znowu w lunatycznym śnie, wyszła z domu Alisdaira Stewarta w świetle poranka. Jej umysł nie był ciągle w stanie objąć wszystkiego, co się wydarzyło. Maorysi wynosili jej kufry i walizy. W drzwiach stały ciotka Morag i Nessie, wzburzone i zgorzone straszliwym obrotem spraw.

- Boże, mój Boże! - mamrotała pod nosem Morag.

W głębi duszy były w gruncie rzeczy rade, że Ada odjeżdża. Alisdair nie będzie już nigdy taki jak kiedyś. Ta kobieta skrzywdziła go i okaleczyła w jakiś sposób - co do tego nie miały wątpliwości.

Ada nie przejmowała się, co sobie myślą ciotka Morag i Nessie. Sama została dostatecznie okaleczona. Wyszła ostrożnie z domu, mrużąc oczy, jakby od tygodni nie oglądała światła dziennego. Flora czekała z George'em, oboje odświętnie ubrani. Flora miała zawiązany pod brodą niebieski czepeczek, George był w granatowym surducie. Obejmował Florę opiekuńczym ramieniem. Dziewczynka, przejęta dreszczem na widok ręki matki na temblaku, trzymała się jego nogawki. Alisdair Stewart gdzieś przepadł. Adzie, ubranej na

czarno, jakby była w żałobie, wymykały się spod czepka rozpuszczone włosy - nie mogła ich zapleść okaleczoną ręką, zresztą przestała o to dbać. Maorysi, zerkając na Adę, wymienili między sobą uwagi, pakeha milczeli.

Na długim szlaku prowadzącym do plaży, przez wysokie konary drzew kauri prześwitywało słońce. George odciągnął Adę na bok i w milczeniu zajrzał jej żarliwie w zranione ciemne oczy. Zdjął kapelusz i na oczach całej kompanii, jakby dla przypieczętowania wszystkiego, co się dokonało, pocałował ją w usta z nieskończoną czułością i żarliwością. Ada przyjęła pocałunek bez wrażenia. Brutalne wydarzenia minionych dni wprawiły ją w otepienie. Była upokorzona i apatyczna.

Na plaży, tej samej, na której wylądowały ledwie trzy miesiące temu, Ada usiadła na kufrze. Flora ją delikatnie zaplatać włosy, mając nadzieję, że jak je doprowadzi do porządku, matka poczuje się lepiej. George uzgodnił z Maorysami, że ich przetransportują na nowe miejsce osiedlenia. Ładowali więc teraz, rzeczy na swoją olbrzymią, ozdobnie rzeźbioną łódź oceaniczną, wciągniętą do połowy na piasek. Na końcu załadowali fortepian.

Flora starannie nałożyła Adzie z powrotem czepki, po czym obie zostały podniesione i umieszczone w łodzi, która ciągle stała na piasku. Przed nimi niebezpiecznie balansował fortepian. Przy mocowaniu go pomagał George. Pod stopami matki i córki pozostały grube zwoje przytrzymującej go liny.

- Taramaharawa, aiane takuri ai (Jest za ciężki, łódź się przewróci) - ostrzegł wioślarz Kamira.

- Keite pai! Kaare e titahataha ana (Wszystko będzie dobrze! Jest równo ustawiony) - uspokoił George Baines.

- Peini, tylko szalenie zabierałby taki ciężar.

- Ada go potrzebuje, musi go mieć - odparł George.

W końcu wszystko było gotowe i Maorysi, po sześciu z każdej strony, jęli z rytmicznym śpiewem spychać łódź na wodę. Zostawiła po sobie głęboką bruzdę w piasku. Na brzegu stała samotnie przyjaciółka George'a, Hira. Nie kryjąc łez ciekących po policzkach, śpiewała Peiniemu pieśń pożegnalną.

He rimu teretere koe ete, Peini eeeii,

Tere ki tawhiti ki pamamao eeeii.

He waka teretere, He waka teretere,

Ko koe ka tere ki tua whakarere eeeii.

Dryfuj na fali jak morska trawa, Peini - i,

Dryfuj daleko poza widnokrąg, eiji i.

Łódź stąd odpływa i tu powraca, eiji - i,

Ty gdy odpłyniesz, już nie powrócisz, eiji - i.

Wyłynawszy na morze, Maorysi, nie przerywając śpiewu, wiosłowali żywo na krótkiej fali. Obciążona łódź, zanurzona bez mała po wręby, była kruchą łupiną na niezmiernym oceanie. Flora, żeby nie dostać torsji, wpatrywała się w odległy horyzont. George ujął czule nieokaleczoną dłoń Ady. Wiedział, że chore są jej dusza i ciało, lecz ufał, że czas i muzyka powoli przywrócą im zdrowie.

Niespodziewanie jednak oczy Ady przybrały barwę stali. Uwolniła dłoń z uścisku Bainesa i zasygnalizowała coś Florze. Flora, zdumiona, popatrzyła na matkę, potem na Bainesa.

- Co powiedziała? - spytał George.

- Powiedziała: "Wyrzućcie fortepian za burtę".

- Jest bezpieczny, nie ma obawy.

George sądził, że Ada szuka pociechy. Ada poczyniła jednak nową serię ponagląjących znaków.

- Nie chcę go - przetłumaczyła zdecydowanie Flora. - Mówi, że jest skalany.

- Mam brakujący klawisz. Każę go naprawić. George wyciągnął w kieszeni na piersi słupek z kości słoniowej z wyrytym na nim napisem. Lecz Ada potrząsnęła głową kategorycznie, z determinacją wskazując na instrument. Posłyszał to wioślarz Kamira.

- Ona ma rację - wtrącił się. - Wyrzucicie fortepian, to trumna.

Ada podniosła się, George pociągnął ją z powrotem na ławkę.

- Proszę cię, Ado. Będiesz tego żałowała. To twój fortepian. Chcę, żebyś go miała, Ado!

- Ona go nie chce - powtórzyła Flora. - Wyrzucicie go.

Ada wstała i jęła szarpać liny przytrzymujące fortepian.

- Usiądź! - powiedział ostro George. - Dobrze, skoro tak nalegasz wyrzucimy go.

Chyba zrozumiał: fortepian jest skalany, ona jest skalana, nigdy nie będzie już tak, jak było. Należy się go pozbyć.

Kiedy Maorysi zaczęli odwiązywać fortepian, Ada siedziała zapatrzona w przezroczystą turkusową wodę, przebierając w niej palcami, rozmyślając, co się kryje w odmętach. Widziała, jak mężczyźni unoszą i przechylają deski, na których stoi fortepian. Instrument zsunął się siłą bezwładności, wzniosła się wielka fontanna wody, łódź zachybotła się niebezpiecznie. W ślad za fortepianem zaczęły się rozkręcać zwoje liny. Ada śledziła ich węzłowe ruchy i raptem, z owej fatalnej ciekawości, przekornej i nieobliczalnej, która ją zawsze cechowała, wsunęła w liny stopę. Czyż nie powinna podzielić losu fortepianu? Czyż nie stanowi z nim jedność?

Lina zacisnęła się, szarpnęła ją za kostkę i porwała do morza, ciężar fortepianu pociągnął ją w zimną otchłań. Z otwartymi oczami osuwała się coraz głębiej, z ust uchodziły jej bańki powietrza, wzdymały się pod nią suknie. Maorysi,

którzy wskoczyli natychmiast do wody, nie mogli jej dosięgnąć. Mijały długie chwile.

Ada wpatrywała się w ciemność oceanu. W wodzie nie słycać dźwięków, stwierdziła wciągana w niezmierzona głębie, a milczenie zaciąży w końcu kaźdemu. Spojrzała w góre, na swoja podniesiona zabandażowana reke, na mętniejące światło dnia, na ledwo majaczące dno łodzi, na gęstniejący mrok. Czula dookoła wielka cisze.

I nagle dokonala wyboru.

Podjela walke. Zaczela wyrywac noge. Jednakze lina, naprzona bezmiernym cięzarem fortepianu, trzymala ja mocno za kostke. Siegnela reka, szarpała daremnie z calych sil. Dopiero druga noga uwolnila stope z wysokiego buta, który, teraz juz pusty, nie przerwal swego bezglosnego zjazdu na dno w slad za fortepianem.

Nagle oswobodzone, lekkie i wolne ciało Ady sprężyło się do powrotnej wspinaczki w góre. Pochwycona i wydobyta na powierzchnię przez nurkujących Maorysów, wciągnęła spazmatycznie powietrze. Już po chwili znalazła się w ramionach George'a

Cóż by to była za śmierć!

Cóż za wydarzenie!

Cóż za zaskoczenie!

Ale moja wola wybrała życie!

Najadłam się jednak strachu.

Inni też.

EPILOG

Lekka bryza wydymała muślinowe firanki. Ada, z głową okrytą czarnym woalem, spacerowała tam i z powrotem po balkonie. Ćwiczyła nienawykłym gardłem spółgłoski, tak jeszcze nieporadnie, że się ich wstydziła. Dawała teraz w Nelson lekcje gry na fortepianie. George skonstruował jej metalowy palec, który czynił z niej dziwowisko całego miasta, ale spełniał swoją rolę.

George kupił piękny dom za resztę z wielorybnictwa, pieniędzy pozyskanych z tego samego morskiego żywiołu, z którego ocalona została owego pamiętnego dnia Ada. On sam założył w porcie placówkę handlową, wykorzystując swoje kontakty zarówno z wielorybnikami, jak i z Maorysami. Flora poszła pierwszy raz do szkoły stukając bucikami sprowadzonymi z Anglii. Z początku wiedli we troje życie trwożne i niepewne jak ocaleni rozbitkowie, lecz powoli, z upływem czasu, polubili swoją egzystencję. Nigdy jednak nie mogli się nadziwić łaskawemu losowi, który im przyniósł wyzwolenie.

Nocami myślę często o moim fortepianie spoczywającym w oceanicznym grobie, czasami również o sobie samej falującej na linii nad nim. Doskonała cisza i milczenie, które panują w głębinach, kołyszają mnie do snu. Upiorna to kołysanka; upiorna, ale moja.

There is a silence where hath been no sound.
There is a silence where no sound may be,
In the cold grave - under the deep, deep sea ...

Jest milczenie, kędy nie ma dźwięku,
I milczenie, gdzie go być nie może,
Kiedy grobem zimne, zimne morze ...
Thomas Hood (1799 - 1845)